

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 12/375**

**1978**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

## **U PROGU NOWEGO PONTIFIKATU**

Zb. BYRSKI : **O REWOLUCJI I TERRORYZMIE**

W. WIRPSZA : **RUCHEM KONIKA SZACHOWEGO**

B. SULIK : **Z TARCZĄ I NA TARCZY**

892.

30530

## SPIS RZECZY

### U PROGU NOWEGO PONTYFIKATU

—	<i>Papież do Polaków</i> .....	3
Leszek Kołakowski:	<i>Pomyślne proroctwa i pobożne życzenia laika u progu nowego pontyfikatu</i> .....	5
M. Broński:	<i>O katolicyzmie</i> .....	13
J. Ś.:	<i>Niecenzurowana prasa krajowa</i> .....	17
Mons. P. Hnilica, Mons. Vytautas Kazlauskas, Josif kardynał Slipyj, Al. Sołżenicyn, J. Iwask, J. Lichten:	<i>Wypowiedzi w związku z nowym Pontyfikatem</i> .....	24
—	<i>Telegram gratulacyjny Ukraińców amerykańskich</i> .....	31

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Zbigniew Byrski:	<i>O rewolucji i terroryzmie</i> .....	33
Witold Wirpsza:	<i>Ruchem konika szachowego</i> .....	48
Bohdan Osadczuk:	<i>List z Szanghaju</i> .....	67

### K R A J

Ryszard Jagła:	<i>Pesymizm optymisty</i> .....	72
Bolesław Sulik:	<i>Z tarczą i na tarczy</i> .....	79

### SPRAWY I TROSKI

Jerzy Jankowski:	<i>Studia cudzoziemców we Francji</i> ....	91
------------------	--	----

### SĄSIEDZI

Alfred Kantorowicz:	<i>Orwell po niemiecku</i> .....	93
Karel Klatovský:	<i>Czesko-polskie stosunki kulturalne</i> ..	102

### CI, CO ODESZLI

Zdzisław Bau:	<i>Wspomnienie o Norbercie Niświskim</i>	109
---------------	--	-----

### WOŁANIE NA PUSZCZY

Kisiel:	<i>Wstrząs, gruzy, galówki</i> .....	112
---------	--------------------------------------	-----

### KSIĄŻKI

Janina Katz Hewetson:	<i>Jubileusz „Oficyny Poetów”</i> .....	116
Edward Mozejko:	<i>Abram Terc — rzeczywistość a literatura</i> .....	119
Florian Śmieja:	<i>Monografia Polonii Kanadyjskiej</i> ....	123
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i> .....	127
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> .....	131



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	134
---	----------------------------------	-----



K. Angol, J. B. Rudnyćkyj, W. W. Soroka, L. M. Wiśniewski, O.P.:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	143
--	--------------------------------	-----



—	<i>Dokumenty</i> .....	146
---	------------------------	-----



—	<i>Indeks Autorów i tematów „Kultury” za rok 1978</i> .....	148
---	---	-----

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ Grudzień - Décembre 1978

INSTYTUT



LITERACKI

REDAKCJA « KULTURY » SKŁADA SWOIM  
PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM  
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Dr Jan Bąkowski, Miami Beach, Fla (USA), po raz dziewiąty ..	F. 21,00
S. Cozas, Morbihan (Francja) i Walentyna Cozas (Nowosądeczyczna) — pamięci prez. A. Ciołkosza, Polaka wielkiego serca i intelektu .....	F. 25,00
Inż. Tadeusz Knapkiewicz, Winterthur (Szwajcaria), po raz piąty	F. 130,00
Ernest Kosmowski, Honfleur (Francja), po raz trzeci .....	F. 500,00
Dr Tadeusz Maciejczyk, Milledgeville, Il. (USA), po raz piąty ..	F. 425,00
François Prause, Niamey (Rep. Niger), po raz siedemnasty ....	F. 100,00
Nina Sereda, Montreal — zamiast kwiatów na znane i nieznanne groby moich najbliższych Zmarłych i tych, pomordowanych przez Gestapo i NKWD, po raz czterdziesty szósty .....	F. 100,00
Prof. Janusz K. Zawodny, Claremont, Cal. (USA), po raz 14-ty	F. 425,00
Bezimiennie z Baden (Szwajcaria) .....	F. 50,00
Bezimiennie z Nicei — dla uczczenia pamięci Elżbiety Walfisz — przyjaciółka .....	F. 200,00
Adam Zalewski, Sztokholm — na pomoc dla opozycji w Kraju za miesiące wrzesień, październik, listopad, grudzień 1978	F. 200,00
Dr Tadeusz Maciejczyk, Milledgeville, Ill. (USA) — zamiast kwiatów na groby prof. Antoniego Derynga i uprzednio zmarłego min. Józefa Potockiego, którym wielu dawnych studentów z Hiszpanii zawdzięcza wiele — przekazuje do dyspozycji Redakcji <i>Kultury</i> na Fundusz wspólnego opracowania historii i kultury Polski i Ukrainy na poziomie podręcznika dla szkół powszechnych i średnich w nadziei, że Fundusz ten urośnie .....	F. 2150,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA KSS „KOR”

Fr. Kapusta, Moss (Norwegia) .....	F. 80,00
A. J. Kwiatkowski, Bethesda, Md (USA) .....	F. 425,00

(Ciąg daalszy na str. 160)

U progu nowego Pontyfikatu

PAPIEŻ DO POLAKÓW

Umiłowani moi Rodacy!

W dniu, w którym wypada jednemu z synów naszej drogiej Ojczyzny, podjąć posługiwanie biskupie na stolicy św. Piotra, piszę do Was te słowa. Nie mogę ich nie skierować do wszystkich moich braci i sióstr, synów umiłowanej Polski, właśnie w tym dniu, który wedle niezgłębionych wyroków Bożej Opatrzności każe mnie, dotychczas arcybiskupowi metropolie krakowskiej, opuścić prastarą Stolicę św. Stanisława i przejąć rzymską stolicę św. Piotra, a wraz z nią troskę o cały Kościół powszechny, która ze Stolicą Piotrową jest związana z Woli Chrystusa Pana. Trudno o tym fakcie myśleć i mówić bez najgłębszego wzruszenia. Zda się, że nie wystarcza serca ludzkiego — a w szczególności serca polskiego — ażeby wzruszenie to ogarnąć. Brakuje też słów, ażeby wypowiedzieć wszystkie myśli, które w związku z tym cisną się do głowy. Czyż myśli te i wzruszenia nie przechodzą przez całe nasze dzieje? Czyż nie ogarniają tego Tysiąclecia, w ciągu którego zachowaliśmy wierność dla Chrystusa i Jego Kościoła, dla Stolicy Apostolskiej, dla dziedzictwa św. Piotra i Pawła?

W szczególny sposób jednakże myśli te i uczucia koncentrują się na ostatnim okresie naszych dziejów: dziejów Ojczyzny i dziejów Kościoła. Jakże trudnym! Jakże groźnym! Symbolem tego przełomowego okresu jest zapewne postać bł. Maksymiliana Marii Kolbego, którego przed kilku laty wyniósł na ołtarze niezapomniany Ojciec św. Paweł VI.

I oto: rzecz znamienita, po ludzku trudna do wytłumaczenia. Właśnie w tych ostatnich dziesięcioleciach Kościół w Polsce nabrał szczególnego znaczenia w wymiarach Kościoła powszechnego i w wymiarach chrześcijaństwa. Stał się również przedmiotem wielkiego zainteresowania z uwagi na szczególny układ stosunków,

który dla poszukiwań, jakie współczesna ludzkość, różne narody i państwa podejmują w dziedzinie społecznej, ekonomicznej, cywilizacyjnej, ma doniosłe znaczenie. Kościół w Polsce nabrał nowego wyrazu, stał się Kościołem szczególnego świadectwa, na które zwrócone są oczy całego świata. W tym Kościele żyje i wypowiada się nasz naród, współczesne pokolenie Polaków.

Bez przyjęcia tego faktu trudno zrozumieć i to, że dzisiaj przemawia do Was papież — Polak. Trudno zrozumieć to konklawe, które w dniu 26 sierpnia — w święto Matki Bożej Częstochowskiej, przyniosło Kościołowi wspaniały dar w osobie Ojca św. Jana Pawła I — i z kolei to, którego po Jego nieodżałowanej śmierci, po 33-dniowym pontyfikacie, powołało na Stolicę Piotrową kardynała — Polaka. Trudno zrozumieć, że ten wybór nie spotkał się ze sprzeciwem, ale ze zrozumieniem i nawet życzliwym przyjęciem.

Czcigodny i Umiłowany Księżu Prymasie! Pozwól, że powiem po prostu co myślę. Nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego papieża-Polaka, który dziś pełen bojaźni Bożej ale i pełen ufności rozpoczyna nowy pontyfikat, gdyby nie było Twojej wiary, nie cofającej się przed więzieniem i cierpieniem, Twojej heroicznej nadziei, Twego zawierzenia bez reszty Matce Kościoła, gdyby nie było Jasnej Góry — i tego całego okresu dziejów Kościoła w Ojczyźnie naszej, które związane są z Twoim biskupim i prymasowskim posługiwaniem. Kiedy to mówię do Ciebie, mówię zarazem do wszystkich i do każdego z Kapłanów, Zakonników i Zakonnic. Do wszystkich i do każdego z moich umiłowanych Rodaków, Braci i Sióstr — w Polsce i poza Polską. (Mówię to również do Ciebie, Drogi Kardynale filadelfijski ze Stanów Zjednoczonych i wszystkich Biskupów polskiego pochodzenia w całym świecie). Mówię to do wszystkich bez wyjątku Rodaków, szanujących światopogląd i przekonania każdego bez wyjątku. Miłość Ojczyzny łączy nas i musi łączyć ponad wszelkie różnice. Nie ma ona nic wspólnego z ciasnym nacjonalizmem czy szowinizmem. Jest prawem ludzkiego serca. Jest miarą ludzkiej szlachetności — miarą wypróbowaną wielokrotnie w ciągu naszej niełatwej historii.

Drodzy Rodacy! Niełatwo jest zrezygnować z powrotu do Ojczyzny „do tych pól umajonych kwieciami różnymi, posrebrzonych pszenicą, poślaczanych żytem” — jak pisał Mickiewicz, do tych gór i dolin i jezior i rzek, do tych ludzi umiłowanych, do tego Królewskiego Miasta — ale skoro taka jest wola Chrystusa, trzeba ją przyjąć. Więc przyjmuję. Proszę Was tylko, aby to odejście jeszcze bardziej nas połączyło i zjednoczyło w tym, co stanowi treść naszej wspólnej miłości. Nie zapominajcie o mnie

w modlitwie. Na Jasnej Górze i w całej naszej Ojczyźnie. Niech ten Papież, który jest krwią z Waszej krwi i sercem z Waszych serc, dobrze służy Kościołowi i światu w trudnych czasach kończącego się drugiego Tysiąclecia. Proszę Was też, abyście zachowali wierność Chrystusowi, Jego Krzyżowi, Kościołowi i Jego Pasterzom. Proszę, abyście przeciwstawiali się wszystkiemu, co uwłacza ludzkiej godności i poniża obyczaje zdrowego społeczeństwa; co czasem może aż zagrażać jego egzystencji i dobru wspólnemu, co może umniejszać jego wkład do wspólnego skarbcza ludzkości, narodów chrześcijańskich, Chrystusowego Kościoła.

Pozwólcie, że przytoczę jeszcze słowa św. Pawła: „... gdy przybędę, przyjdę do Was” (por. Flp 1,27). Bardzo pragnę przybyć do Was na 900-ną rocznicę św. Stanisława, do której tak serdecznie przygotowaliśmy się z Archidiecezją i Metropolią Krakowską, a także z całą Polską, bo przecież to jubileusz najstarszego jej Patrona. Ufam, że jubileusz ten przyniesie odnowienie naszej wiary i chrześcijańskiej moralności, bo przecież widzimy w św. Stanisławie patrona ładu moralnego w Polsce, tak jak w św. Wojciechu patrona ładu hierarchicznego od tysiąca już prawie lat.

Pragnę Wam pobłogosławić. Czynieć to nie tylko z mocy mego biskupiego i papieskiego powołania, ale także z najgłębszej potrzeby serca. A Wy, Drodzy Rodacy, czy teraz, czy kiedykolwiek, przyjmować będziecie błogosławieństwo papieża Jana Pawła II, przypomnijcie sobie, że wyszedł on spośród Was, i że ma szczególne prawo do Waszych serc i Waszej modlitwy.

Città del Vaticano, 23. X. 1978

† JAN PAWEŁ II, papież

#### POMYŚLNE PROROCTWA I POBOŻNE ŻYCZENIA LAIKA NA PROGU NOWEGO PONTYFIKATU W WIECZNEJ SPRAWIE PRAW CESARSKICH I BOSKICH

Pomińmy zrozumiałą całkiem, ale dla tych rozmyślań nieważną euforię Polaków na wieść, że *Pontifex Polonus* osiadł na Stolicy Apostolskiej. Pomińmy także kwestię doraźnych skutków tego wydarzenia dla sprawy Kościoła w Polsce, a także, w konsekwencji, dla perspektyw walki w Polsce toczonych w obronie swobód obywatelskich i praw ludzkich. Jasne jest przecież, że sprawa

ma znaczenie powszechne i że z punktu widzenia roli Kościoła w świecie nie jest ważne, że nowy papież do Rzymu z Krakowa zjechał, ważne jest natomiast, że życie swoje pasterskie spędził w otoczeniu politycznym wrogim, a w otoczeniu społecznym przyjaznym, że sprawę konfrontacji Kościoła z komunistycznym systemem władzy wybornie zna z doświadczenia i że również z tej racji obecność jego może być rozstrzygająca dla nowej interpretacji sporu między „integrystyczną” a „progresistyczną” tendencją w chrześcijaństwie; że zaś ten spór dla losów chrześcijaństwa i świata jest kluczowy, zbyt wiele dowodzić.

W tej kwestii całkiem prywatnie wyrażam opinie, podsyte życzliwością dla sprawy chrześcijaństwa takiej, jak ją pojmuję. Przyznaję, że zarówno „integrysty”, jak „progresiści” mają pewne dobre argumenty, w szczególności, gdy je we wzajemnych krytykach wysuwają, ale punkt widzenia, któremu sprzyjam, nie wydaje mi się wcale być obojga „synteza” albo czymś pośrednim, ale raczej stanowiskiem samodzielnie dobrze uzasadnionym; myślę także, że jest to stanowisko, które wśród chrześcijan czynnych i dzielnych ma wcale niemało obrońców i niczym nowym nie jest; niemniej wolno każdemu na własną rękę próbować je zrekonstruować.

Mówimy o Kościele jako instytucji, która ma głosić światu dobrą wieść o odkupieniu i pojednaniu i nie może żądać od wiernych, by od spraw świata uciekali i w osamotnieniu pustelniczym własne hodowali cnoty, ale domaga się, by w cierniach doczesności szukali Królestwa i niejako na każdego nakłada odpowiedzialność nie za siebie tylko, ale i za innych. Stąd trudność, nieuchronna i trwała, dokładnego wyznaczenia granicy między rzeczami boskimi i cesarskimi; nie wierzy wszakże chrześcijaństwo (pomijając marginalne sekty), by ludzie mogli własnymi wysiłkami zbudować na ziemi Królestwo i zło doszczętnie wytępić; zamiar stworzenia raju doczesnego ludzkimi rękami wydawać się nawet musi dziełem pychy demonicznej, niczym budowa wieży Babel, z której prócz przestrogi i konfuzji języków nie zaznała ludzkość nic więcej. Nie jest z pewnością zadaniem Kościoła formułowanie przepisów na dobry ustrój polityczny ani pisanie konstytucji państwowych. Z drugiej strony jednak, mówiąc, że coś jest dobre lub złe, chrześcijaństwo nie może ściśle rozgraniczyć osądu osób — o co zawsze chodzi głównie — od osądu instytucji. Powiadając, na przykład, że odmawianie zapłaty najemnikom oraz uciskanie wdów i sierot należy do grzechów o pomstę do nieba wołających, potępia Kościół nie tylko jednostki, ale i instytucje; toteż w życiu codziennym moralne nakazy i zakazy muszą być często rozumiane jako idee społeczne, jako zajmowanie stanowiska w sprawach politycznie ważnych. Tym

samym istotną część pracy Kościoła musi podlegać regułom rządzącym organizmami świeckimi. Tej dwuznaczności niepodobna całkiem uniknąć. Zwierzchnik Kościoła mówi za Pawłem, że od Chrystusa wzięł Kościół zarówno łaskę, jak urząd apostolski i na tym autorytet swój wspiera; ale mówi też, jak Piotr centurionowi *Surge, et ego ipse homo sum*, wstań, bom i ja człowiek.

Na różnej interpretacji granic między tym, co cesarskie i tym, co boskie wspierają się wspomniane tendencje skrajne w chrześcijaństwie — „integrystyczna” i „progresistyczna”.

Z grubsza mówiąc, katolicki integrizm wydaje się anachronicznym przedłużeniem sytuacji, w której Kościół widział głównego swojego wroga w liberalizmie, to znaczy sytuacji, która klasyczny swój wyraz znalazła za pontyfikatu Piusa IX. Racjonalizm, teoria ewolucji, zasada oddzielenia Kościoła od państwa — oto gdzie koncentrował się atak Kościoła w tych czasach. Dzisiejszy tradycjonalizm, choć nie domaga się teokracji, nadal utrzymuje mentalność z epoki Syllabusa w tym przynajmniej sensie, że chętnie korzystałby z pomocy świeckiego ramienia w obronie wiary przed krytyką i że chciałby zapewnić Kościołowi instytucjonalne prawo do szczegółowego nadzoru nad sprawami świeckimi.

Jeśli „integrizm” w formie doskonałej jest anachroniczną negacją autonomicznej sfery *profanum*, to „progresizm”, także w wersji doskonałej, jest rezygnacją z autonomii wiary i Kościoła, próbą podporządkowania wiary wymogom tak czy inaczej pojętych doktrynalnych względów politycznych. Jeśli integrysty gotowi są sprzymierzać się — a w oczach przeciwników wręcz identyfikować się — z tymi siłami politycznymi, które dla jakichkolwiek względów własnych mogą zapewnić Kościołowi przywileje, to progresizm gotów jest do przymierza czy identyfikacji z wszystkimi, którzy wyznają hasła egalitaryzmu, nawet jeśli wedle wszystkich doświadczeń muszą one zmierzać do zniszczenia chrześcijaństwa na mocy własnych założeń (przynajmniej jeśli chrześcijaństwo miałoby być czym innym, niż zbiorem haseł politycznych). Z punktu widzenia tradycji chrześcijańskiej mamy w obu wypadkach do czynienia z zatarciem granicy między *sacrum* i *profanum*.

Weźmy najprostszy przykład: sprawę rozwodów. Dla „progresizmu” sprawa ta prawie nie istnieje, a zakaz rozwodów w Kościele uchodzić musi za jeszcze jeden objaw kościelnego zacofania. Dla integrystów z kolei jest rzeczą naturalną, że skoro rozwody są niedopuszczalne na mocy sakramentalnego charakteru związku małżeńskiego, powinny być one zakazane przez państwo. Otóż *non sequitur*. Kościół, oczywiście, ma prawo oznajmić, że rozwody nie istnieją w świetle tradycji i prawa kościelnego, co

znaczy tyle, że wiernym rozwodzić się nie wolno lub że, jeśli się rozwodzą, winni są łamania prawa kościelnego. Jednakże Kościół nie powinien i nie musi wcale żądać, aby państwo wyreżcało go w tej sprawie przymusem prawnym i załatwiało za niego ten przykry problem. Z pewnością, w wielu innych kwestiach rozdzielanie takie jest bardziej kłopotliwe. Niemniej ogólna zasada rozdziału wydaje mi się zarówno zgodna ze zdrowym rozsądkiem, jak najwłaściwsza z punktu widzenia obrony praw ludzkich, a także założeń chrześcijańskich.

Przykładem szczególnie jaskrawym, gdzie ścierają się te dwie postawy jest konfrontacja chrześcijaństwa z komunizmem.

Dla tradycjonalistów, postrzegających świat przez kategorie odziedziczone z epoki szoku po rewolucji francuskiej i nieznacznie tylko skorygowane, zło komunizmu i jego niszczyielska siła wywodzą się stąd, że jest on ateistyczny. Jest to wszakże mylący sposób percepcji. Kościół nie cierpi prześladowań ani ograniczeń w demokratycznych ustrojach rządzonych przez ateistów lub ludzi religijnie obojętnych. Z drugiej strony, jeśli dopuścimy fantazyjne przypuszczenie, że któregoś dnia narada partii komunistycznych ogłosi, iż właśnie istnienie Boga zostało naukowo udowodnione, przy czym, zbyteczne dodawać, Bóg wyraża swoją nieomylną wolę ustami Biura Politycznego, łatwo przewidzieć, że ani opresywny i antykulturalny charakter komunizmu ani sytuacja religii i Kościoła na opianowanych przezeń obszarach nie uległyby przez to żadnej zmianie.

Despotyczne formy rządzenia i w szczególności prześladowania religijne w tym ustroju nie pochodzą stąd, że komunizm jest *ateistyczny*, ale stąd, że jest *totalitarny*, że zatem jest jak gdyby konstrukcyjnie napędzany dążeniem do zniszczenia wszystkich form życia zbiorowego i wszystkich krystalizacji kultury nie narzuconych przez państwo. Znamienna dla integryzmu katolickiego koncentracja krytyki na sprawie ateizmu, to znaczy na błędach doktrynalnych komunizmu, jest z kilku powodów myląca i nieskuteczna. Nade wszystko, nie pozwala ta postawa wypracować pojęć oddzielających indyferentyzm religijny liberalnej demokracji od państwa ideologicznego sowieckiego typu, przeszkadza zatem w uwolnieniu Kościoła od tradycji, która w liberalizmie widziała wroga *par excellence*; co więcej, atakując komunizm za błędną teorię teologiczną czy antyteologiczną, utrudnia krytykę totalitaryzmu jako takiego, niezależnie od jego doktrynalnej podbudowy. Tymczasem totalitaryzm, bez względu na kostium ideologiczny — rasistowski, komunistyczny czy religijny — jest w tej chwili najbardziej złowrogą groźbą dla kultury i dla wartości chrześcijańskich. Jest niezawodnie prawdą, że totalitarna strona tradycji chrześcijańskiej nie jest w tej chwili żadnym nie-

bezpieczeństwem realnym, niemniej chrześcijanie, którzy walczą o prawo do życia w sytuacji totalitarnej, stawialiby siebie w niezręcznej pozycji, jeśli by nie opierali swoich roszczeń na wyraźnej akceptacji pluralistycznych zasad życia społecznego, to znaczy na radykalnym odrzuceniu totalitaryzmu, niezależnie od jego ideologicznych treści, które mogą być ateistyczne, ale mogą być także religijne (istnieje nadal potężny potencjał totalitarny w Islamie). Ponadto, przy założeniu, że jądrem zła w komunizmie jest ateizm, sprawa konfrontacji chrześcijaństwa z komunizmem zostaje umiejscowiona w ramach walki idei, co jest wszelako wadliwą interpretacją sytuacji, przynajmniej w krajach wepchniętych w klatkę sowytyzmu: idea komunistyczna nie ma tam bowiem żadnej siły własnej, nie jest praktycznie wyznawana i stanowi tylko legitymizację przemocy sprawowanej nad społeczeństwem. Integryzm osłabia przeto skuteczność antytotatitarnego oporu, dając jakby do zrozumienia, a przynajmniej nie wykluczając wyraźnie możliwości, że totalitaryzm nie byłby naganny, gdyby jego forma dogmatyczna określała się za pomocą credo nicejskiego zamiast *Dzieł Zebranych* Lenina. Pod tym względem integryzm w osobliwy sposób zbiega się z tą formą katolickiego „progresizmu”, która w komunizmie nie widzi niczego złego poza tym, iż błądzi on w sprawach teologicznych. W obu przypadkach łatwo o sugestię, że zadaniem chrześcijaństwa jest nawrócenie komunizmu na prawdziwą doktrynę, nie zaś opieranie się niszczyielskiej funkcji totalitarnego systemu, który zawsze, bez względu na aktualną fasadę ideologiczną, musi zmierzać do unicestwienia kultury chrześcijańskiej. Wbrew pozorom zatem integryzm, podobnie jak progresizm, jest względem komunizmu słaby, chociaż nie z tych samych powodów; integryzm dlatego, że nosi na sobie relikty mentalności teokratycznej, progresizm dlatego, iż uważa komunizm za całkiem godziwe rozwiązanie problemów doczesnego życia.

Tymczasem opór antytotatitarny, jeśli ma być skuteczny, musi zakładać niezbywalne uprawnienia wszystkich osób do swobodnego wyboru form własnego życia duchowego. Musi zatem uznać, między innymi, tradycyjną republikańską zasadę rozdziału Kościoła od państwa. Zasada ta obfituje w różne komplikacje prawne, których roztrząsać nie zamierzam i zresztą nie umiałbym. Dwie sprawy zasługują wszelako na podkreślenie w granicach tych rozważań. Zasada rozdziału Kościoła od państwa nie była nigdy i *nie może być urzeczywistniona w państwie komunistycznym* ani zresztą w żadnym państwie ideologicznym. Zakłada ona bowiem, że uprawnienia każdego człowieka z osobna do wyznawania lub niewyznawania wiary, jak też uprawnienia zbiorowości religijnych do głoszenia wiary chronione są porządkiem ustaw,

że jednak państwo samo jest religijnie neutralne, że więc przynależność wyznaniowa lub wiara jednostek nie mają znaczenia — pozytywnego ani negatywnego — dla ich sytuacji w stosunku do państwa. Oczywiście jest jednak, że zasady takiej żaden system totalitarny przyjąć nie może, oznaczałoby to bowiem rezygnację z jego pretensji ideologicznych. Państwo komunistyczne *nie jest państwem świeckim*: nieograniczona władza jednej partii mającej, teoretycznie przynajmniej, własną otoczkę doktrynalną (całkiem niezależnie od tego, czy kto ją na serio traktuje) nie może być neutralna w stosunku do wierzeń religijnych i organizacji kościelnych. Dyskryminacja ideologiczna i prześladowanie Kościołów nie są przypadkową skazą czy uleczalnym błędem komunizmu, ale nieuchronną konsekwencją ustrojowych założeń: nie ateizmu doktrynalnego, ale formy władzy, która zmierza do upaństwowienia wszystkich dziedzin życia i komunikacji międzyludzkiej. Faktyczna skala prześladowań, ograniczeń i dyskryminacji bywa, oczywiście, różna i zmienia się zależnie od wielu okoliczności, ale wszelkie w tym względzie rozluźnienia czy koncesje są wymuszone bądź naciskami społecznymi bądź okresami kryzysu, kiedy to rządzący aparat nie panuje nad sytuacją (nawet w Związku Sowieckim w czasie wojny z Niemcami nastąpiło osłabienie represji przeciw religii). Ideałem komunizmu pod tym względem jest sytuacja w Albanii, gdzie wszystkie formy kultu religijnego są surowo karalne, a ateizm jest obowiązującym dogmatem państwowym. Bliskie ideału są Chiny, a zresztą i sam Związek Sowiecki; zakaz taki nie jest tam wprawdzie formalnie wpisany do prawodawstwa, lecz kościoły pozbawione są wszelkich praw publicznych, obozy koncentracyjne wypełnione są ludźmi skazanymi za „propagandę religijną”, świątynie systematycznie niszczone, kapłan popełnia przestępstwo kryminalne udając się, na przykład, do umierającego człowieka z ostatnim namaszczeniem i jest *prawnym* obowiązkiem rodziców wychowywać dzieci w komunistycznym, a więc ateistycznym duchu pod groźbą ich przymusowego odebrania. Jeśli w Polsce represje nigdy nie osiągnęły tego poziomu, to tylko dzięki sile społecznego oporu; jeśli dzisiaj szefowie partii, w sytuacji głębokiego kryzysu społecznego, zabiegają o minimum porozumienia z Kościołem (nie rezygnując zresztą z niezliczonych ograniczeń i z utrzymywania stałego kagańca cenzury, bez której komunizm u władzy nigdy nie istniał i jest nawet niewyobrażalny), to nie dlatego, by przeszli demokratyczną konwersję, ale w strachu przed eksplozjami ludowego gniewu. Realny rozdział Kościoła od państwa nie jest możliwy w warunkach komunizmu, jeśli to słowo zachowuje sens określony zarówno przez wszystkie doświadczenia historyczne, jak przez jednoznaczne doktrynalne założenia leninizmu.

Z drugiej strony, rozdział Kościoła od państwa nie pozbawia bynajmniej Kościoła uprawnień do zabierania głosu we wszystkich sprawach publicznych, chociaż uprawnienie to nie jest wynikiem żadnego szczególnego przywileju, ale częścią uprawnień powszechnych przysługujących jednostkom i organizacjom w pluralistycznej strukturze państwowej.

Dokładnie te same słabości „integryzmu” i „progresizmu” wychodzą na jaw w innych warunkach: w militarnych dyktaturach i despotycznych (choć nie totalitarnych) państwach trzeciego świata, zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej. W krajach tych „integryzm” ma tendencję do identyfikowania się z opresywnymi strukturami władzy, o ile są one antykomunistyczne i pozwalają Kościołowi zachowywać różne przywileje pod warunkiem lojalności politycznej. „Progresizm” w tych samych sytuacjach ma tendencję do identyfikowania się z opozycją komunistyczną. Oba sposoby reagowania są zgubne zarówno dla losów demokracji, jak dla tych wartości chrześcijaństwa, których ocalenie jest dla ludzkości najważniejsze. Integrystyczna identyfikacja musi być podejrzana o to, że w imię przywilejów instytucji zamyka oczy na gwałcenie praw ludzkich, identyfikacja progresistyczna nie może odeprzeć zarzutu, że przyczynia się do tryumfu sił politycznych, które wszędzie i bez wyjątku, jeśli opanują narzędzia przemocy, niszczą zarówno chrześcijaństwo, jak prawa obywatelskie i ludzkie. Powiedzenie, że w nie-komunistycznych lub anty-komunistycznych tyraniach chrześcijanie powinni „na razie” walczyć o sprawy wspólne, a wszystko, co ich od komunizmu różni odłożyć na „potem” jest świadectwem zdumiewającego braku pamięci lub zakłamania, wiadomo bowiem, że w w warunkach władzy komunistycznej nie istnieje już „potem”. Doświadczenia w tej sprawie są tak nieodparte i tak bezwyjątkowe, że wstyd je powtarzać. Ci chrześcijanie, którzy niedawno zwalczały, jak też powinni byli, skorumpowany reżym Południowo-Wietnamski, dziś w znacznej liczbie (choć nie dającej się określić) zapełniają obozy koncentracyjne Wietnamu Zjednoczonego, o czym, jak się zdaje, mało słychać w progresistycznych publikacjach katolickich. Polityczne dyktatury komunistyczne ustanawiane były wszędzie pod hasłami demokratycznymi, nie zaś komunistycznymi i z poparciem różnych sił demokratycznych, które miały być następnymi i były wdeptane w ziemię. Gotowość chrześcijan do podejmowania się owej roli nawozu dla tyranii i nazywanie tej gotowości „teologią wyzwolenia” nie jest mniejszą aberracją przez fakt, iż wyrasta z dobrej woli. Tymczasem chrześcijaństwo, które staje po stronie ludzi prześladowanych, uciskanych i biednych przeciwko dyktatorom w krajach nie-komunistycznych nie musi wcale z tej racji zaciemniać zasadniczej swojej opozycji względem tota-

litaryzmu. Kościół może nawet łatwo uniknąć podejrzeń o złą identyfikację, ponieważ nie jest partią polityczną; jeśli nie występuje w imię „doskonałego ustroju politycznego”, ale w imię uprawnień osoby ludzkiej do wolności duchowej i jeśli wyzbywa się śladów własnej tradycji teokratycznej, jest w jego mocy zachować wyróżnione miejsce własne w konfliktach społecznych i nie narażać się na zarzut, iż zwalcza tyranie w jednej formie sprzyjając zarazem ustanowieniu innej formy tyranii (a pod tym względem zarówno „integryści”, jak „progresyści” mają nieco racji we wzajemnych swoich zarzutach).

To, co w języku progresizmu nazywa się „dialogiem” chrześcijańsko-komunistycznym jest prawie zawsze dziełem oszustwa lub samo-oszustwa. Najczęściej „dialog” polega na wymianie nieobowiązujących i łatwych do przyjęcia frazesów humanitarnych, których głównym celem jest nie dopuścić do ujawnienia rzeczywistych przeciwieństw i zablokować słownymi zaklęciami doświadczenie historyczne. Od chrześcijanina w takich wypadkach oczekuje się oszajstwa w rodzaju: „ach, my także jesteśmy za sprawiedliwością społeczną i wyzwoleniem człowieka”, za co komuniści mają odpłacić się zapewnieniem: „ach, my szanujemy waszą dobrą wolę i gotowość do współpracy, chociaż sami kierujemy się światopoglądem naukowym”, rezygnując przy tym kurtuazyjnie z podkreślenia, że partnerzy „dialogu” są ciemnymi ofiarami średniowiecznych zabobonów. W dzisiejszych warunkach „dialog” tak pojęty jest werbalnym parawanem, który ma przysłonić ponure realności życia chrześcijańskiego na obszarach komunistycznego panowania.

Niezależnie od tego, jak się sprawy miały w historii, w dzisiejszym świecie sprawa chrześcijaństwa i sprawa obrony instytucji demokracji przedstawicielskiej są pozytywnie związane, co jest widoczne wszędzie, gdzie instytucji tych nie ma, czyli na znacznej większości naszego globu. Wszędzie tam, choć niejednakowo, chrześcijaństwo jest zagrożone; może ono bowiem, stosownie do doświadczeń historycznych, być niszczone na różne sposoby; nie tylko przez prześladowania i przemoc, ale także przez wyjąłowanie wewnętrzne, mianowicie przez redukcję bądź do samej struktury instytucjonalnej, bądź do samej moralistyki albo, co gorsza, moralistyki politycznej. Być może nawet przemiany liturgiczne sprzyjają jednemu lub drugiemu niebezpieczeństwu; obstawanie przy niezmienności form liturgicznych może zapewne objawiać brak zaufania do treści chrześcijaństwa, które wszakże przechowują się w różnych i zmiennych środkach ekspresji; ale również w przyspieszonym ruchu likwidacji odziedziczonych narzędzi komunikacji liturgicznej może taić się niebezpieczeństwo podobne:

można bowiem zapomnieć treść przez zapomnienie formy. Rozmyśla o tym, jak się zdaje, wielu katolików w przygnębiającym chłódzie zmodernizowanych świątyn.

Leszek KOŁAKOWSKI

## O KATOLICYZMIE

Powołanie Polaka na najwyższy urząd w Kościele katolickim jest zdarzeniem w tzw. porządku wiecznym bez znaczenia, ale w porządku ziemskim i zwłaszcza polskim doniosłym. Pomijając oczywiste konsekwencje tego wyboru: wzmocnienie pozycji Kościoła w Polsce, skupienie większej uwagi świata na tej części Europy i — przypuszczalnie — zmianę stylu Watykanu, wynikającą z faktu, że na tronie papieskim zasiadł człowiek obeznany z Drugim (w sensie doczesnym) Światem od podszewki, na uwagę zasługuje mniej widoczne, ale też ważne następstwo: *Polonia fidelior*. Obserwując powszechną radość i wzruszenie Polaków nie trudno dojść do wniosku, że decyzja konklawe przyczyniła się też do utrwalenia i intensyfikacji postawy, oznaczonej skrótowo jako „Polak-katolik”: na widok kardynała Wojtyły w białej sutannie nawet nie bardzo katolicy Polacy poczuli się lepszymi katolikami. Skrót „Polak-katolik” nie brzmi najlepiej, traci prowincjonalnym zacieśnieniem i nietolerancją, ale dziś wobec faktu, że Polska praktycznie nie posiada mniejszości wyznaniowych i że Kościół stanął w obronie zagrożonych wartości cywilizacyjnych określenie to straciło wiele ze swego odium i oznacza raczej to, że w świadomości polskiej katolicyzm jest wielkością realną, ważną i uznaną za dodatnią. „Katolicyzm” jest jednak abstrakcją i refleksja nad tym, co stanowi istotne cechy tego pojęcia w dzisiejszych czasach i w odczuciu szeregowych katolików wydaje się na miejscu.

Semantycznie biorąc słowo „katolicyzm” określa pewną pozycję w drzewie klasyfikacyjnym i pozycja ta jest wyznaczona nazwą rodzajową „wyznanie chrześcijańskie” i różnicą gatunkową „odrębne od innych wyznań chrześcijańskich z uwagi na...”; podobnie też pojęcie „chrześcijaństwo” jest nazwą gatunkową, oznaczającą specjalny rodzaj wiary w istnienie sił pozaziemskich, wpływających na ludzkie losy według własnego uznania. Z tego punktu widzenia pojęcie katolicyzmu zawiera w sobie jako postulaty znaczeniowe pojęcia chrześcijaństwa i wiary w ogóle. Zauważmy w tym miejscu, że tylko niewielu katolików-niespecjalistów po-



trafi wskazać na istotne różnice doktrynalne pomiędzy katolicyzmem, a dwoma pozostałymi najważniejszymi odgałęzieniami chrześcijaństwa; prawosławiem (różnicą tą jest tzw. kwestia *filioque*, dotycząca pozycji Ducha Świętego w Trójcy) i protestantyzm (odmienna interpretacja Przejścia). Większość katolików, zapytanych o to co dzieli ich od innych wyznań chrześcijańskich wskaże raczej na różnice rytualne i stosunek do zagadnienia nadrzędności papieża, a więc na sprawy należące raczej do porządku ziemskiego. Ten brak zainteresowania dla spraw doktrynalnych wydaje się nie tyle skutkiem niedokształcenia i lenistwa umysłowego, co istotną cechą „wiary” w sensie jaki nas tu interesuje, to znaczy bardziej pragmatycznym niż semantycznym. W popularnym wyobrażeniu wiara polega na tym, że pewna grupa ludzi akceptuje dany opis rzeczywistości nadzmysłowej, mimo że nie ma na to żadnych dowodów ani przesłanek racjonalnych — i wyobrażenie to akcentuje raczej niedowodliwość i nieracjonalność opisu, niż motywy, skłaniające ludzi do jego akceptacji. Jako wyjaśnienie motywacji przyjmuje się zazwyczaj, że opis ten — „mit”, mówiąc bardziej nowocześnie — uzasadnia i usensownia zjawiska, które bez niego wydają się absurdalne: cierpienie, śmierć, sam fakt istnienia. Sądzę, że ujęcie takie przecenia ludzką nieracjonalność z jednej strony, a wyłącznie intelektualną naturę człowieka z drugiej i że głównym, choć podświadomym motywem akceptacji jakiegos wierzenia religijnego jest potrzeba obdarzenia kogoś — proroka, przywódcy religijnego lub istniejącego już kościoła — zaufaniem. Jest to więc raczej deklaracja przyjaźni, gest oznaczający gotowość do wspólnoty, a nie operacja metafizyczna.

Dla uwypuklenia tego ludzkiego, więziotwórczego elementu wiary wydaje się korzystne przyjęcie odrębnego od wiary pojęcia gnozy — bezpośredniego „poznania” świata pozaziemskiego — i przyjrzenie się schematowi powstawania religii: hipotetycznemu i ogólnikowemu, lecz odpowiadającemu z grubsza historii znanych religii. Inicjatorem religii jest zawsze gnostyk, człowiek, który pod wpływem wizji czy intensywnych przemyśleń wchodzi w posiadanie całościowego oglądu świata pozaziemskiego i przekazuje jego opis bliźnim. Przyjęcie lub odrzucenie takiego opisu jest już kwestią wiary i już tu występuje ludzki motyw zaufania, nie tyle *w* dany opis co *do* danego gnostyka. O ile opis zostanie przyjęty przez pewną grupę ludzi, staje się religią, o ile nie — faktem z historii ludzkiej kultury, zdarzeniem z pogranicza religii, filozofii i poezji, takim jak opisane w „Ziemi Ulro” Miłosza systemy, w istocie religie w stanie poronnym. Zaakceptowany opis wymaga interpretacji i to nie tylko dlatego, że zazwyczaj ma formę poetycką i wieloznaczną, ale dlatego, że — jak każdy

przekaz wyrażony słowami — opisuje stany rzeczy tylko do pewnej granicy dokładności, tak jak mozaika wyobrażająca krzew różany nie przekazuje całej informacji o nim. Pomiędzy poszczególnymi kamyczkami-pojęciami widnieją przerwy, które wymagają dopełnienia, czyli interpretacji. Przy rozbieżnościach interpretacji w wypadku krzewu różanego decyduje kryterium eksperymentalne, ale w wypadku rozbieżności teologicznych tylko autorytet interpretatora — czyli w istocie ilość, a niekiedy jakość zwolenników gotowych daną interpretację podtrzymać. Ich gotowość wypływa nie z przekonania intelektualnego, gdyż właśnie chodzi o sprawy leżące poza zasięgiem normalnego rozumowania, lecz z zaufania do interpretatora. Przypuszczalnie źródłem tego zaufania jest wiele i rozmaitych, ale w wypadku religii odziedziczonej od pokoleń głównym z nich jest chęć kontynuowania wspólnoty utworzonej wokół „zespołu prawd do wierzenia podanych”, nawet jeśli zespół ten jest przestrzenią, w której poruszają się niedoprecyzowane cienie. W zjawisku wiary w tym sensie, w odróżnieniu od gnozy, punkt ciężkości spoczywa na kontakcie z innymi ludźmi i fakt, że religia dostarcza pociechy w nieszczęściach bez wyjścia, przypisać należy nie tyle wyjaśniająco-kojącej roli mitu, ile poczuciu więzi z innymi ludźmi mit ten akceptującymi.

By lepiej zilustrować ten społeczny motyw wiary, nadrzędność poczucia wspólnoty nad metafizyką — i to nadrzędność dyskretną, odmienną od obrzydliwych bo obrzydzonych „humanizmów” werbalnych — przytoczę zdarzenie, o którym kiedyś czytałem. W którymś z oflagów w Niemczech w czasie wojny głód i bezradność doprowadziły do niezwykłego upadku morale wśród jeńców — rozprężenie dyscypliny, kłótnie na każdym kroku — tak, że komendant jednego z baraków zaczął obawiać się, że wobec ogólnej degrengolady Niemcom uda się nawet zwerbować konfidentów. Uciekł się do następującego środka: pewnego rana odgrodził kąt baraku kocem i powiedział: „Panowie, za tą zasłoną mieszka dama i spodziewam się, że będziecie się zachowywali tak, jak obecność prawdziwej damy wśród polskich oficerów tego wymaga”. Po pierwszych śmiechach i wzruszeniach ramionami część oficerów podchwyciła tę mistyfikację, po paru dniach obecność damy była respektowana powszechnie, atmosfera zmieniła się i nowy duch wstąpił we wszystkich. Zmiana była tak widoczna, że Niemcy zaniepokoiili się i po doświadczeniu przyczyny zareagowali: pod groźbą ciężkich sankcji kazano „dame” usunąć z baraku w ciągu 24 godzin. Jeńcy opowiedzieli się przeciwko temu, sytuacja stała się poważna — nie pamiętam niestety końca tej historii, ale nie zdziwiłbym się, gdyby damy broniono z narażeniem życia. *Se non e vero e ben trovato* i mimo, że analogia

z rzeczywistymi wierzeniami religijnymi nie jest pełna, bo nie ma w nich świadomej mistyfikacji, opowiadanie to powinno figurować w podręcznikach na temat socjologii religii. Najważniejszym punktem, który ilustruje jest związany z przyjęciem wspólnego „mitu” *esprit de corps*, ale uwypukla ono jeszcze jedną społeczną rolę wierzeń: że raczej sankcjonują, niż narzucają normy zachowania. Jeńcy wrócili do swych norm, nie przyjęli nowych. Inherentna dowolność interpretacji wyjściowego opisu gnostycznego pozwala na przystosowanie na pozór arbitralnej i oderwanej od świata doktryny, a ściślej jej aktualizacji, do już istniejącego podłoża. Losy chrześcijaństwa wschodniego, bizantyjsko-orientalnego, i chrześcijaństwa zachodniego, rzymsko-europejskiego, ilustrują tę przystosowywalność wyraziście. Nie wierzę w stymulującą rolę chrześcijaństwa jako takiego na rozwój zachodniej cywilizacji, przypuszczam, że było odwrotnie, że zwiększająca się preżność i aktywność Zachodniej Europy przystosowała do swoich celów interpretację chrześcijaństwa odpowiadającą tej aktywności, ryzykując i realizując w momentach przełomowych odłączenie się znacznych partii pierwotnej wspólnoty — najpierw w formie ortodoksji, później katolicyzmu, a jeszcze później przez podział protestantyzmu na podwyznania, w których orientują się jedynie fachowi teolodzy. Przypuszczalnie istnieje jakaś naturalna, odwrotnie proporcjonalna relacja pomiędzy więzią religijną a niereligijnymi formami wspólnoty ludzkiej, zwiększającymi kontrolowalność świata i że wzrost wiedzy pozytywnej, większe bezpieczeństwo i dobrobyt prowadzą nieuchronnie do rozluźnienia zorganizowanych form wiary. Zachodni protestantyzm i późniejszy, *quasi*-protestancki a typowo zachodni ruch „odnowy posoborowej” stanowią część ogólnego procesu demokratyzacji instytucji społecznych, dopuszczenia większej ilości ich członków do współudziału w decyzjach, ale w dziedzinie religii oznaczało to jakby demokratyzację gnostycyzmu — podkreśla to w swej świeżo wydanej książce *La confusion des langues. La crise ideologique de l'Eglise* (Calmann-Lévy, 1978) Alain Besançon, od którego zapożyczyłem to uogólnione znaczenie terminu gnoza — czyli oznaczało przesunięcie punktu ciężkości z więziotwórczej na mitotwórczą stronę religii. Z punktu widzenia naszkicowanego tu powyżej schematu rozwoju religii oznacza to kierunek wstecz, a więc paradoksalnie „odnowa” ta ma charakter w pewnym sensie reakcyjny i istotnie, uczestnicząc niekiedy w nowoczesnych mszach odprawianych nieomal na skrzyni od mydła przy pomocy musztardówki, podczas gdy naokoło stoją puste gotyckie katedry, miałem wrażenie ogólnego zwijania interesu.

Posoborowy kryzys uwypuklił różnice rozwoju krajów katolic-

kich, przede wszystkim nierównomierność rozwoju w nich więzi cywilnych, niereligijnych, szczególnie wyrazistą w przeciwstawieniu Europy Zachodniej i Wschodniej — w tej ostatniej więź religijna jest chyba jedyną, nieskorodowaną przez komunizm. Utrzymanie w Polsce bardziej tradycyjnych form katolicyzmu, mądry sabotaż nadmiernej i w polskich warunkach destrukcyjnej „odnowy” można więc uznać za wielką zasługę episkopatu. Z perspektywy XVI-to- i XVIII-towiecznej anarchii, XIX-towiecznych zaborów i neozaboru w wieku dwudziestym tradycyjna sylwetka „Polaka-katolika” nie wydaje się tak anachroniczna i bezsensownie konserwatywna jak wygląda na tle abstrakcyjnych i ahistorycznych rozważań zachodnich postępowców. Konieczne jest oczywiście małe *granum salis*: można przypuszczać, że dla wielu „Polaków-katolików” przedmiot wiary przypomina nieco ową damę z przytoczonego opowiadania, a sama wiara wyraża się raczej przywiązaniem do tradycji i rytuału, oraz czymś w rodzaju globalnego a niezbyt sprecyzowanego zaufania do „tych na górze” w Kościele — i może należałoby sobie życzyć, by stan ten utrzymał się. Rygorystyczne „pogłębianie” wiary, domaganie się na przykład tego samego stosunku intelektualnego wobec dogmatu o Wniebowzięciu NMP co wobec prawa Archimeda musi prowadzić do „trudności”, które można przełamać tylko albo odchodząc od katolicyzmu całkowicie, albo rozwijając w sobie *double-think*, czyli hipokryzję intelektualną. Może więc należałoby sobie życzyć czy też spodziewać się utrzymania w tej dziedzinie *status quo* czyli koncepcji Kościoła jako wspólnoty dżentelmanów, dwornych wobec i z uwagi na Damę, gdyż mniej nęcąca wydaje się druga alternatywa: zbiorowisko zdezorjentowanych gnostyków i agnostyków.

B. BROŃSKI

#### NIECENZUROWANA PRASA KRAJOWA

Pośród niesnasek Pan Bóg uderza  
W ogromny dzwon,  
Dla słowiańskiego oto papieża  
Otworzył tron.  
Wnętrze kościołów On powymiała,  
Oczyści się,  
Boga pokaże w twórczości świata,  
Jasno jak w dzień.  
A trzeba mocy, byśmy ten Pański  
Dźwignęli świat;  
Więc oto idzie papież słowiański  
Ludowi brat.

Trudno w obecnej chwili myśleć i pisać o czym innym niż o wydarzeniach w Watykanie, które już banalnie określa się jako historyczne. Powyższe słowa Słowackiego przypomina *Tygodnik Powszechny*. Pismo to bynajmniej nie należy do niecenzurowanej prasy, którą mamy się zajmować w niniejszych przeglądach. Przeciwnie, jest to najostrzej cenzurowane pismo w Polsce. Od trzydziestu z górą lat wychodzi ono w Krakowie pod redakcją Jerzego Turowicza i wydawane przez zespół kilkunastu ludzi stanowiących jądro ruchu „Znak”. Ograniczane jest ono nie tylko przez drakońskie i bardzo liczne ingerencje cenzury, ale również objętość i nakład wyznaczane są odgórną decyzją na poziomie wielokrotnie niższym od zapotrzebowania.

Mimo to rola *Tygodnika Powszechnego* jest nie do przecenienia. Stał się on od dawna ośrodkiem moralnej, intelektualnej i politycznej opozycji. Wpływ tego ośrodka wykraczał i wykracza daleko poza ocenzurowane łamy *Tygodnika*, tworząc, wraz z Klubami Inteligencji Katolickiej i miesięcznikami *Znak* i *Więź* prężną elitę intelektualną polskiego katolicyzmu. To właśnie środowisko było szczególnie bliskie Janowi Pawłowi II.

Katolicy świeccy, ruch „Znak” jak i inni, głównie młodzież wywodząca się z duszpasterstw akademickich, obecnie związana z opozycją demokratyczną, odebrała wybór Jana Pawła II jako wielkie zadanie dla siebie, jako wyzwanie. Stanisław Stomma pisze w *Tygodniku Powszechnym*: „Radując się głęboko nie bądźmy partykularni i strzeżmy się triumfalizmu. Wiemy dobrze, jak wiele braków ma nasze życie społeczne i ile w nim zaniedbań także ze strony katolickiej. Wielki zaszczyt to, i wielkie zobowiązania”.

Wśród powodzi artykułów i publikacji, głównie zachodnich, o sile, żywotności i zwycięstwach polskiego katolicyzmu w starciach z komunistyczną władzą, chciałbym właśnie poświęcić trochę miejsca tym zadaniom i zaniedbaniom.

Wybór Jana Pawła II skłonił mnie do ponownego zajrzenia do pisma wydawanego przez młodych katolików z Lublina i Krakowa pt. *Spotkania*. Wspominałem już o nim w poprzednim przeglądzie, ale nie mogąc odczytać niektórych artykułów, zrobiłem to bardzo pobieżnie. Odcyfrowywanie niewyraźnych, ledwo widocznych tekstów w niecenzurowanych wydawnictwach przypomina próby słuchania zagłuszonej Wolnej Europy. Nieczytelne partie na słabiej odbitych stronicach są jak ginące słowa na falach eteru. Bezsilna wściekłość sięga szczytu, gdy z tego co można wyłowić natężając uszy czy wzrok można się zorientować, że mowa jest o czymś ważnym i ciekawym, ale nie można dokładnie zrozumieć sensu.

W czwartym numerze *Spotkań*, datowanym lipiec 1978, zamieszczono trzy artykuły o misji apostołskości Kościoła wśród świeckich i o zadaniach kościelnej działalności społecznej.

Jan Sadok pisząc o strategiach ewangelizacji w Polsce, zmienianych przez Kościół w zależności od warunków historycznych,

ustrojowych i społecznych, wyróżnia cztery jej etapy w ciągu ostatnich 60 lat. Pierwsza to strategia „monopolistyczno-większościowa”, oparta na liczebnej przewadze katolików, korzystająca z życzliwego poparcia instytucji państwowych i związana z elitami władzy. Taka strategia była w okresie międzywojennym źródłem znacznego antyklerykalizmu. W latach 30-tych, głównie z inicjatywy Piusa XI, rozwija się strategia organizacji apostołskich, czyli tworzenie masowych stowarzyszeń o charakterze religijno-społecznym. Akcja Katolicka, Sodalicje Mariańskie, Apostolstwo Modlitwy, bractwa i kółka różańcowe wychowywały religijnie i formowały intelektualnie i moralnie setki tysięcy młodzieży. Owoce tego zbieramy jeszcze do dziś. Strategia obrony, rozpoczęta w czasie okupacji, trwa do dziś. Sadok opisuje procesy laicyzacyjne, zarówno te samoczynne (wynikające z migracji, urbanizacji, modernizacji itp.) jak i te wynikające ze świadomej polityki władz, do której już należy zablokowanie rozwoju sieci parafialnej w rozrastających się miastach, jak i cały program ateizacji prowadzony przez materialistyczne państwo przy pomocy środków administracyjnych i propagandowych. Likwidacje i zakazy dotknęły praktycznie całą prasę katolicką adresowaną do masowego odbiorcy. Rozwiązaniu uległy wszystkie odradzające się po wojnie organizacje katolickie a potem przyszła kolej na katechizację w szkołach. Sadok cytuje wypowiedź kardynała Wojtyły z obrad V Synodu w październiku 1977 roku:

„Ateizm jako nowa forma religii przenika cały system szkolnictwa, korzystając na zasadzie wyłączności ze wszystkich przywilejów, gdy chodzi o życie publiczne, stowarzyszenia, instytucje, które sprzyjają ateizmowi. W ten sposób tworzy się niejako kompleks antykatechizacji w społeczeństwie”.

Dalej Sadok pisze o działalności Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej, liczącego 211.000 członków, mającego poparcie najwyższego kierownictwa politycznego, możliwych członków wspierających w terenie w postaci wszelkiego rodzaju instytucji kulturalnych, przedsiębiorstw itp., organizującego młodzież szkolną w Kołach Młodych Racjonalistów, monopolizującego domy kultury, uniwersytety dla rodziców, narzeczonej, penetrującego wojsko i stale ograniczającego działalność Kościoła.

„Liczne kategorie społeczne i zawodowe: administracja, wojsko, milicja, marynarze, transportowcy, pracownicy nauki, artyści — znaleźli się poza faktycznym zasięgiem Kościoła”.

uważa Sadok.

Czwarta strategia to strategia dialogu, który:

„... jest nakazem chwili. Kościół katolicki w Polsce, będąc od tylu lat ostoją i nadzieją humanizmu, nie może nagle odepchnąć wszystkich zbliżających się do niego, nie może wycofać się w sferę liturgicznego i pietystycznego eskapizmu. Rezygnacja z działania społecznego i walki o prawa czło-

wieka, pojawia się jako realna pokusa [...]. Ale eskapizm taki zamknąłby nas w zakrystii. [...] Niedorozwój dialogu wewnątrzkościelnego — jako warunku normalnej formacji religijno-moralnej — wygląda różnie w poszczególnych krajach. U nas nie przejawiają ożywionej działalności ani grupy dialogu z innymi chrześcijanami, ani z ateistami, ani wiernych ze sobą nawzajem. [...] Anemiczne życie społeczne odbija się poważnie na życiu Kościoła, mentalność obywatelska decyduje o mentalności i postawach katolików. Niedotlenienie w sferze instytucji świeckich powoduje ospałość także w życiu religijnym. Siłą więc rzeczy Kościół lokalny klerykalizuje się. Procesowi temu sprzyjała także likwidacja Rad Parafialnych, z inicjatywy Kościoła i także pod dyktatem strachu (na pewno słuszna nawet konieczna lecz mająca także ujemne następstwa). Obecnie po 30 latach, niezamierzonego przecież przez Kościół, usypiania laikatu, dysponujemy już tylko garstką ludzi rzeczywiście aktywnie zaangażowanych w życie i misję ewangelizacyjną. Tu także leży powód, dlaczego tak opornie idzie naprzód organizacja Rad Duszpasterskich, choć to już 13 rok od Vaticanum II”.

Odbudowa zniszczonej świadomości laikatu polskiego wiedzie, według Sadoka, poprzez stworzenie parafialnej katechezy dorosłych by przeciwdziałać wtórnemu analfabetyzmowi, i dynamizację nieformalnych, spontanicznych grup.

Wiele zbieżnych myśli wyraża ks. Józef Tischner, filozof i teolog, w artykule o horyzontach apostołstwa świeckich. Píše on m.in.:

„System zwany „dyktaturą proletariatu”, jak wszelki system dyktatury, doprowadził do głębokiego podziału społeczeństwa na obce, a często nawet na wrogie sobie ugrupowania. Nasilają się dążenia izolacjonistyczne między ludźmi, postawy partykularne, często zaściankowe. Nieznajomość mechanizmów życia społecznego rodzi nieufność i lęk, ludzie są wobec siebie podejrzliwi, nie potrafią szczerze ze sobą mówić. Rzutuje to oczywiście również na mentalność chrześcijan. Chrześcijanie zamykają się niejednokrotnie spośród tego, co bezpośrednio, najbliższe, dewocyjne. Naszej religijności grozi zanik ducha uniwersalizmu. [...] Nadzieja na zbudowanie lepszego systemu społecznego jest ważną nadzieją w życiu człowieka. Winna się ona stać podstawową nadzieją chrześcijanina w Polsce. Jak kiedyś nadzieja na uzyskanie niepodległości była nadzieją nie tylko narodową ale i religijną, tak i dziś nadzieja na polepszenie doczesnych warunków bytu ludzkiego winna stać się podobną nadzieją — nadzieją narodową i zarazem religijną. W trosce o sprawiedliwość ziemską chrześcijanin winien przejawiać więcej inicjatywy i odwagi niż inni mieszkańcy ziemi”.

Te stwierdzenia ks. Tischnera wydają mi się bardzo ważne. Powinny one stanowić inspirację do zaangażowania społecznego i politycznego wszystkich chrześcijan w Polsce, słusznie dziś często podejrzewanych o izolowanie się i stronienie od spraw publicznych.

Potwierdzeniem analizy Sadoka i Tischnera, oraz praktyczną odpowiedzią na wysuwane przez nich postulaty była próba zorganizowania środowiska intelektualnego młodzieży katolickiej w Krakowie. O 5-ciomiesięcznej historii tego eksperymentu, zwanego „Norbertanki” (od klasztoru SS. Norbertanek, gdzie się spotykano) pisze krakowski działacz SKS-u Józef Ruszar. Ambicją

inicjatorów tych spotkań liturgicznych, regularnych wykładów z historii, filozofii, nauk społecznych, odczytów, wieczorów autorskich było stworzenie ruchu formacyjnego, kulturalno-naukowego, karmiącego się wartościami chrześcijańskimi. Wzorami było zarówno przedwojenne Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży Akademickiej jak i działająca obecnie młodzieżowa Sekcja Kultury przy warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej. Chciano natomiast odejść od koncepcji tradycyjnych duszpasterstw akademickich, które zrażały tę młodzież swą intelektualną zaściankowością, zamkniętym na dialog charakterem nauczania, dającym częściej gotowe odpowiedzi i recepty, niż stawiającym problemy. Studentom wrażliwym na sprawy społeczne i narodowe, zorientowanym bardziej intelektualnie niż emocjonalnie nie wystarczały łatwe odpowiedzi dawane przez zawodowych posiadaczy oczywistych prawd. W ramach działalności kulturalnej i publicystycznej zdążono odbyć m.in. następujące wieczory artystyczne i dyskusje: Halina Mikołajska wystąpiła z monodramem według Tomasza Manna, Stefania Woytowicz zaprezentowała repertuar od Bacha do Lutosławskiego, Jan Józef Szczepański dyskutował o godności i odpowiedzialności w związku ze swą książką „Przed nieznanym trybunałem”, Zdzisław Jaskuła, młody poeta z Łodzi, związany z *Pulsem*, czytał swe wiersze i rozmawiał o poezji i o problemach swojego pokolenia; w lutym, w atmosferze zwiększonego napięcia wywołanego pobiciem Adama Michnika w Krakowie w związku z jego wykładem w ramach Latającego Uniwersytetu, odbyło się spotkanie ze Stanisławem Barańczakiem, w czasie którego mówiono z niepokojem o stanie i przyszłości naszej kultury. Wieczór autorski Wiktora Woroszyńskiego był pierwszym spotkaniem, które odbyło się nie w sali Duszpasterstwa, lecz — dla bezpieczeństwa zebranych — w kościele. Na przebieg spotkania wpływ wywarło zatrzymanie pisarza na dworcu krakowskim i wzrastający nastrój zagrożenia. Nurt publicystyczny zapoczątkował odczyt obecnego redaktora naczelnego *Znaku* Jacka Woźniakowskiego, potem odbyły się spotkania z Andrzejem Kijowskim, który odczytał m.in. swoje opowiadanie wydane przez Niezależną Oficynę Wydawniczą pt. „Idi Amin u Papieża”, ze Stefanem Kisielewskim, który przyciągnął ponad 300 osób, z redaktorami *Więzi* Tadeuszem Mazowieckim i Janem Turnau'em i jeszcze kilka innych. Wiele zaplanowanych spotkań i wieczorów artystycznych już nie mogło się odbyć, gdy nie było się już gdzie spotykać.

W ramach działalności naukowej odbyły się cykle wykładów z filozofii (m.in. wykłady monograficzne ks. Józefa Tischnera o Heideggerze), z socjologii i historii najnowszej (niestety nie da się odczytać na jaki dokładnie temat). Do osiągnięć zjawiska zwanego „Norbertanki” Józef Ruszar zalicza:

„zmobilizowanie grupy ludzi, która czuła się osobiście odpowiedzialna za organizowanie spotkań... Uczyło to nas i zmuszało do samodzielności i przedsiębiorczości — przede wszystkim tych, którzy tworzyli coś w rodzaju

rady programowo-organizacyjnej... i skupienie dużej liczby uczestników z różnych grup studenckich, a także ze środowisk inteligencji twórczej, np. pracowników naukowych, literatów. Przeciwnie do 'Norbertanek' przychodziło 100-200 osób na spotkania i 25-30 na wykłady... Niepowodzeniem 'Norbertanek' było to, że nie zrealizowaliśmy programu semestru letniego i zanim tworzące się środowisko zdążyło okrzepnąć — zostało rozbite i rozproszone się, gdy nie miało się gdzie zbierać".

kończy Ruszar. To co Ruszar wymienia jako główne osiągnięcia było niewątpliwie również głównym powodem reakcji władz: szantaże i groźby, wywołanie atmosfery napięcia, skandalu politycznego, policyjnej rozróby. I władze chyba się nie mylą w swej ocenie. Inicjatywy takie mają dużą potencjalną nośność społeczną, łatwo mogą się przerodzić w bardziej masowy ruch i oferują wartości moralne i intelektualne, którym władza może przeciwstawić jedynie siłę policji i sprzedawczykowstwo.

Inicjatywę tę poparł osobiście Arcybiskup Krakowa, Karol Kardynał Wojtyła. Na zaproszenie młodzieży przybył On w styczniu do „Norbertanek” na tzw. „opłatek”. Celebrował uroczystą Mszę św. i wygłosił do młodzieży, która jak się wyraził, „jest szczególnym dobrem Kościoła”, okolicznościowe kazanie oparte na drugim zwrotce starej kołedy „Bóg się rodzi, moc truchleje...”.

Jednym z wielu tematów pasjonujących spekulacji po wyborze Jana Pawła II jest pytanie czy inicjatywa „Norbertanek” może się odrodzić, czy może dojrzał właśnie czas do organizacji wielu takich środowisk jednocześnie w wielu miastach. Może jest to odpowiedni moment do przełamania oporu władz i do zapoczątkowania odbudowy masowych społecznych organizacji religijnych?

Dziś, w dobie triumfu Kościoła w Polsce, sytuacja bynajmniej jednak nie jest łatwa. Przewyciężenie odrętwienia społecznego zarówno katolików jak i całego narodu nie dokona się z dnia na dzień, a władze nie zrezygnują z zacieklego oporu. Pewien optymizm zaczerpnąć jednak można z biadań bojowników ateizacji. Przykładem niech będzie ten oto urywek artykułu Włodzimierza Sokorskiego (dawnego ministra kultury i byłego szefa radia i telewizji) zamieszczonego w piśmie „Wychowanie Obywatelskie” (propagandowo-instruktażowy periodyk dla nauczycieli): autor ubolewa, że w nauczaniu religii:

„kładzie się coraz większy nacisk na wykształcenie filozoficzno-obyczajowe a nie katechistyczne. Wynik tej reformy jest zdecydowanie 'pozytywny', stając się skuteczną konkurencją dla obywatelskiego wychowania, opartego na myśleniu racjonalistycznym i świeckim. W wieku 18-20 lat, młodzież wymyka się spod naszych wpływów. Co gorzej, nie mając filozoficznego przygotowania, jest dość bezradna w obliczu aktywizowania się wielu obcych nam ośrodków, nie tyle nawet propagandowych, co wychowawczych”.

Dalej Sokorski ubolewa nad tym, że działalność Tow. Krzewienia Kultury Świeckiej obejmuje w Warszawie 0,5 % młodzieży, a w najbardziej „zaawansowanym” województwie katowickim — 3,5-5,5 %.

„W obliczu licznych katedr teologii, nie mówiąc o Uniwersytecie Lubelskim, pisze dalej, w zadziwiający sposób sami siebie rozbroiliśmy, gdyż, rzecz prosta, kursy szkoleniowe, nawet na najwyższym poziomie, nie mogą wypełnić luki. Sytuacja socjalistycznego wychowania młodzieży coraz bardziej jest zagrożona przez wielorakie działania 'rozmywające' naszą ideologię”.

I chwala Bogu! komentuje publicysta zbliżonego do KSS „KOR”-u miesięcznika *Głos*, w którym ten fragment znalazłem, zamieszczony tam jako *curiosum*.

Kościół nie jest partią polityczną, jego misja nie jest doczesna, Kościół nie powinien angażować się i nie angażuje się w bieżącą politykę. Są to truizmy, o których ani na chwilę nie powinniśmy zapominać. Tym niemniej jednak pisząc o polskiej myśli politycznej wciąż nawracamy do roli Kościoła. Dzieje się tak dlatego, że decydująca walka z panującym u nas systemem sowieckim rozgrywa się, i będzie dalej się toczyła na polu wychowania człowieka, a nie tylko na polu ściśle politycznym. A tu rola Kościoła jest oczywista. W tym samym numerze *Głosu* (nr 7, z maja 1978) Bohdan Cywiński pisze o „Wychowaniu do podmiotowości”. Cywiński był działaczem warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, następnie redaktorem naczelnym miesięcznika *Znak*, czołową postacią ubiegłorocznej głodówki protestacyjnej w kościele św. Marcina, a obecnie jest jednym z organizatorów i członków rady programowej Towarzystwa Kursów Naukowych (uniwersytetów latających). Pisze on:

„Podstawowym warunkiem powodzenia wszelkich działań, zmierzających do autentycznej demokracji w Polsce, jest radykalny wzrost podmiotowości politycznej społeczeństwa i obywatela. Wysuwany wobec społeczeństwa program mobilizacji postaw podmiotowych musi być jednocześnie programem wychowania społecznego i programem konkretnych, publicznych działań zbiorowych. Musi to być program wychowawczy, gdyż doświadczenia blisko czterdziestu lat stłumiły w społeczeństwie zdolność swobodnego wyrażania postaw podmiotowych i w szerokich rzeszach ludzi wyrobiły przyzwyczajenie biernego godzenia się z tendencjami uprzedmiotowiającymi jednostki i społeczeństwo. Przewyciężenie tych głęboko już zakorzenionych postaw bierności w życiu publicznym wymaga intensywnej i szeroko zakrojonej akcji wychowawczej, która zdolna byłaby pomóc w moralnym i duchowym rozprostowaniu się człowieka w Polsce. Stąd też konstruowanie jakiegokolwiek programu politycznego bez uprzedniego lub choćby równoczesnego wysiłku wychowawczego byłoby działaniem pozornym, pomijającym istotę sprawy, działaniem pozornym i prędzej czy później skazanym na wewnętrzną klęskę. [...] Nie łatwo wystąpić dzisiaj z programem wychowania społecznego, zwłaszcza z programem, osmielającym się część odpowiedzialności za istniejący stan rzeczy składać na sumienie zmęczonego najnowszą historią społeczeństwa. Niełatwo domagać się czegokolwiek w imię solidarności społecznej czy poczucia wspólnoty narodowej. Wygłoszony nierozważnie przez kogoś, kto nie ma w oczach społeczeństwa dostatecznej po temu legitymacji moralnej, wszelki mobilizujący apel może wywołać w opinii publicznej oburzenie, a najpewniej spotkać się z powszechną obojętnością. Jedyną instytucją, dysponującą odpowiednim autorytetem — a jednocześnie strukturą masowego przekazu — jest oczywiście Kościół nauczający. [...] Najtrudniejsze problemy moralne udziału katolików w życiu publicznym — pojawiające się w ostatnich latach częściej w listach pasterskich Episkopatu — niemal z reguły są pomijane

lub ujmowane w sposób mało wnikliwy czy wręcz pozorny, przez znaczną większość duszpasterzy w terenie. Ku zmianie tego stanu rzeczy powinien skierować się podstawowy wysiłek: Kościołowi w Polsce i jego duszpasterzom nie można pozwolić na żaden unik w dziedzinie moralności społecznej, jeśli Kościół ma pozostać w dalszym ciągu miejscem, w którym mówi się prawdę i gdzie po prawdę się przychodzi. [...] Oceniając obiektywnie — poza Kościołem instytucjonalnym — nie istnieje w społeczeństwie (i nie zaistnieje z dnia na dzień) żadna instytucja ani organizm polityczny o autorytecie wystarczającym dla wystąpienia z moralnym pouczeniem”.

J. Ś.

Mons. PAOLO HNILICA S.J.  
Vescovo Titolare di Rusado  
Via Monte Santo 14  
Roma.

Wybór Polaka, Arcybiskupa Krakowskiego Kardynała Wojtyły na Stolicę Piotrową ucieszył nas, Słowaków prawie tak, jak ucieszył Polaków, gdyż łączy nas z nimi nierozzerwalne więzy duchowe i religijne jak również wspólne cechy narodowego charakteru.

Z Polską mamy wspólną naszą najdłuższą granicę przylegającą do Archidiecezji Krakowskiej. Stosunki nasze z Polakami były zawsze żywe, braterskie, co wpłynęło niewątpliwie na ukształtowanie się wspólnoty duchowej i życia religijnego. Słowacy wreszcie, tak jak i Polacy, byli częstokroć ofiarami wrogich prześladowań i cierpieli najcięższy ucisk narodowy i religijny, i mimo to zachowali, tak jak Polacy, wiarę w Boga i wierność Stolicy Apostolskiej, ożywiani wciąż gorącą czcią Matki Bożej.

Tym czym dla Polaków jest Matka Boska Częstochowska, dla Słowaków jest Matka Boska Bolesna, Patronka narodu.

Słowacy są dziś narodem bardzo uciemionym, cierpiącym — zwłaszcza w ostatnich 30 latach — prześladowanie religijne, bez precedensu w dziejach narodu.

W tej tragicznej sytuacji Słowacy znajdowali i znajdują duchową pomoc i oparcie u swych północnych sąsiadów, u braci Polaków, biskupów, księży i świeckich. To o czym nie mogli mówić swoim pasterzom — i za ich pośrednictwem wypowiedzieć Papieżowi — wypowiadali biskupom polskim, głównie w Krakowie. Dlatego też wielką jest radość Słowaków i bezmierną wdzięczność Panu Bogu i Jego Matce za to, że dali nam Papieża, który zna doskonale bóle i ciężary wiernych synów Słowacji i wyczuwa ich nadzieje.

Jako biskup słowacki na uchodźstwie, jestem pewny, że potrafi on przyjść z wydatną pomocą moim cierpiącym siostrą i braciom.

Zapewniam też Ojca Świętego, że wierni naszego, tak ciężko doświadczonego, narodu będą nieustannie wspierać Jego Świętobliwość modlitwami i ofiarami, zachowując niezachwianą wierność Następcy św. Piotra, w każdej sytuacji i nawet za cenę życia.

*Počas svojich návštev Polska obdivoval som s radostou živú vieru a hlboký nábožencký život poľského ľudu, aké som nestretol v žiadnej inej krajine sveta.*

*Svätému Otcovi Jánovi Pavlovi II, zo srdca želám, aby s Božou pomocou celá Cirkev za Jeho Pontifikátu osvojila si vieru a náboženský život, ktoré sú vlastné zbožnému poľskému národu.*

Rim, 29 októbora 1978

† Pavol HNILICA, S.J.

Mons. Vytautas KAZLAUSKAS

Elekcja Kardynała Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową stanowi dla Litwinów najmiłą niespodziankę, prawdziwe *gaudium magnum*. W Jego Osobie uznaliśmy natychmiast Pasterza, który bardziej niż jakikolwiek inny członek Świętego Kolegium zna problemy religijne i narodowe ludu litewskiego. Papież Jan Paweł II zna te problemy dogłębnie, ponieważ sam miał bezpośrednie doświadczenie i styczność z systemem prześladowania i represji, jakich ofiarą jest dziś naród litewski.

Sytuacja Kościoła na Litwie jest bardzo poważna. Od długiego już czasu sześć diecezji na Litwie nie ma biskupów ordynariuszy. Dwaj biskupi, wśród nich administrator apostolski Wilna mons. Julionas Stepanovicus, zostali przez reżym wydalenii ze swych stolic wyłącznie dlatego, że pragnęli wypełniać wiernie swe obowiązki duszpasterskie. Wiele kościołów — a wśród nich monumentalna katedra wileńska — zasekwestrowano i zamknięto. Od zakończenia drugiej wojny światowej nie zbudowano żadnego nowego kościoła. Wiele parafii pozostało bez kapłana, ponieważ każdego roku umiera około 25 księży, a zaledwie 10 nowych jest wyświęcanych. Jedyne seminarium w Kownie znajduje się pod ścisłą kontrolą ateistycznego reżymu i musi przewyżyczać liczne trudności i ograniczenia by móc kontynuować przygotowywanie nowych kapłanów dla całego kraju. Chociaż powołań na Litwie nie brak, seminarium może przyjmować rocznie tylko dwudziestu alumnów.

Zachodnia opinia publiczna stawała się coraz bardziej obałamucana i obojętna wobec tej dramatycznej sytuacji. Sam już fakt wyboru Kardynała Wojtyły na Stolicę Apostolską zmienił jednak coś w tym generalnym zamęcie i obojętności. Uwaga światowej opinii publicznej zwróciła się ku problemom Kościoła

prześladowanego. Dla ludu litewskiego więc nowy Ojciec Święty Jan Paweł II jest *homo missus a Deo*, człowiekiem Opatrzności, który wpaja nową nadzieję i odwagę.

Ta nadzieja przekształciła się w entuzjazm po pierwszych słowach, skierowanych przez Papieża do Litwinów: „*Mano nuoširdus sveikinimas broliams lietuviams: Bukite laimingi ir ištikimi Kristui*” (Moje serdeczne pozdrowienia dla braci litewskich: bądźcie szczęśliwi i wierni Chrystusowi).

Litwini pozostaną zawsze nieskończenie wdzięczni Ojcu Świętemu za tę zachętę i za tę troskę o naród litewski.

*Mons. Vytautas KAZLAUSKAS*  
Przewodniczący Unii Kapłanów  
Litewskich we Włoszech.

Josif Kardynał SLIPYJ

Po wyborze Papieża Jana Pawła II wielu katolików zwróciło się do nas, Ukraińców, pytając jakie są nasze uczucia i nadzieje w związku z wyborem Papieża Polaka. Ci, którzy znają historyczne stosunki ukraińsko-polskie ciekawi są naszej opinii.

Nie jest ona bardzo optymistyczna, ale oparta na logicznych przesłankach. Niniejsze myśli stanowią poszerzenie i uzupełnienie „Deklaracji” dla prasy, wydanej przez Kancelarię Patriarchy niezwłocznie po elekcji nowego Papieża.

1. Papież Jan Paweł II jest Słowianinem. Łączą go z całą rodziną narodów słowiańskich, w tym i z Ukraińcami, podobna mentalność, podobne uczucia, a nawet los historyczny. Słowianie, nie wyłączając Polaków, niestety zawsze byli w dziejach przedmiotem różnych kalkulacji i koniunktur swych zachodnich (i wschodnich) sąsiadów. Ukraińcy i Polacy i mieli i mają wspólnych wrogów, a dzisiaj tym wrogiem jest Moskwa. Nikt z Polaków tego nie zakwestionuje. Wspólne niebezpieczeństwo jednoczy i tworzy wspólny front. Powinno stworzyć obopólną pomoc i braterską obronę. W naszych dziejach, za czasów hetmana Wyhowskiego, był tego jaskrawy przykład, chociaż nie przyniósł pozytywnych wyników. Papież Słowianin powinien lepiej zrozumieć swych sąsiadów.

2. Nasze narody mają za sobą już 60 lat walki z komunizmem. „Cud nad Wisłą” uratował Polskę od bolszewików, lecz tylko na 25 lat. My, Ukraińcy, natomiast popadliśmy w ich niewolę. Ostatnia wojna światowa przyniosła ją również i Polakom. Nasze losy są podobne. Kardynał Wojtyła był śmiałym bojownikiem w walce z tą bezbożną doktryną. Jego logika dorównuje stylowi

św. Tomasza z Akwinu, którego Wojtyła jest uczniem jako filozof. Według jego własnych słów: „Nikt nie może być równocześnie chrześcijaninem i materialistą, wierzącym i ateistą”. My, Ukraińcy, jesteśmy pewni, że pod tym względem Papież będzie popierał naszą walkę, chyba że wiatry w Kurii Rzymskiej nadal będą wiały w przeciwnym kierunku.

3. Papież Jan Paweł II posiada niezłomny charakter, przeszedł twardą szkołę życia, był robotnikiem, brał udział w polskim podziemiu za czasów okupacji niemieckiej. Wie co znaczy walka o prawa swego narodu, rozumie uczucia gnębionych i poniewieranych.

4. Polskiemu Kościołowi i biskupom należy się wielkie uznanie za ich jedność i walkę z komunizmem mimo nie sprzyjającej tej walce watykańskiej *Ostpolitik*. My, Ukraińcy, często to uznanie wyrażaliśmy. Polacy za sprawą Ducha Świętego otrzymali obecnie nagrodę. Istnieje jednak ukraiński pobratymczy Kościół w jedności z Rzymem (i niegdyś Polacy pomagali naszym biskupom tę Unię z Rzymem odnawiać). Ten Kościół ukraiński wciąż walczy w nierównych, ciężkich warunkach. Tę Unię oficjalnie skasowano 30 lat temu w Związku Sowieckim, o czym milczy się na Zachodzie. Czy Papież nie ujrzy potrzeby podania pomocnej ręki uciemnionym, nie ograniczając się do słów pociechy i zachęty do cierpliwości, jak to czynili jego poprzednicy? Z logicznego punktu widzenia można przyjąć, że zaistniały realne podstawy dla takich nadziei. Zlikwidowany Kościół ukraiński istnieje na obczyźnie. Ten Kościół traktowano dotychczas po macoszemu, dążąc do oderwania go od korzeni na Ukrainie i do kierowania nim bezpośrednio z Rzymu lub podporządkowania go biskupom obrządku łańcińskiego. By temu zaradzić konieczne jest uznanie ukraińskiego Patriarchatu zgodnie z Dekretami Soboru Watykańskiego II i gwarancjami Unii Brzeskiej. Potrzebne to jest również i byłoby bardzo ważne dla prawdziwego ekumenizmu, w którym odłączeni bracia widzieliby dobrą wolę Rzymu.

5. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że uznanie ukraińskiego Patriarchatu mogłoby zaszkodzić dialogowi Stolicy Apostolskiej z rosyjską Cerkwią Prawosławną. Ten dialog należy zrewidować. Opiera się on bowiem na fałszywych zasadach. Polacy dobrze wiedzą jakie jest prawdziwe nastawienie Rosjan do Kościoła katolickiego, w jaki sposób Rosjanie paktują i jak dotrzymują słowa. Spodziewamy się, że Papież — jako Polak, to dojrzy. Jego odwaga i męstwo pozwalają nam mieć nadzieję, że będzie działał w duchu prawdziwie chrześcijańskim.

6. Polacy na całym świecie organizują się w podobny sposób jak Ukraińcy i inne narody słowiańskie w celu przeciwstawienia się asymilacji. Nie łatwo im to przychodzi w dziedzinie liturgicznej, ponieważ należą do obrządku łańcińskiego. Ale polski patriotyzm jest i tutaj widoczny. Spodziewamy się, że nowy Papież, jako Polak, zrozumie również naszą potrzebę zjednoczenia w je-

den Partykularny\* Kościół obrządku wschodniego, dotychczas rozproszonych biskupów i kapłanów ukraińskich, podległych ła-cińskiej hierarchii.

Takie są nasze nadzieje oparte na logicznym rozumowaniu i na naszych uczuciach — precyzuję je odpowiadając na zapytania naszych polskich przyjaciół. Te nadzieje wyraziłem już we wspomnianej wyżej Deklaracji, w której m.in. powiedziałem: „Wprawdzie polska hierarchia, której podległy jest nasz ukraiński Kościół katolicki w Polsce, nie okazała w przeszłości wyraźnych oznak zrozumienia dla nas, dzisiaj, w skali światowej, kiedy Papież Wojtyła postawiony jest w centrum odpowiedzialności uniwersalnej, na pewno lepiej zrozumie znaczenie naszego Kościoła w tej nierównej walce z ateizmem i w wysiłku na rzecz prawdziwego i szczerego ekumenizmu oraz praw narodów i człowieka”.

Pragniemy, by te nasze nadzieje spełniły się!

Rzym, 3 listopada 1978

† Josif Kardynał SLIPYJ

*Tekst i przekład autoryzowane przez Kancelarię Patriarchy.*

\* Określenie *partykularny* przyjęte jest w nomenklaturze oficjalnej, a zwłaszcza w Dekrecie soborowym w Kościołach Wschodnich, znajdujących się w unii z Rzymem.

Aleksander SOŁŻENICYN

*KULTURA: — Co może Pan powiedzieć o znaczeniu wyboru polskiego papieża i o tym czego oczekują w związku z tym wyborem chrześcijanie w naszych krajach?*

*SOŁŻENICYN: —* W świecie żyjącym w dobrobycie, chrześcijaństwo uległo w znacznej mierze rozproszeniu, a niekiedy skostnieniu. Większość mieszkańców Zachodu utraciła poczucie sensu i wymiaru życia. Ufam, że to odczucie sensu i wymiaru wniesie do kościoła katolickiego nowy papież z niezłomnej duchowo Polski; papież wyrosły wśród ograniczeń, narzucanych kościołowi w jego ojczyźnie. My, Rosjanie, wraz z wszystkimi katolikami krajów Wschodniej Europy bardzo się z tego wyboru cieszymy, i wierzymy że dopomoże on w umocnieniu na całym świecie naszej wspólnej chrześcijańskiej wiary — a tylko ona może dzisiaj zbawić ludzkość.

A Polakom chciałbym złożyć specjalne gratulacje.

*Aleksander SOŁŻENICYN*

Jurij IWASK

## PAPIEŻ JAN PAWEŁ DRUGI

Powinszowanie prawosławnego chrześcijanina

*Kogóż tak długo po drodze krzyżowej  
Wiedziono w męce, jak Rzecz Pospolitą?  
Za tysiącletnią wierność niespożyta  
Przed Polską dzisiaj pochylamy głowy.*

*Lśni podkarpacki kruszec samorodny.  
Piotrowy szept dłoń najgodniejsza trzyma.  
I na słowiańskim obliczu łagodnym  
Widać podbródek twardy Rzymianina.*

*Zgłębiwszy — zgłębi ducha niecnej sprawy.  
On — razem Jan i Paweł. Lew i jagnię.  
Synowska miłość i gniew ojca prawy.*

*Nowego czasu papieskiego pragnę.*

17. 10. 1978

Jurij IWASK

\* J. Iwask jest emerytowanym profesorem literatury rosyjskiej na jednym z uniwersytetów amerykańskich.

Dr Józef LICHTEN

Byliśmy świadkami w jakim tempie prasa światowa różnych odcieni starała się przekazać światowej opinii publicznej szczegółowe informacje o Papieżu Janie Pawle II. Większość opublikowanych artykułów pomaga do zrozumienia jego osobowości. Jeśli chodzi jednak o jego stosunek do Żydów — powiedziano niewiele. Sądźmy, że poniższe informacje uzupełnią w sposób bardziej rzeczowy profil Papieża w tej właśnie dziedzinie. Faktem



jest, że podczas okupacji niemieckiej w Polsce Karol Wojtyła był aktywny w podziemiu, współpracując z katolicką organizacją *Unia*, która pomagała Żydom. Na skutek tego hitlerowcy umieścili go na czarnej liście. Karol Wojtyła odgrywał również dużą rolę w niesieniu pomocy Żydom, w poszukiwaniu schronienia i fałszywych aryjskich dowodów tożsamości. Pod koniec wojny schronił się w piwnicy pałacu — siedzibie Kardynała Sapiehy, by uniknąć aresztowania przez hitlerowców i pozostał tam aż do opuszczenia przez nich Krakowa. Po wojnie, kiedy w Krakowie z prastarej wspólnoty żydowskiej pozostało tylko około pięciuset Żydów, Kardynał Wojtyła pomagał w zorganizowaniu stałej opieki nad żydowskimi cmentarzami w Krakowie. W 1968 roku, jako arcybiskup krakowski, przeciwstawił się wydaleniu resztek polskich Żydów z ich macierzystego kraju.

Opinia światowa musi zrozumieć, że wewnętrzna struktura katolickiego Kościoła w komunistycznej Polsce była i jest odmienna od sytuacji Kościoła w zachodnich państwach demokratycznych. Wobec trudnych stosunków pomiędzy Kościołem a Państwem każda kwestia, nie mająca charakteru ściśle liturgicznego, podlega decyzji władz PRL. Na skutek komunistycznych restrykcji i zawsze możliwych represji kapłani i biskupi muszą uważać. Pomimo to krakowski *Tygodnik Powszechny*, który spełnia podwójną funkcję jako pismo diecezjalne i ogólnokrajowe i jest wydawane przez katolików świeckich, opublikował szereg artykułów na temat Żydów. Moim zdaniem istnieje bardzo mało pism katolickich poza strefą wolnego świata, które by poświęcały więcej miejsca *holocauste* i martyrologii żydowskiej, stosunkom katolicko-żydowskim. Według naszych informacji Kardynał Wojtyła odgrywał przewodnią rolę w działalności tego bardzo ważnego czasopisma.

Jest rzeczą godną uwagi, że Kardynał Wojtyła znał Żydów jako dziecko, jako młodzieniec i dojrzały człowiek. Uczył się razem z nimi od chwili, gdy miał 6 lat, a jego bliski przyjaciel i dawny kolega szkolny, Jerzy Kluger, jest Żydem. Jako młody człowiek Papież niemal codziennie odwiedzał dom swego przyjaciela i innych członków rodziny Klugerów. Ojciec jego przyjaciela był przewodniczącym gminy żydowskiej w Wadowicach (Papież bowiem osiedlił się w Krakowie dopiero gdy miał 18 lat). Ta przyjaźń przetrwała, a ostatnio doszła do punktu kulminacyjnego, kiedy obaj mieli sposobność odnowienia więzów przyjaźni. Papież przyjął swego przyjaciela i jego rodzinę i uradował się ze wspólnej fotografii. „Jest to moja fotografia numer jeden” — powiedział Papież.

Podczas Soboru Watykańskiego II Papież poparł kilkakrotnie deklarację Kościoła w wolności religijnej. W jednej ze swych ważniejszych prac religijnych wypowiedział się w sposób pozytywny i konstruktywny o deklaracji soborowej (*Nostra Aetate*) na temat stosunków Kościoła z religiami niechrześcijańskimi, włącznie z judaizmem. Mamy więc wszelkie powody do oczeki-

wania, że będzie kontynuować stosunki katolicko-żydowskie w duchu tej deklaracji. Wierzmy, że Papież Jan Paweł II rozumie cele ludu żydowskiego i państwa Izrael.

Rzym, 3 listopada 1978

dr Józef LICHTEN

Dr J. Lichten jest przedstawicielem *Anti-Defamation League of B'nai B'rith* w Rzymie oraz członkiem międzynarodowego komitetu współpracy katolicko-żydowskiej, złożonego z przedstawicieli Watykanu (mianowanych przez Pawła VI) i przedstawicieli światowych organizacji żydowskich. W tym charakterze dr Lichten uczestniczył razem z dr. Fritzem Beckerem, przedstawicielem *World Jewish Congress*, w inauguracji pontyfikatu Jana Pawła II. Papież przyjął Jerzego Klugera z żoną, córką i wnuczką zaraz po audiencji zbiorowej dla Polaków z kraju i zagranicy, tj. w dniu 23 października.

#### TELEGRAM GRATULACYJNY UKRAIŃCÓW AMERYKAŃSKICH DO PAPIEŻA JANA PAWŁA II

Zarząd Rady Ukraińskiego Kongresu Ameryki (*Ukrainian Congress Committee of America*) przesłał telegraficznie swe gratulacje i najlepsze życzenia papieżowi Janowi Pawłowi II. Telegram, datowany 19 października 1978, był podany do wiadomości publicznej w numerze z 29. 10. 78 dziennika ukraińskiego *Svoboda* z Newark, N.J.

W imieniu Zarządu i wszystkich członków Rady Ukraińskiego Kongresu Ameryki (U.C.C.A.), który reprezentuje ponad dwa miliony Amerykanów ukraińskiego pochodzenia, przesyłamy nasze najserdeczniejsze gratulacje i życzenia z okazji wstąpienia Waszej Świątobliwości na tron Św. Piotra. Jesteśmy dumni z faktu, że jako Polak Wasza Świątobliwość należy do rodziny narodów słowiańskich, do której należy również Ukraina, kraj naszego pochodzenia.

Jesteśmy dumni z faktu, że głosy Ojców Kościoła skupiły się na osobie Waszej Świątobliwości, ponieważ Wasza Świątobliwość jest człowiekiem szczególnie odpowiednim do interpretowania w należyty sposób nie tylko historii Kościoła w Europie Wschodniej, lecz także stosunków historycznych, narodowych, ekonomicznych i kulturalnych w tej nieszczęśliwej i tak bardzo prześladowanej części Europy.

W 1966 roku kraj rodzinny Waszej Świątobliwości obchodził millenium Polski Chrześcijańskiej, a w 1988 roku Ukraina będzie również obchodziła tysiąclecie przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Jednakże, jak wiadomo Waszej Świątobliwości, bezbożny re-

zym, który sprawuje teraz rządy na Ukrainie, brutalnie zniszczył Ukrainą Autokefalaną Cerkiew Prawosławną zabijając trzech metropolitów, 30 arcybiskupów i biskupów, oraz ponad 2.000 księży i zakonników. W latach 1945-1946 ten sam reżym zniszczył bezlitośnie Ukraini Kościół Katolicki w Galicji i na Ukrainie Karpackiej przez zaarrestowanie i deportację całej jego hierarchii, setek księży, zakonników i sióstr, tudzież przez podporządkowanie Ukraini Kościoła Katolickiego Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej wbrew woli przeszło siedmiu milionów katolików ukraińskich. Jedynym członkiem ukraińskiej hierarchii katolickiej na Ukrainie, który ocalał, jest kardynał i patriarcha Josif Slipyj; przez 17 lat znosił on cierpienia w więzieniach i łagrach sowieckich.

Pod wpływem tego aktu niesłychanego barbarzyństwa znakomity poprzednik Waszej Świątobliwości, papież Pius XII wydał dwie encykliki, „Orientales Omnes” (1952) i „Orientales Omnes Ecclesias” (1952), w których ubolewał nad zniszczeniem Ukraini Kościoła Katolickiego. Ale pomimo opresji ze strony ateistycznego reżymu Ukraini Kościół Katolicki pełni nadal — w katakumbach — swą misję pasterską.

Ukraina i Polska są, pomimo nieszczęśliwych i czasem tragicznych stosunków w przeszłości, dwoma sąsiednimi narodami słowiańskimi, blisko spokrewnionymi pod względem języka, kultury i religii, jak również aspiracji narodowych.

Zywimy szczerą nadzieję, że Wasza Świątobliwość, jako głowa powszechnego Kościoła Katolickiego, natchnie i Polaków i Ukraińców wola zacieśnienia wzajemnych stosunków celem utrzymania ducha wolności i niepodległości w Polsce i na Ukrainie, chociaż w chwili obecnej oba te kraje znajdują się pod rządami władzy, której ich ludność sama nigdy nie wybrała. Wiemy, że ponad trzy miliony Ukraińców żyjących w diasporze będzie się modlić za zdrowie Waszej Świątobliwości i pomyślne kierowanie Kościołem Katolickim.

Prosimy pokornie o apostołskie błogosławieństwo Waszej Świątobliwości. *Na mnohaja lita, Wasza Swiatoste.*

## Archiwum polityczne

### O rewolucji i terroryzmie

Rewolucja francuska, której nosicielem był Stan Trzeci czyli burżuazja, nie stworzyła żadnej ideologii. Była rewolucją światopoglądową, wyrosła z negacji feudalizmu i jego niesprawiedliwości. Absolutyzm francuski, przez to, że był oświecony, stanowił dla siebie samego niebezpieczeństwo. Dzięki niemu Encyklopedyści i inni filozofowie owej epoki obnażyli zło feudalizmu, postulując bardziej sprawiedliwe stosunki międzyludzkie. W rezultacie, Rewolucja Francuska wysunęła hasła równości, wolności i braterstwa, które były negacją starego porządku, a nie propozycją nowego ustroju. I nie mogło być inaczej, ponieważ na rewolucję kapitalistyczną było jeszcze za wcześnie. Antycypując ideały polityczne, które stały się społecznie uzasadnione blisko 30 lat później, rewolucja burżuazyjna wyprzedziła kapitalizm. W ten sposób pomiędzy pragnieniem ulepszenia świata i warunkami techniczno-produkcyjnymi, które umożliwiałyby jego urzeczywistnienie, powstała kolosalna różnica potencjałów. Wprawdzie Rewolucja Francuska zniosła poddaństwo chłopów, na które inne kraje Europy czekały jeszcze dziesiątki lat, ale w zestawieniu ze szczytnymi i ambitnymi celami rewolucji, postulującej zrównanie, zbratanie i uwolnienie ludzi od wszelkich form ucisku, wyzwolenie chłopów stanowiło zaledwie drobną cząstkę ówczesnych rewolucyjnych tęsknot.

Przeciw arystokracji, szlachcie i królowi zbuntowali się we Francji jednak nie tyle chłopci, najbardziej ucimieni przez feudalizm, ale kupcy, rzemieślnicy i robotnicy manufaktur. Hasła Rewolucji Francuskiej, które dziś, po blisko 190 latach, wciąż brzmią w naszych uszach tak podniośle, nie były wymyślone przez owych kupców i rzemieślników ale, jak zwykle bywa i bywało, przez zawodowych myślicieli. Broń polityczną do ręki dali Sta-

nowi Trzeciemu głównie Encyklopedyści. Byli oni rzeczywistą elitą umysłową Francji. Znajdowali zresztą swoich patronów na obcych dworach. Niejeden absolutny monarcha, zmęczony prostactwem swych generałów i ustawicznymi bojami o skrawki terytoriów w Europie i kolonie amerykańskie, znajdował intelektualne wytchnienie w towarzystwie wybitnych umysłów owej epoki. Prosty lud, z braku środków przekazu, niewiele o tym wiedział. Zresztą prosty lud (wbrew temu co pisał później Lenin) jest zawsze trochę bardziej konserwatywny od swych rewolucyjnych inspiratorów. Chłopi francuscy powitali niewątpliwie zniesienie poddaństwa jako dobrodziejstwo. Ponieważ jednak wszelkie rewolucje pociągają za sobą dalsze, często niezaplanowane skutki, lud niechętnie angażuje się w owe ryzykowne imprezy, szczególnie wówczas, gdy rewolucja wykracza poza jego własne „egoistyczne” cele. Tak było i we Francji. Bunt chłopów w Wandei, którym nie podobali się ani Żyrondyści, ani Jakobini, ani Dyrektoriat, ani nawet Pierwszy Konsul, dają pod tym względem materiał do myślenia.

Żeby kontynuować dalej pewne historyczne analogie, wypada krótko zastanowić się dlaczego Rewolucja Francuska, poczęta w chwale i glorii, po krótkim czasie euforii znalazła się najpierw w impasie absurdałnego terroru, by stać się później w rękach Bonapartego narzędziem niespotykanego w dziejach Francji, ekspansjonizmu. Myślę, że stało się tak z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że likwidacja feudalizmu we Francji nie otworzyła żadnej alternatywy społecznej, ponieważ najwznioślejsze hasła bez nowej technologii nie mogły poza rolnictwem zrewolucjonizować społecznych stosunków produkcji<sup>1</sup>. Z drugiej strony pragnienie ulepszenia świata, skumulowało taki gigantyczny potencjał energii rewolucyjnej w masach francuskich, że musiał on być w tej czy innej formie rozładowany. Egzekucja króla, która zjednoczyła feudalne monarchie Europy przeciw Francji, dała chwilowe ujście w patriotycznej mobilizacji ludu przeciw obcym tyranom. Fakt, że osłabiona ekonomicznie Francja mogła w okresie Dyrektoriatu oprzeć się feudalnej koalicji, a nawet zagrozić takim potęgom jak Prusy i Austria, świadczy o niesłychanej dynamice rewolucyjnej, która szukała dróg ujęcia. Bonaparte, który później dokonywał zaborów, nie rezygnując z hasel rewolucyjnych, zwłaszcza we wczesnej fazie swych podbojów, był idealnym instrumentem, rozładowującym energię rewolucyjną Francuzów. Nauka, płynąca z dziejów Francji od chwili zwołania Stanów Generalnych aż do Waterloo, jest wysoce pouczająca. Nagromadzony

1. „Sprzysiężenie Równych” Babeufa postulowało sytuację, na którą było za wcześnie. Dlatego rewolucjonista Babeuf, wyprzedzający wizję świata swą epoką, musiał zapłacić za swoje idee głową jako kontrrewolucjonista.

potencjał buntu przeciwko jakimkolwiek *status quo* (czy to będzie feudalizm, komunizm czy kapitalizm) szuka dróg ujęcia. Epopei wojen napoleońskich i niebotycznych sukcesów Francji, która u schyłku panowania Ludwika XVI była w stanie kompletnego marazmu i impotencji, niepodobna inaczej wytłumaczyć jak tylko wymienionymi przeze mnie czynnikami. Bonaparte, dzięki swemu geniuszowi, był tą postacią, której udało się skanalizować energię rewolucyjną Francuzów i skierować ją na tory, które odpowiadały jego ambicjom i ambicjom niezbyt licznej warstwy arystów. Z tego też powodu, że wojny napoleońskie stanowiły dla Francuzów jedynie substytut niespełnionych nadziei, wzbudzonych ideałami Wielkiej Rewolucji, epopea napoleońska miała przebieg bardzo krótki (w skali historycznej) i gwałtowny. Poza legendą i kodeksem napoleońskim nie pozostawiła żadnej trwałej spuścizny prócz niewygasłych tęsknot za lepszym światem<sup>2</sup>.

Rewolucja Francuska nie stworzyła ani wizerunku nowego społeczeństwa ani ideologii. Uczynił to dopiero w następnym rozdziale historii marksizm. Wraz z powstaniem i rozwojem kapitalizmu oferował on jego przeciwnikom nie tylko negację opartą na gruntownej analizie jego zła, ale przede wszystkim wizję nowych stosunków społecznych, będących jego antytezą. To, że z wizji tej zrodziła się upiorna rzeczywistość sowiecka nie ma w kontekście naszych rozważań większego znaczenia. Tematem bowiem niniejszego artykułu jest kwestia: jakimi drogami i w jaki sposób rozładowuje się niezadowolenie z istniejącego układu stosunków społecznych w sytuacjach, w której ideolodzy i myśliciele nie są w stanie oferować oponentom, czy też wręcz zbuntowanym, żadnej alternatywy, choćby nawet utopijnej, ale mającej znamiona racjonalności. W moim przekonaniu wystarczające są wówczas namiastki — ale takie, które mają w sobie siłę mobilizującą. Uczynienie z tych namiastek mocy, mogącej poruszyć masy, wymaga z kolei wybitnych indywidualności. Jak wiemy, historia najnowsza nie zmusza mnie do sięgania do wojen napoleońskich i Wielkiej Rewolucji. Hitler był również tym, który przy pomocy pseudo-ideologii, a przede wszystkim hasel nienawiści (będących antytezami hasel Rewolucji Francuskiej) potrafił zdynamizować i skanalizować rosnące niezadowolenie Niemców<sup>3</sup>.

2. Jednym z wyrazieli tych tęsknot był romantyk Rzecki z „Lalki”, wierzący w historyczną misję Bonapartych. Należy sądzić, że postać ta, która była literacką fikcją Prusa, znalazła ucieśnienie w wielu tysiącach ludzi rozsianych po Europie i czekających na moment kiedy się ziści „testament Cezara”.

3. Miało ono u swego podłoża wiele przyczyn — z których najważniejszymi były: kryzys ekonomiczny i krzywdzący Niemców Traktat Wersalski.

Jak dalece w warunkach rosnącego niezadowolenia ludności drugorzędą rzeczą jest gatunek i poziom ideologiczny substytutów, zaferowanych przez utalentowanych liderów, dowodzi między innymi ubogi pokarm polityczny nazizmu, tak niewiarygodnie łatwo zaakceptowany przez naród filozofów i myślicieli jakimi są i byli Niemcy. Jeśli ich przykładu nie wyeksponowałem w pierwszym rządzie cytując przykład Rewolucji Francuskiej, to dlatego, że na tę ostatnią można spojrzeć z dalszej perspektywy historycznej. Jej dzieje nie są obciążone takim balastem emocjonalnym jak hitleryzm, którego wspomnienia są wciąż jeszcze żywe w obecnym pokoleniu.



Historyków pasjonują z dawna mechanizmy przełomowych okresów w dziejach ludzkości. Okresy te manifestują się zawsze albo wzmożonymi ruchami społecznymi albo wojnami. Rzadziej doprowadzały do głębokich rewolucyjnych przemian. Można zaryzykować twierdzenie, że poza rewolucjami komunistycznymi w Rosji, Jugosławii, Chinach i Kubie, w naszym burzliwym stuleciu, przy spiętrzających się przemianach technologicznych, nie było równie głębokich zmian jak te, które przyniósł komunizm<sup>4</sup>. Choć doświadczenia ostatniego 60-ciolecia pouczyły nas jak tragiczną receptą na poprawienie świata okazała się ta doktryna, potrzeba głębokich przemian w obecnych społeczeństwach Zachodu wydaje się sprawą nieuniknioną. Albowiem w tej właśnie strefie jądro konfliktu stanowi potęgująca się dysproporcja, pomiędzy nową wyłaniającą się rewolucyjną technologią i nową świadomością, która w wyniku jej się rozwija, a przestarzałymi instytucjami demokracji kapitalistycznej. Diagnoza niniejsza (nie pretendująca do niczego odkrywczego, albowiem trudno owego konfliktu nie dostrzec) nie ma nic wspólnego ze starą definicją Marksa o antagonizmie między możliwościami wytwórczymi a nieprzystosowanymi do nich społecznymi stosunkami produkcji. Cała sprawa nie leży w płaszczyźnie ekonomicznej<sup>5</sup>. W obecnej epoce nie

4. Wyliczam celowo tylko Rosję, Jugosławię, Chiny i Kubę, ponieważ nie były to kraje, którym „socjalizm” został narzucony jako instrument ekspansji obcego mocarstwa.

5. Biorąc pod uwagę inflację i spadek dolara cytowana opinia może wywołać sprzeciw czytelnika. Niemniej, podtrzymuję ją w całej rozciągłości. Należy tu bowiem podkreślić, że obecny kryzys finansowy USA nie ma nic wspólnego z klasycznymi kryzysami kapitalizmu, który — jak np. najcięższy w roku 1929 — wywołał gwałtowny wzrost bezrobocia (około 40 milionów) i zahamował produkcję. Obecnie, wskaźniki wzrostu gospodarczego są normalne, zaś inflacja i spadek dolara spowodowane są dwoma czynnikami: po pierwsze — nieprzetrawionymi wciąż jeszcze skutkami 500 % zwwyżki ropy, która rykoszetem (poprzez zwiększenie konkurencji przemysł-

chodzi już wcale o to, żeby zaktywizować produkcję, hamowaną niewłaściwą strukturą społeczną. Ten ostatni problem jest wciąż jeszcze i będzie udręką krajów komunistycznych. Problemy Zachodu są zgoła bardziej futurologiczne. Jeśli je mierzyć skutkami społecznymi czy obyczajowymi, to trudno powiedzieć, żeby były mniej groźne od tych, z którymi borykają się Sowiety i państwa sowiecko-podobne. Są po prostu inne. Czy Zachód wyprzedził swą problematyką komunistyczny Wschód lub Trzeci Świat o 100 czy 50 lat — nie jest ani ważne ani rozstrzygalne, ponieważ państwa bloku sowieckiego, jakkolwiek ich losy się potoczą, prawdopodobnie ominą ten zakręt. Najgorsze jest to, że przeszłość nie daje nam żadnej nauki, tym mniej — recepty. Historia nie zna powielanej cykliczności. Postawy ludzkie mogą się powtarzać, ponieważ istota ludzka nie jest woskiem, który z łatwością ugniatają nowe stosunki produkcyjne lub nowe ustroje. Rzecz polega na tym, że ponawiające się motywacje ludzkie — przeważnie buntu i negacji, dają w odmienionych sytuacjach nowe szokujące skutki.

Postać przeciętnego mieszkańca Zachodu — Francuza, Anglika, Niemca czy Amerykanina — uległa daleko idącym zmianom, szczególnie w ciągu ostatniego dwudziestolecia, co zbiega się z epoką postindustrialną. Wygląda więc na to, że przy nowej technologii następują zmiany w postawach ludzkich, przy widocznym skostnieniu form społeczno-politycznych, w których żyje Zachód i Japonia. Oczywiście różnice pomiędzy poszczególnymi narodami naszej strefy cywilizacyjno-kulturowej mogą być znaczne, ale generalnie można uchwycić pewne cechy dominujące i wspól-

wej Niemiec i Japonii) powoduje ujemne saldo handlu zagranicznego Ameryki i potaniecie dolara. Po drugie: i tu wchodzi w rachubę czynnik o wiele poważniejszy. Obecny kryzys jest następstwem ogólnego rozluźnienia dyscypliny społecznej w Ameryce, której brak doprowadza w szczególności do niewiarygodnego trwonienia środków materialnych i energii. Amerykanie przez długi okres lat powojennych nie żyli ponad stan, ale żyli na wysokiej stopie w porównaniu z resztą świata. Obecnie, gdy zachodzi potrzeba oszczędzania energii i pewnego obniżenia stopy życiowej, wszelkie apele w tym kierunku napotykają na zdecydowany opór wszystkich warstw. Opinia publiczna nie chce się zgodzić z realiami, które zmuszają do położenia kresu marnotrawstwu i narzucenia sobie pewnej umiarkowanej zresztą dyscypliny finansowej. Że kryzys amerykański nie jest kryzysem ekonomicznym Zachodu, dowodzi przykład zupełnie niezłe prosperujących krajów jak Niemcy Zachodnie, Szwajcaria, kraje skandynawskie i Japonia. Tam poczucie więzi społecznej zmusiło rządy do zastosowania oszczędnościowego reżymu, którego nie jest w stanie narzucić opinii publicznej żaden amerykański polityk. Tak jak sprawy wyglądają obecnie, jedynie drastyczna zmiana stylu życia i zaciśnięcie i tak bardzo jeszcze luźnego pasa może wyprowadzić Amerykę z jej finansowych tarapatów. Konsekwencje nieuregulowania trudności rynkowo-pięniężnych mogą doprowadzić do nieobliczalnych skutków ekonomicznych w przyszłości.

ne dla mieszkańców krajów zachodnich. Nie będziemy ich wartościować w skali bezwzględnej. Nie czyni zresztą tego nikt, włączając Sołżenicyna. Nie jest bowiem dla nikogo tajemnicą, że ów „antropocentryzm”, na którego ołtarzu humanizm Zachodu złożył wszystkie stare tradycyjne cnoty, nie przeorał ani ludów Trzeciego Świata, ani mieszkańców imperium sowieckiego. Skądinąd szacunek owego braku odwagi i „ultra-humanizmu”, który cechuje Zachód, może okazać się „cnotą” czy też „wadą” wysoce relatywną. Antropocentryzm, którego inspiratorami były na Zachodzie głównie sfery oświecone, rozbiera ich narody tylko wobec obcych ośrodków władzy. Natomiast wzmaga ich agresywność — a więc i swoistego rodzaju odwagę — wobec ich własnego kapitalistyczno-demokratycznego *establishment*'u. Skoro jednak uznałem anachronizm i skostnienie instytucji politycznych demokracji w konfrontacji z nową technologią i nową świadomością człowieka ostatniej ćwierci XX-go stulecia za fakt bezsporny, to czyż postawa agresji wobec przestarzałego reżymu nie jest usprawiedliwiona? Byłaby, gdyby nowa wyłaniająca się świadomość była czystym wysterylizowanym produktem rebelii wobec przeżytych form społecznych; gdyby oponenci ukazywali alternatywę innego lepiej funkcjonującego systemu i gdyby nie działali w świecie o wielu układach społecznych — a co gorsze — o wielu niepodobnych do siebie moralnościach. Tak jak sprawy przedstawiają się obecnie, to potencjał niechęci lub nienawiści do zmurzałego ustroju zaczyna nabrzmiewać i szuka drogi ujścia metodą na ślepo. Jeśli sięgnąć do ukazanego przeze mnie przykładu dziejów Wielkiej Rewolucji Francuskiej, to sytuacja obecnie wygląda nieporównywalnie groźniej, a nawet nosi w sobie cechy bezwzględności.

Okres Wielkiej Rewolucji Francuskiej i następujące po niej lata były czasami Wielkiego Buntu przeciw złu, którego nosicielem był feudalizm. Ale okres ten był zarazem eksplozją wiary i entuzjazmu w hasła, które rozbrzmiewały wraz z pieśnią Marsylianki. Można by rzec, że nienawiść do tyranów zrównoważona była wiarą w lepszy świat i szlachetną w swej istocie naturą człowieka. Poza tym ówczesna epoka, przez to, że poprzedziły ją długie wieki społecznej inercji, była znacznie mniej złożona w swoim socjalnym obrazie od obecnej. Schemat czarno-biały był bardziej wyrazisty i zarysy jego były bardziej ostre. Z braku błyskawicznych środków przekazu i niemal powszechnego analfabetyzmu nowe ideały torowały sobie drogę z trudem i ludzie mieli aż nadto wiele czasu, żeby sobie przyswoić nową rzeczywistość. Wyrwanym z długiego, nie tylko materialnego, ale duchowego snu poddaństwa, wydawało się, że nowe prądy otwierają im wrota do raj. Myślę, że sto kilkanaście lat później salwom

„Aurory” towarzyszyła ta sama wiara maluczkich. Tylko że wówczas trwała ona krócej i była nieporównanie bardziej tragiczna w swym rozczarowaniu.

Geografia buntu w naszym świecie jest o wiele bardziej złożona i trudno mi się pokusić o jej szczegółowy obraz. Można jedynie starać się o ukazanie jej głównych zarysów i niektórych peryferyjnych cech, które rodzą się poza głównym nurtem, podważającym obecne struktury demokracji kapitalistycznych. Te drugie generalnie charakteryzuje się je jako przerosty swobód osobistych. Często ów zespół określa się jako „koszty własne demokracji” dla uwypuklenia faktu, że ustroje komunistyczne są na ogół od nich wolne tylko dzięki drakońskiej dyscyplinie. Rzeczy te są powszechnie znane i rozwodzić się nad nimi nie warto. Należy je tylko sklasyfikować jako objawy uboczne głównych nurtów. Akceptować ich nie ma ani potrzeby ani konieczności. Czy i jakiegokolwiek propozycje nowych struktur zrodzą się w przyszłości, nie będą stanowiły rezygnacji z pewnych zasad, które powinny mieć niezmienną wartość obiegową, bez względu na to w jakiej epoce i w warunkach jakiej technologii ludzkość będzie się rozwijać. Do nich należy elementarne prawo, określające granice osobistej swobody w momencie gdy naruszona jest wolność współobywatela. Łamanie tej zasady nie świadczy o tym, że społeczeństwo rozsądza stare formy ustrojowe, ale o tym, że istnieje kategoria ludzi, niezdolnych do życia w jakimkolwiek społeczeństwie. Jeśli chodzi o główny nurt przeobrażeń, to myślę, że do najbardziej charakterystycznych właściwości należy alienacja pracy — dokładniej niechęć do pracy nietwórczej<sup>6</sup>. Dla rozładowania tego niezbyt widocznego, ale potencjalnie najbardziej eksplozywnego ładunku, którym podminowany jest obecny system, powstają już obecnie próby zainteresowania robotników ich pracą poprzez stworzenie innych — nie tylko zarobkowych więzów z warsztatem. Do nich należą — cytując przykładowo — eksperymenty odejścia od taśmy montażowej w fabryce samochodów „Volvo” w Szwecji (o których wspomina Jerzy Boniecki w Nr. 5 *Kultury* z r. 1978 „Przyczynek do diagnozy”). Niestety, odbywa się to kosztem obniżenia jakości produktu i podniesienia jego ceny, co zgodnie stwierdzają użytkownicy tego samochodu. Dlatego, nie wydaje mi się, żeby te i temu podobne próby wróżyły pomyślne wyniki. Eliminowanie automatyzacji produkcji kosztem zupełnie zbędnej pracy, po to, tylko by ludziom dać złudzenie udziału w procesach twórczych, stwarza jedynie wątpliwej wartości namiastki. Nie przywrócą one ani „honoru” zdewalu-

6. Temat omawiany przeze mnie w artykule: „Przemiany społeczne epoki technologicznej”, *Kultura* Nr 12/263 z r. 1977.

wanej pracy, ani nie dadzą satysfakcji robotnikom. Przypominają one próby usunięcia bezrobocia przy pomocy nikomu niepotrzebnych robót publicznych. Są to plasterki, którymi próbuje się leczyć strukturalne problemy. Niepodobna wyplenić z produkcji komputerów ani tym mniej warsztatów mechanicznych lub taśmy montażowej. Jeśli postęp techniczny grozi nam klęskami społecznymi, to tak długo póki świat nie osiągnął pułapu materialnego nasycenia, wszelka myśl o jego zahamowaniu wydaje się nie-realną<sup>7</sup>. Uwzględniając nieodwracalność mechanizacji i elektroniki, jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest „Czekanie na Robota” — czyli całkowite uwolnienie człowieka od ciężaru nie-twórczej pracy. W międzyczasie zaś nie pozostaje nic innego, jak maksymalna redukcja roboczogodzin, która pozwoli na rozszerzenie marginesu osobistego życia. Oczywiście trendy te, które są coraz bardziej widoczne, stworzą całą skomplikowaną łąm-główkę problemów, której na imię jest kryzys społeczeństwa post-industrialnego. Z tego też właśnie powodu przekonanie o rsonającej niewydolności kapitalistyczno-demokratycznych ustrojów toruje sobie coraz bardziej drogę w umysłach ludzi, będących do niedawna ich bezkrytycznymi zwolennikami.



Za konserwatystów lub neo-konserwatystów opinia publiczna na ogół uważa tych, którzy pragną utrzymania obecnego demokapitalistycznego ustroju jako jedynej gwarancji zachowania naszej cywilizacji, opartej na grecko-rzymskiej i judeo-chrześcijańskiej spuściźnie kulturowej. Uważam, że identyfikowanie tych wartości z zachowaniem obecnych ustrojów demokapitalistycznych jest błędem. Obecne struktury socjalno-polityczne na Zachodzie związane są z pewną epoką określoną stosunkami produkcyjno-usługowymi. Stosunki te na naszych oczach podlegają przeobrażeniu. Powinny zatem powstać nowe formy socjalne i nowe struktury polityczne, dostosowane do odmiennego kształtu społeczności ludzkich. Nie oznacza to wcale wyrzeczenia się naszego, ponad 25 wieków liczącego dziedzictwa, które winno być trwalsze i bardziej niezniszczalne od jakichkolwiek układów społecznych. Ci konserwatyści, którzy starają się związać nieodwracalnie te dwie dziedziny, albo grzeszą ciasnotą poglądów albo obłudą. Często zresztą obydwie motywacje stanowią pewną zbitkę politycznej

7. Piszę tu wyraźnie o klęskach społecznych mając na myśli procesy alienacyjne. Nie wykluczam natomiast tego, że względy ekologiczne mogą nas zmusić do przejściowego zahamowania produkcji w tej czy innej gałęzi przemysłu. Jest to jednak inna tematyka, nie mieszcząca się w ramach niniejszego artykułu.

inercji i własnych interesów. Nie muszą to być interesy *sensu stricto* materialne. Raczej niechęć i obawa przed zmianami. Jeśli w kościele katolickim rodzą się pewne prądy reformatorskie (których nie należy mieszać z oportunistyczną *Ostpolitik* zmarłego papieża Pawła VI), to sądzę, że mają one swe źródło w niechęci wiązania losów Kościoła z ustrojem, przeżywającym okres przekwitania.

Bezwładność, a wreszcie dysfunkcja instytucji politycznych powołanych kiedyś do życia, by służyły społecznościom, jest prawdą z dawna odkrytą przez historyków i socjologów. W konfliktach ze społeczeństwem może ona przybrać rozmaite rozmiary i formy. W demokapitalizmie, ze strony władzy ma raczej charakter wybitnie defensywny. Szczególnie w USA państwo działa pasywnie, licząc na przedłużenie swego żywota dzięki dwuwiekowej tradycji. Poza tym dyskontuje potęgę i dobrobyt tego kraju, który w oparciu o archaiczną od wielu lat konstytucję potrafił się tak imponująco rozwinąć. Następnym z kolei czynnikiem, chroniącym amerykański *establishment*, jest bezwładność samego, niezmiernie mało dynamicznego, narodu. Albowiem Amerykanie w swej masie lękają się jak ognia wszelkich drastycznych zmian. Natomiast czynnikiem, który osłabia amerykański kapitalizm w konfrontacji z jego przeciwnikiem, jest hołdowanie, pojętej do granic absurdu, swobodzie jednostki — zasadzie — która legła u podstaw amerykańskiej demokracji, obracając się przeciwko niej samej. Te wszystkie okoliczności czynią w sumie zachodnie demokracje — a w szczególności amerykańską — obiektem łatwych ataków ze strony tych, którzy chcieliby je jak najszybciej pogrzebać. Jeśli wszelako struktury te, broniąc się tak lekko, przetrzymują najsrozsze ciosy, mają to do zawdzięczenia słabości politycznej swych oponentów, o czym będzie mowa w końcowym ustępie niniejszego artykułu.

Przeciwieństwem tego stanu rzeczy jest sytuacja, jaka wynikła z dysfunkcji instytucji politycznych Sowietów. Tam odwrotnie — zasady, które legły u podstaw komunistycznego ustroju, dają władzy potężny atut do walki z przeciwnikami. Podczas gdy kapitalistyczne instytucje polityczne okazują wstrzemięźliwość i lekliwość wobec atakujących, sowieckie — odwrotnie — barbarzyńską agresywność, która nie tylko rozbija ludność, ale paraliżuje jej wolę walki.

Struktury osobowe najaktywniejszych środowisk rewolucyjnych występujących przeciwko demokracjom kapitalistycznym w rozmaitych krajach, mają kilka bardzo ważnych cech wspólnych. Pierwsza — to pewna elitarność ruchu, wynikająca z tego, że siedliskiem jego są warstwy najbardziej oświecone lub młode generacje sfer najzamożniejszych. Sądzę, że brak atrakcyjności

awansu społecznego, typowy dla latorośli tych rodzin, których głowy zajęły najwyższe szczeble w hierarchii społecznej kraju, wyzwała pogardę lub wręcz nienawiść dla ustroju. Społeczeństwo, które nie stwarza żadnych nowych podniet i pragnień, nie może ich z natury rzeczy zadowolić. Dla młodych generacji, wywodzących się z dobrze prosperujących rodzin, obecny ustrój przypomina nie żywy i dynamiczny organizm, ale akwarium z uregulowaną temperaturą letniej wody. A ponieważ liczba dobrze prosperujących rodzin z burzliwymi i rebelianckimi młodymi pokoleniami będzie rosła, bowiem *prosperity* jest celem systemów zachodnich demokracji, demo-kapitalizm rodzi siły, których celem jest jego zniszczenie. Ktoś sceptyczny może wyrazić wątpliwość w to czy wyobcowanie z ustroju tych warstw, które są w nim klasą panującą, może przybrać formy tak ostre, że grozić może jego zniszczeniem. Ostatecznie brak podniet do wspinania się w górę i korzystania z jego dobrodziejstw, wobec których okazują taką pogardę młode, wyrosłe w komforcie pokolenia, nie jest przecież żadną „krzywdą”, którą można by porównać do położenia robotników w zaraniu powstania kapitalizmu. Zapewne. Ale powstanie i nabrzmiewanie emocji ma swoistą, niełatwą do zrozumienia, logikę, jeśli w ogóle można doszukać się w tych procesach jakiegokolwiek „logiki”. Możliwe, że owa słabość, którą okazuje *establishment* w walce z przeciwnikami wzmacnia wobec niego wzdarcie i nienawiść. Może wzbudzałby większy respekt, gdyby mniej liczył się z prawami swych krytyków? Jakkolwiek próbujemy interpretować czy pojąć genezę nienawiści, taka jest w rezultacie mechanika procesów upowszechniania w kapitalizmie dobrobytu. Jest ona odwróceniem dialektyki rozwoju w rozumieniu Marksa i jego uczniów. Według nich kapitalizm rodzi siły społeczne, które niosą jego zniszczenie. Jest to zgodne z moimi wnioskami. O ile jednak Marks przewidywał, że siłą tą będzie w pierwszym rzędzie klasa robotnicza, rzeczywistość naszej epoki przeczy jego założeniom. Klasa robotnicza przerodziła się w warstwę średnią i staje się stosunkowo najbardziej zainteresowaną w utrzymaniu systemu. Natomiast do roli grabarza kapitalizmu pretendują sfery oświecone i najwyżej plasowane w hierarchii klasowej warstwy społeczne. Jeśli niektórzy publicyści i pisarze załamują ręce nad „samobójstwem Zachodu”, które widzą przede wszystkim w jego biernej postawie wobec rosnącej potęgi Sowieców — to zapewne mają dużo racji, ale nie we wszystkim. Albowiem sytuacja rozwijałaby się w tym samym kierunku nawet wtedy, gdyby jedna trzecia świata nie pozostawała pod władzą Sowieców. Tyle tylko, że wolniej.

Na razie jednak widzimy tylko zwiastuny tych niezmiernie interesujących procesów. Krytyczna chwila jeszcze nie nastąpiła.

Ruch rewolucyjny jest jeszcze wciąż elitarny. Te same racje, które zachęcają środowiska intelektualne i zamożną młodzież do obalenia systemu, zniechęcają do ruchu rewolucyjnego najliczniejsze warstwy średnie. Przedstawiciele tych klas wciąż jeszcze mają to i owo do zyskania w tym starzejącym się i schyłkowym ustroju. Rozszerzenie bazy społecznej ruchu bywa możliwe tylko w krajach z liczną rzeszą obywateli, których nienawiść do kapitalizmu ma zgoła inne przyczyny. Nie są to ci, dla których demokracje burżuazyjne są systemami przekwitłymi, niezdolnymi do tego, by im cokolwiek zaoferować. Są tymi, dla których kapitalizm „nigdy nie zakwitł”; którzy nigdy nie osiągnęli pełnej dojrzałości, by osiągnąć w nim maksymalny sukces<sup>8</sup>. Złe przystosowani do wolnej konkurencji — fundamentalnej zasady kapitalizmu — są nienaturalnymi sprzymierzeńcami rebeliantów z gór społecznych. Nienaturalnymi — dlatego, ponieważ genealogia ich buntu jest odwróceniem buntu tamtych. Nie ma potrzeby przypominać, że ten dziwaczny, ale zupełnie zrozumiały politycznie alians jest możliwy tylko w krajach o dużej liczbie ludności pochodzenia afrykańskiego lub tzw. latynosów<sup>9</sup>. Dzięki tym szczególnym okolicznościom ruch nabiera pewnych ograniczonych znamion masowości, tworząc pozór, iż jest ruchem populistycznym.

Scharakteryzowana po krótko geneza ruchu rewolucyjnego w rozwiniętych krajach kapitalistycznych daje nam pojęcie o jego dynamice i rozmiarach. Ruch wyłonił się na przełomie dwóch epok. Gdyby tempo rozwoju przemysłowego i kierunek przemian społecznych były takie same na całym świecie, ruch rewolucyjny reprezentowałby już teraz niezmierną siłę, choć jesteśmy dopiero na progu epoki technotronicznej. Sytuacja jednak jest odmienna. Na świecie mamy co najmniej kilka, jeśli nie kilkanaście układów społecznych o rozmaitych poziomach ekonomicznych. Gdyby układy te nie były od siebie współzależne, każdy świat rozwiązałby swoje własne problemy. Ale i ta ewentualność również nie wchodzi w rachubę.

8. To prawda, że w USA do roku 1956 rasistowska obyczajowość uniemożliwiła im sukces. Wszelako 20 ostatnich lat nie pozostawia żadnych złudzeń, że nawet bez dyskryminacji rasowej, rezultaty nie byłyby o wiele bardziej budujące.

9. W żadnym wypadku nie można zaliczyć do tej samej kategorii ludności pochodzenia azjatyckiego, która jest znakomicie przystosowana do życia w kapitalizmie. Dyskryminowana niegdyś, podobnie jak Czarni, osiąga obecnie sukcesy w handlu, przemyśle i nauce, wyprzedzając Amerykanów, pochodzenia europejskiego. Przykład Azjatów dowodzi również, że przywrócenie jakiejś grupie pełni praw wystarcza dla osiągnięcia sukcesu. Że niepotrzebne są wszelkie środki retroaktywne w formie tarif ulgowych i specjalnych przywilejów, mających rzekomo wyrównać jej obecny start do poziomu grup w przeszłości niedyskryminowanych.

Rewolucje w przeszłości inspirowali na ogół zawsze przedstawiciele klas panujących, ale armią rewolucyjną były warstwy niższe. To, co się dzieje obecnie, jest bez precedensu w historii. Młodym generacjom uprzywilejowanych warstw w krajach gospodarczo zaawansowanych przypadła nie tylko rola „awangardy”, ale i sił napędowych. Oczywiście pozycja taka jest dla nich nie do przyjęcia, ponieważ oznaczałaby społeczną izolację. Rzeczywistą przyczyną która wyalienowała w kapitalizmie część jego górnych warstw było, jak nadmieniałem, osiągnięcie w nim pułapu awansu społecznego. Nie muszą to być motywy w pełni uświadomione przez rebeliantów, a gdyby nawet były, to przecież i tak nie można ich umieścić na sztandarze. Rewolucjoniści mogli wprawdzie wystąpić przeciw dehumanizacji pracy i wysunąć postulat twórczego zaangażowania dawnych „czarnoroboczych”, którzy obecnie wykonują monotonną pracę w fabrykach lub w usługach. Myślę, że nie występują z tymi żądaniami z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, nie obchodzi ich jakakolwiek reforma ustroju czy nawet zastąpienie go bardziej zaawansowanymi historycznie formami, ponieważ celem ich jest wyłącznie zniszczenie kapitalizmu. Po drugie, gdyby tego rodzaju hasła znalazły się w ich rewolucyjnym arsenale, zaapelowałyby do niewielu. Na razie bowiem występują dopiero zwiastuny problemów, które w przyszłości mogą rozsądzić obecny ustrój.

190 lat temu rewolucjoniści poruszyli świat hasłami wolności i równości. Przemawiały one w takim stopniu do sumień ludzkich, że można było rozkołysać masy bez ukazywania im alternatywy innego porządku społecznego. Wydawało się, że przyjdzie on sam. Ze po-feudalna próżnia wypełni się sama sprawiedliwym światem. Nasza epoka jest inna. Bardziej sceptyczna. Jak dotychczas, żadne nowe atrakcyjne hasła, które by podziały na masy jak przyciągający magnes, jeszcze się nie zrodziły.

Z tego wynikają dalsze ważne konsekwencje. Rewolucjoniści, z braku własnego programu, posługują się substytutami. I w hasłach i w akcesoriach. W wynalezieniu haseł nie muszą się specjalnie wysilać. Są takie same jak 190 lat temu. Wolność i równość. Wiedzą wprawdzie, że te dwa ideały są już obecnie nie do pogodzenia, bo nic tak jaskrawo nie ujawnia nierówności jak wolność w tych krajach, które je maksymalnie praktykują<sup>10</sup>. To im jednak nie przeszkadza w przeciwstawianiu tych haseł kapitalizmowi, który — tak jak i żaden inny system — nie może uczynić ich ludźmi całkowicie wolnymi, a tym mniej — równymi.

Za akcesoria rewolucyjne przyjęli rewolucjoniści czerwone

10. Podobnie zresztą jak nie skutecznie nie utrzymywało ludzi w przymusowej nierówności jak XVIII-wieczny feudalizm i XX-wieczny komunizm.

barwy i okruchy marksizmu. Czasami występują jako obrońcy środowiska naturalnego, ale ponieważ nie jest to ich monopolem, stanowi margines głównego nurtu. Wszystko to razem nie jest w stanie przełamać izolacji i uczynić ich ruch — populistycznym. Tym bardziej zatem rośnie ich zjadliwość i determinacja. W wypadku gdy ruch polityczny nie jest w stanie zmobilizować mas na skutek ideologicznego ubóstwa, nie może oczywiście osiągnąć głównego celu — w tym wypadku — obalenia kapitalizmu. W tej sytuacji rosnący potencjał gniewu szuka dróg rozładowania. Zgodnie z tym prawem rysuje się obecna sytuacja. Ponieważ społeczeństwo nie rozumie rewolucjonistów i nie reaguje na ich apele, zaczynają je identyfikować ze zniechęconym systemem. Tam, gdzie mogą się związać z mniejszościami etnicznymi lub rasowymi, nie czują się osamotnieni. Ale w krajach homogenicznych, w których mniejszości nie ma, frustracja dochodzi do zenitu. W ten sposób rodzi się terror<sup>11</sup>. Terrorysty włoscy i niemieccy nie są dziećmi komunizmu ani marksizmu, choć w zachodnich krajach mogli czasem lądować w partiach komunistycznych wierząc, że przy ich pomocy zniszczą kapitalizm. Są dziećmi burżuazji nie tylko dlatego, że pochodzą z mieszczańskich rodzin. Są najczystszy produktem systemu, w którym wyrosli i który zniechęcili. W obecnej fazie działalność ich traci właściwości ruchu politycznego. Nabiera cech antykapitalistycznej obsesji. Nienawidzą partii komunistycznych na Zachodzie, albowiem uważają je za cząstkę *establishment*'u. Ponieważ mają ambicje globalne, nie mogą nie zauważyć Sowietów. Skoro Sowiety zagrażają Zachodowi, są z natury ich sprzymierzeńcem. Ponieważ jest to jednak sprzymierzeniec żenujący, woła jego istnienie ignorować.

„Ogólnie panuje tu atmosfera antykomunistyczna — pisze do mnie polski socjolog z Berkeley<sup>12</sup>. — To zdaje się jest w tej chwili dominująca ideologia. Oznacza to, że komunistów się nie lubi, ale jeszcze bardziej nie lubi się antykomunistów. Ludzie w ogóle, a jeszcze w większym stopniu intelektualni, woleliby nie wiedzieć, że Związek Sowiecki istnieje. Udają, że go nie ma i rozwijają swoje teorie tak, jak gdyby nie istniał. A myślą, że będzie istnieć wiecznie. Nie lubią jednak, aby im to przypominało. Sołżenicyn jest niepopularny, bo twierdzi, że te jego opowiadania o Archipelagu Gułag są o prawdziwym kraju. Byłby znacznie popularniejszy, gdyby napisał, że pragnie w końcu ogłosić

11. Oczywiście mam na myśli nie terror P.L.O. lub niepodległościowców irlandzkich, ale terror skierowany wyłącznie przeciw kapitalistycznym demokracjom.

12. Ponieważ cytuję tę niezmiernie trafną uwagę z tekstu prywatnego listu, nie mogę podać nazwiska autora bez jego zgody.



prawdę, iż jest surrealistą i sam te wszystkie okropności wymyślił dla rozrywki amerykańskiego czytelnika i że jest to po prostu 'dreszczowiec'. Przypuszczam, że dostałby po raz drugi nagrodę Nobla — tym razem za wkład do walki o pokój i spokój".

Rewolucjonistów bezpośrednio zaangażowanych w terrorku indywidualnym, jest podobno, wedle obliczeń policji, niewiele. Ale, jak widać z wielu oznak, a w szczególności obserwacji środowisk intelektualnych, działają oni przy sprzyjającej aurze. Tę aurę można określić skrótowo: „antykapitalizm bez alternatywy”. Sam terrorku, który manifestuje się wystąpieniami rewolucjonistów włoskich lub zachodnioniemieckich, jest właściwie wykrystylizowaną substancją bardziej rozcieńczonych, a zarazem bardziej powszechnych sympatii politycznych, które są w dalszym ciągu dominującą postawą środowisk intelektualnych.

Niektórzy z reprezentantów środowisk neo-konserwatywnych pocieszali się, że burzliwe lata sześćdziesiąte z „Nową Lewicą”, terrorkującą oświeconą opinię i rządzącą niepodzielnie na uniwersytetach amerykańskich, minęły bezpowrotnie. Że otrzeźwienie, które obecnie nastąpiło, umocniło siły zachowawcze. Tylko część tej wiary jest prawdą. Neokonserwatyzm rzeczywiście rozszerzył swe wpływy. Natomiast spadkobiercy „Nowej Lewicy”, choć nie mają już tego materiału palnego, jakim rozporządzali w czasie wojny wietnamskiej, zostali w Ameryce wchłonięci przez liberalną lewicę. Ta zachowuje dalej swe wpływy — zwłaszcza w górnych warstwach społeczeństwa. O liberalnej lewicy nie da się jednak powiedzieć, że pała nienawiścią do kapitalizmu w takim samym stopniu jak europejscy terrorkyści lub nawet kilkanaście lat temu rebelianci, okupujący amerykańskie uniwersytety. Równoległe z rozwodnieniem „awangardy” lat sześćdziesiątych, nastąpiło stępienie antykapitalistycznego ostrza. Liberalna lewica tkwi mocno w centrum *establishment*'u, nie gardząc jego wysokimi przywilejami. Postawę jej można określić mianem pewnej niechęci do systemu i wstydu, że ta amerykańska kapitalistyczna demokracja jest tak bardzo kapitalistyczna, a tak mało demokratyczna. Chcieliby odwrócić proporcję (którą zresztą trudno wymierzyć). Wstydzą się, że w tej demokracji wciąż jeszcze wszyscy ludzie nie są „równi”. Że tak mało w niej jest czarnych generałów lub admirałów. Że nie ma wśród Afro-Amerykanów znakomitych uczonych i że tylko jeden lub dwóch zdobyło nagrodę Nobla. Że kobietom nie pozwolono tak długo grać w „football” ani występować na ringu, że przez dwa wieki zamykano paniom dostęp do kariery wojskowej (teraz już pozwolono i udostępniono). Żeby to wszystko odrobić i żeby w tym demokracjalizmie nie czuć było kapitalizmu tylko samą wolność i

demokrację, starają się wykorzystać instytucje polityczne — a więc głównie sądy, kulawą konstytucję i Kongres w tym celu, żeby system bardziej zliberalizować i udemokratyczyć. Zamiast podumać nad tym, żeby niektóre przestarzałe instytucje zreformować lub zgoła wyrzucić na śmietnik, posługują się nimi w ten sposób, że wprowadzają Amerykę w ślepią ulicę legalistycznych absurdów, doprowadzając ją do chaosu i paraliżu. Choć nie pragną demokracji kapitalistycznej uśmiercić, działają w tym kierunku skuteczniej niż zachodnioeuropejscy terrorkyści. Gdy ktoś — jak Sołżenicyn występuje z krytyką absurdu, podniesionego do rangi narodowej cnoty, wnet usłyszy, że nie rozumie amerykańskiej demokracji i amerykańskiego narodu.

Wydaje się, że obiektem tego ogólnonarodowego ogłupienia są nie tylko liberalne sfery, ale i w pewnej mierze neo-konserwatyści. Ci wprawdzie lepiej wyczuwają politykę absurdu od przeciętnego amerykańskiego humanisty, głoszącego niczym prawdę objawioną SŁOWO LIBERALNE z uniwersyteckiej katedry, za to, że swej strony chcieliby historię nieco cofnąć. W każdym razie utrzymać społeczeństwo w obręczy dawnych obyczajów i instytucji. Z całkiem odmiennych powodów i ci na lewicy i ci na prawicy nie chcą uznać, że owe instytucje nadgryzione zostały zębem historycznych przemian.

W sytuacji, w której polaryzują się antagonizmy i rosną napięcia, najbardziej niebezpiecznymi mogą okazać się tzw. męzowie opatrnościowci, którzy lubią pojawiać się na przełomie epok. Gdyby na horyzoncie amerykańskim (czy nawet zachodnio-europejskim) ukazała się jakaś potężna indywidualność — to nie ważne byłoby, co by obwieściła sfrustrowanemu światu. Mogłaby to być najdziwniejsza mieszanina idej. Kompletna tandeta polityczna lub filozoficzna. W zależności od kalibru głoszącego, mogłaby zachwycić młodych i starych z rozmaitych klas i środowisk, spragnionych nowej porywającej ideologii. Szczególnie łatwo znalazłaby drogę do głów amerykańskich, podatnych pod wszelką fascynację. Nie przesadam tego niebezpieczeństwa, ale sądzę, że jest ono realniejsze od wojny nuklearnej. Podobnie jak i ona, prorocy lubią zostawiać po sobie zgłiszczą.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 2 listopada 1978 r.

## Ruchem konika szachowego

1.

Wyjaśnienie. Nie chodzi o grę w szachy, lecz o publicystykę i polemikę. Linearyzm prosty rozumowania wykluczam z góry, bo nudny. Konik szachowy skacze po linii łamanej, pod kątem prostym; nie będziemy się nawet i tego trzymać: kąty będą bywały nieproste, a może nawet i kątów nie będzie, może nawet i ciągłości nie będzie. Chodzi o to, żeby skoczek tykał punktów drażliwych i drażniących.

2.

Kompleks rosyjski daje się bardziej we znaki narodom Europy Środkowej, niż narodom Europy Zachodniej; i owszem, historia bowiem potoczyła się tak, że Europa *est omnis divisa in partes tres*: na Europę Zachodnią, Środkową i Rosję, przy czym granice bynajmniej nie przebiegają tak klarownie, jakby się to na pierwszy rzut oka wydawało. Do tego jeszcze wróć.

W drugim numerze *Pulsu* (marzec 1978) przedrukowano z londyńskiego „Index on Censorship” garść uwag czeskiego pisarza Milana Kundery i czytamy tam między innymi: „Jestem pisarzem czeskim i nie lubię, gdy kwalifikuje się mnie jako reprezentanta kultury wschodnioeuropejskiej. Europa Wschodnia to pojęcie czysto polityczne, istnieje zaledwie od trzydziestu lat. Jeśli mówimy o tradycji kulturalnej, Europa Wschodnia to Rosja, a Praga leży w Europie Środkowej”.

W fragmencie swojej ciekawej rozprawy o Marii Dąbrowskiej, wydrukowanej w n-rze 6/78 *Twórczości*, Tadeusz Drewnowski pisze: „Uraz antyrosyjski Dąbrowskiej wywodzi się z wciąż trwającej pamięci o zaborze, żywi się 150 latami niewoli. W jej postawie nie ma nic, co można by nazwać metafizyczną antyrosyjskością. Pierwszy z brzegu przykład — stosunek do literatury rosyjskiej. Od młodości Dąbrowska była jej entuzjastką [...]”.

W swoim szkicu *Zasady ideowe* Jacek Kuroń powołuje się na „List otwarty do Pierwszego Sekretarza PZPR Edwarda Gierka” prof. Edwarda Lipińskiego, który „[...] wykazywał, że system ten (panujący obecnie w Polsce — W.W.) nie ma nic wspólnego z socjalizmem a wywodzi się z despotycznej tradycji

państwowości rosyjskiej”. I dalej: „Ukształtowanie się i utrzymywanie się tego systemu również w naszym kraju Lipiński przypisywał bezpośrednio militarnej i politycznej presji Związku Radzieckiego”.

Kundera, jak myślę, sformułował oczywistość: utożsamiał tzw. Europę Wschodnią z Rosją (nie z Rusią, to ważne) i, co tu dużo gadać, odciął się od niej lapidarnym stwierdzeniem faktu. Natomiast i Drewnowski i Kuroń co prawda jak gdyby to samo chcieli powiedzieć, ale inaczej i mniej jasno, choć każdy z innych powodów.

Cytacje zakończę przytoczoną z pamięci diagnozą Arnolda Toynbee, który powiedział o Rosji, że jest ablegerem — czyli nie bezpośrednią kontynuacją — Bizancjum. Diagnoza ważna.

3.

Zacznijmy od końca, czyli od Toynbee: dlaczego Rosja jest ablegerem, a nie kontynuacją Bizancjum? Na to pytanie, śledząc przebieg dziejów, dałoby się odpowiedzieć, zaczynając od opisu staroegipskich rządzeń państwowych. Ponieważ nie ma na to miejsca, założymy dla wygody, że urządzenia te są znane choćby z lektury Prusa; zacznijmy od Dioklecjana.

Dioklecjan, a może i jego ministrowie, zdał sobie w pewnym momencie sprawę z tego, że trudno rządzić jest Imperium za pomocą instytucji, jakie rozwinęły się z ustroju Rzymu-miasta z prowincjami, prokonsulami *et caetera*. Władzę należało scentralizować, administrację zaś zhierarchizować. Otóż była wtedy taka część Imperium, która nie była prowincją Rzymu, lecz domeną cesarską: był to Egipt, nie podlegający senatowi, wskutek czego zachował swą tradycyjną strukturę państwowo-administracyjną i ten wzorzec przyświecał właśnie Dioklecjanowi, kiedy w roku 292 przeprowadził reformę ustroju imperialnego. Ta data jest jedną z najważniejszych w historii Europy, albowiem skutki reformy Dioklecjana odczuwamy nie najmilej po dziś dzień.

Skoro wymieniło się jedną datę, warto by było wymienić i inne oraz dokonać kilku działań arytmetycznych. Rzym Zachodni upada w roku 476, 476 minus 292 daje 184 — tyle lat funkcjonowała, z grubsza bo z grubsza, w Rzymie Zachodnim reforma Dioklecjana, gdyż po upadku struktury państwowe przestały wraz z państwem istnieć. Rzym Wschodni upada w roku 1453, 1453 minus 292 daje 1161 — tyle lat trwały nieprzerwane skutki reformy Dioklecjana w Rzymie Wschodnim (Bizancjum), ponieważ istniała ciągłość jego państwowości.

W tym okresie powstają pierwsze organizmy państwowe

Słowian Wschodnich. W wieku dziewiątym Wikingowie (Waregowie), przybyli ze Smoleńska, organizują Wielkie Księstwo Kijowskie na zasadzie dobrowolnej obustronnej umowy. Ruryk, książę Waregów, umiera w roku 879. W roku 988, ponad sto lat później, Ruś kijowska (nie zapominajmy, że nazwa Rus jest pochodzenia germańskiego, została, że tak powiem, przez Waregów Słowianom Wschodnim „nadana”) przyjmuje chrześcijaństwo i już 66 lat później, w roku 1054 dokonuje się ostatecznie schizma, co oznacza: Wielkie Księstwo Kijowskie podlega wyłącznie jurysdykcji kościelnej Bizancjum, a tym samym również i politycznie się z Bizancjum wiąże, choć nie przejmuje jego „dioklecjuszowego” dziedzictwa; struktura wewnętrzna państwa Kijowskiego przypomina w pewnej mierze feudalizm zachodnioeuropejski, ale nie można zapominać, że wejście w bizantyjskie prawosławie oznaczało zawisłość od cesarza — synodom Kościoła Wschodniego przewodniczył cesarz, zaś głowa Kościoła składała mu na początku obrad rytualny pokłon, proskinezę.

W latach 1206-1226 Dżyngis-Chan dochodzi do Wołgi, w roku 1240 zaś Mongołowie druzgoczą i tak będące już w stanie upadku Wielkie Księstwo Kijowskie i okupują jego terytorium, dynastia Rurykowiczów uchodzi na północ, do Suzdala i Moskwy, stara się utrzymać na tych terenach organizację państwową, płaci haracz Tatarom. Władza jednakże, co prawda nie w pełni suwerennie, innym ludem niż ten, którym władała od dziewiątego wieku po trzynasty, choć być może, jako że przybyła do Kijowa ze Smoleńska, pokrewieństwo etniczne i językowe sprawiło, że była to dla niej nadal jeszcze — a w pewnym sensie chyba i ponownie — Ruś. I tak w tym pomieszaniu etymologiczno-semantycznym zaczęła tworzyć stopniowo i pod groźbą tatarskiego najazdu nowe państwo: Rosję. I w tym samym czasie kiedy wielki książę moskiewski Iwan I. Kalita zaczyna zbierać do swego worka ziemie i grody rosyjskie, Polacy wraz z Węgrami wkraczają do wolnej od Tatarów Rusi Halickiej, po to chyba, aby nieco później spotkać się u obszarów wołyńskich z dynamicznym podówczas Wielkim Księstwem Litewskim, państwem tyleż litewskim, bo Litwini dali dynastię, co białoruskim, czyli wschodniosłowiańskim, ponieważ Białorusini dali cywilizację i upiśmienniony język urzędowy.

Iwan Kalita panował w latach 1328-1341, umiera więc w sto lat po upadku Wielkiego Księstwa Kijowskiego; z dat tych wynika również, że Rurykowicze potrzebowali (1328 minus 1240) niespełna wieku, lat osiemdziesięciu i ośmiu, na osadzenie się ponownie u władzy, na północ od obszarów, którymi ongiś władali, wśród ludu także prawosławnego, ale jednak odmiennego od tego, który później miał stać się narodem ukraińskim. Two-

rzane przez nich nowe państwo było zrazu również luźnym związkiem ksiąstewek i grodów, czymś, jakbyśmy to dziś powiedzieli, w rodzaju federacji czy konfederacji. Dopiero zniesienie hegemonii tatarskiej przez Iwana III Dobrego stworzyło (w latach 1462-1505) warunki do większego zacieśnienia więzi państwowej, czego dokonać miał Iwan IV Groźny (1533-1584), nawiązujący już świadomie, i zapewne nie bez wpływu koligacji z Paleontologami, do tradycji bizantyjskiej, tworząc zarazem i organizując bezprecedensową policję polityczną (*opryczinę*).

Zwracam dlatego uwagę na daty i ich wzajemne odniesienia arytmetyczne, ponieważ wydaje się, iż w tym należy szukać przyczyn, dla których Toynbee nazwał Rosję ablegerem, nie zaś kontynuacją Bizancjum. Bo zważywszy: wielorako z Bizancjum związane Wielkie Księstwo Kijowskie upada pod naporem Mongołów 213 lat wcześniej, aniżeli Bizancjum pod naporem Osmanów. Zwrócenie się natomiast ponownie ku tradycji bizantyjskiej Rurykowiczów następuje w osiemdziesiąt lat po upadku Konstantynopola i w 293 lata po upadku Kijowa. Rwanie się ciągłości politycznej to coś, co nazwać by można czkawką dziejową.

## 4.

Po namyśle zaryzykować można następujące uwagi:

1) Słowianie wschodni utworzyli w okresie późniejszego średniowiecza i u progów czasów nowych trzy odrębne państwa: Wielkie Księstwo Kijowskie, Wielkie Księstwo Litewskie i Wielkie Księstwo Moskiewskie; w tej właśnie kolejności, co zapewne nie w smak jest konserwatywnym historiozofom, żywiącym niewydarzony pogląd, że narody dzielą się na historyczne i niehistoryczne (jedna Klio być może raczy wiedzieć, jakie są kryteria tego podziału, a i to niepewne). W myśl tej historiozofii, wyznawanej przez znaczną część dziejopisów rosyjskich, jedynie Rosjanie — nie Ukraińcy i nie Białorusini — mają współcześnie prawo do własnej państwowości; autorzy ci zaczynają pisanie historii rosyjskiej od założenia Wielkiego Księstwa Kijowskiego, Unię zaś polsko-litewską wykładają jako wcielenie ziem ruskich do Królestwa Polskiego. Powołują się przy tym głównie na okoliczność, że i w Kijowie, i w Moskwie panowała (do śmierci Iwana Groźnego) ta sama dynastia, co oczywiście w ówczesnych układach nie ma najmniejszego znaczenia: panowanie Ludwika Węgierskiego w Polsce nie upoważnia przecież nikogo do twierdzenia, że historia Polski (w pewnym przynajmniej okresie) to dalszy ciąg historii Francji, jako że Ludwik

był Andegawenem. Więcej: na tej samej zasadzie należałoby zaproponować zwolennikom teorii narodów historycznych traktowanie historii Ukrainy i Rosji jako dalszego ciągu historii Norwegii i Islandii; historię Szwajcarii należałoby konsekwentnie jako historię polityczną zanegować.

Obstaję przy swoim: trzy odrębne państwa wschodniosłowiańskie. — Z dość oczywistych względów pomijam Bułgarię, choć, nawiasem mówiąc, Bułgarzy, gdyby mogli byli przejąć dziedzictwo Bizancjum (a myślę także i o dodatknych cechach tego cesarstwa), byłiby najbardziej do tego uprawnieni; nie byłiby ablegerem.

2) Z trzech państw wschodniosłowiańskich jedno tylko — Rosja — może być z zastrzeżeniami uznane za spadkobiercę Bizancjum, a tym samym i reform Dioklecjana; z tym, że dla Kijowa możliwość taka unicestwiona została w roku 1241, dla Rosji (Moskwy) tradycja ta odżyła w pełni za Iwana IV. Białoruś natomiast w tym spadkobranii uczestniczyła tyle, co nic; możliwości nawet po temu nie było. Wprawdzie bojarstwo białoruskie było w chwili wstąpienia Jagiełły na tron krakowski ochrzczone i przynależne do prawosławia, wszelako czuło się ono wraz z prawosławnym klerem gospodarzem Wielkiego Księstwa Litewskiego, interesy zaś jego pokrywały się w zasadzie z interesami litewskiej dynastii oraz litewskiego, częściowo nieochrzczonego bojarstwa. Tę swoją pozycję potrafiłi Białorusini i po Unii utrzymać tak dalece, że język białoruski pozostawał językiem urzędowym W. Ks. Litewskiego aż bez mała po wiek XVIII-ty.

3) Z tych powodów tylko Rosja spośród tych tworców państwowych odziedziczyła po Bizancjum uraz antyrzymski. Począwszy od wieku XVI-tych a najpóźniej XVII-tych Rosja świadomie i w rozumieniu hegemonialnym przejęła dziedzictwo bizantyjskie zarówno w sensie politycznym jak i religijnym i kulturowym, nadto jeszcze w sensie posłannictwa („trzeci Rzym”). Jednakże wskutek owej czkawkki dziejowej, o której pisałem, uraz antyrzymski Moskwa przejęła wraz z całym dobrodziejstwem inwentarza w postaci wzmożonej. Są to właściwie dwa urazy; powodem pierwszego była czwarta Wyprawa Krzyżowa, kiedy to krzyżowcy ustanowili w Konstantynopolu Imperium Łacińskie, trwające lat 57 (1204-1261); ciekawe, że działo się to w tym samym okresie, kiedy wszczęła się i została zatrzymana ekspansja Mongołów na Europę — Bizantyjczycy zapewne odczuli to jako poniżenie i to odczucie poniżenia Moskowici wchłonęli w głębsze warstwy swej podświadomości zbiorowej, wchłonawszy zaś, spotęgowali. Powodem drugiego urazu była postawa „łacinników”, rozumiana i wykładana jako obojętność, wobec podboju i zdruzgo-

tania cesarstwa przez Turków: Rzym Zachodni zdał się Rzymowi Wschodniemu niechrześcijański.

Ale poza tym Rzym był niemiłosierny.

5.

Cóż to znaczy, że Rzym był niemiłosierny? — Otóż „miłosiernych” piętnował już św. Augustyn, zwalczając naukę Orygenesa i jego następców, zwolenników idei zbawienia powszechnego (powszechnej apokatastazy). Już u zarania Kościół Zachodni dostrzegał w Kościele Wschodnim zczyn niejakiego zepsucia.

Zacznijmy od tekstu liturgicznego, obowiązującego po dziś dzień. W dzień Zesłania Ducha Świętego Kościół Wschodni modli się podczas nieśporów za wszystkich zmarłych od stworzenia świata: „W to święto pełni i zbawienia raczysz wysłuchać nasze błagalne prośby za tych którzy zamknięci są w piekle; Ty dajesz nam wielką nadzieję ujrzenia Cię, jak udzielasz zmarłym wyzwolenia od zła, które ich osacza [...]”. Istnieje także modlitwa za samobójców<sup>1</sup>.

Nie dość na tym. Owo „zepsucie”, za którym węszył i które gromił Augustyn, przeczuwając w nim, słusznie czy niesłusznie, bezkształtny sentymentalizm oraz niebezpieczeństwo, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli *permissive society*, czyli społecznej tendencji do wyzbywania się przez jednostkę odpowiedzialności osobistej, owo więc „zepsucie” sięgało w głębsze jeszcze uwarstwienia teologiczne. Oto nigdy zresztą niepotępiona przez Kościół nauka św. Grzegorza z Nysy głosi wiarę w odkupienie szatana. Podobnie myślał także i św. Izaak Syryjczyk. Podobnie św. Jan Złotousty. I aż dziwne wydaje się, że to samo głosząca nauka Orygenesa została, jako jedyna spośród podobnych, przez Kościół potępiona. Na zakończenie więc akapitu jeszcze jeden urywek ze wschodniej liturgii wielkanocnej: „Chrystus Bóg sprawia, że przechodzimy [...] ze śmierci do życia [...]. Teraz wszystko jest napełnione światłością: niebios, ziemia, a nawet piekło. Niech całe stworzenie śławi Zmartwychwstanie Chrystusa, w którym jest podstawa jego życia”.

A więc Kościół Wschodni jest u zarania swego „miłosierny”, Kościół Zachodni zaś u zarania swego „niemiłosierny”. I w miłosierdziu swoim Kościół Wschodni głosi naukę o zbawieniu całego

1. Wszystkie cytaty, przytoczone w tym rozdziale, oraz większość informacji, dotyczących wczesnego Kościoła Wschodniego, zaczerpnąłem z artykułu ks. Wacława Hryniewicza pt.: „Nadzieja powszechnego zbawienia”, „WIĘŻ”, nr 1/1978.

Ciała Mistycznego, ba, całej ludzkości, pospólnie, kolektywnie, Odkupienie bowiem nie zna granic. Jest w tym zasadnicza niezgoda na myśl o potępieniu wiecznym, której Kościół Wschodni po dziś dzień się nie wyrzył. Kościół Zachodni poszedł w diametralnie przeciwnym kierunku, do tego stopnia, że św. Tomasz z Akwinu nauczał, że zbawieni w niebie będą spoglądać na męki potępionych, co z kolei będzie przyczyną ich dodatkowych rozkoszy z powodu triumfu Bożej sprawiedliwości. Mamy więc zasadę kolektywizmu przeciwstawioną zasadzie indywidualizmu. Czy łączy się ta problematyka teologiczna z poszczególnymi zagadnieniami historycznymi i politycznymi, od których zaczyna się ten artykuł? Czy łączy się ze sprawą „urazu antyrosyjskiego” krajów Europy Środkowej? Ze sprawą Rosji jako „ablegera” Bizancjum? Ze sprawą „antyrymskich” urazów Rosji? Nieodwołalnie łączy się, jeżeli uświadomimy sobie, że Rosja nie jest ablegerem pogańskiego imperium rzymskiego z trzeciego wieku, lecz właśnie Bizancjum, które upadło w wieku piętnastym; że było to Bizancjum chrześcijańskie w tradycji Kościoła Wschodniego; że gdyby nie ten, a nie inny chrystianizm owego Bizancjum, czkawka byłaby tak przemożna, że nie ostaliby się Rurykowicze jako dynastia i nie zorganizowaliby sobie następnego państwa. I właściwie nie bardzo by było wówczas wiadomo, kto albo co na tę czkawkę umarł. A śmierć na czkawkę jest straszna; następuje rozdarcie wnętrza.

6.

Do dalszych rozważań potrzebny jest nieco niefrasobliwy i może niepoważny skok konika szachowego.

Z tym, co będę za chwilę cytował, niekoniecznie się zgadzam; wiem, że tego rodzaju tabelki są zwodnicze, jak wszelkie sztywne rozumowanie modelowe; ale wiem także, że to, co zwodnicze, pobudza do odpowiedzi zwodem na zwód, do niefrasobliwej rozbudowy zastanego modelu, do niepoważnego snucia pomysłów i rozmyślań. Model tedy się komplikuje i zyskuje na elastyczności.

W roku 1967 Herman Kahn i Anthony J. Wiener z nowojorskiego Hudson-Institute wydali futurologiczną książkę pt. „The Year 2000. A Framework for Speculation on the Next Thirty-Three Years”. W rozdziale poświęconym porównaniom między poszczególnymi kręgami kulturowymi zamieścili tabelkę, obrazującą różnice pomiędzy postawami elit amerykańskich i europejskich. Kiedy ją przeczytałem, zachnąłem się zrazu, ale potem ubawiłem: otóż autorzy wyszli z założenia, że Amerykanie są

spadkobiercami starożytnego Rzymu (oczywista, że nie Rzymu Commodusa i Galby, lecz republikańskiego, wywierzyśka wszelkich cnót), Europejczycy zaś spadkobiercami starożytnej Grecji (gdzie cnót mniej, mniej także i surowej powagi, sporo natomiast nieodpowiedzialnych dezygnatur). Ubawiło mnie zaś to, że strojenie się w togi republikańskiego Rzymu to rzecz wcale nie nowa, znamy je chociażby z Rewolucji Francuskiej i sprzężonego z nią malarstwa Davida, gdzie kolory kładzione są tak, że nie rozróżnisz kłębu końskiego od policzka dziecka. Nadto jeszcze Kahn i Wiener traktują Europę *en bloc*, albo też dostrzegają li-tylko Europę Zachodnią, resztę traktując jako mało interesujący obszar geograficzny.

A to błąd, polegający na zaniechaniu i opustce. Ponieważ jednak nieopatrznie dałem się w tę zabawę wciągnąć, wraz z wszystkimi jej niedomogami i opustkami, a także i owych niedomóg i opustek świadom, i owszem, uznając je za źródło jednej jeszcze zabawy na rozszerzonym i tym razem niejasno wytyczonym placu gimnastycznym — że, powtarzam, dałem się tedy wciągnąć, zechciało mi się rozszerzyć tę tabelkę o jeszcze jedną rubrykę pionową, aby zobaczyć, jakie to poszerzenie daje dodatkowe możliwości wykładni.

Oto tabelka (str. 56):

Rubryki „Rzymianie i Amerykanie” oraz „Starożytni Grecy i współcześni Europejczycy” są autorstwa Kahna i Wienera. Rubrykę „Współcześni Rosjanie” pozwoliłem sobie sam dopisać. Rozważmy, co z tego może wyniknąć.

Już na pierwszy rzut oka widać, że Kahn i Wiener ustawili sobie Amerykanów i Europejczyków prawie bezbłędnie w opozycyjnej symetrii. Takich rzeczy oczywiście w życiu i historii nie bywa. A teraz, kiedy przyglądam się tej uzupełnionej przeze mnie tabelce, widzę, że właściwości jakie przypisałem współczesnym Rosjanom są wynalezione (no, jednak nie wymyślone), ale nie są od właściwości przypisanych Europejczykom i Amerykanom niezależne, przeciwnie, jakoś się do nich mają — tak wszelako, aby tę zamierzoną i założoną przez amerykańskich autorów symetrię zмяć.

Weźmy np. pierwszy sygnał wywoławczy: „Władza wywołuje” u R. i A. respekt, u G. i E. podejrzliwość; tu wiadomo że podejrzliwość jest zaprzeczeniem respektu, jedno bowiem drugie wyklucza. Ale reakcje współczesnych Rosjan, jako że bardziej złożone, będące mieszaniną kilku stanów psychicznych, nie dadzą się symetrycznie wobec pozostałych ustawić: zarówno bowiem respekt jak i podejrzliwość to postawy czynne, natomiast bojaźń, cześć, otepienie to postawy bierne; ale już cześć i respekt są sobie

## TYPOWE POSTAWY ELIT

Sygnal wywoławczy	Rzymianie i Amerykanie	Starożytni Grecy i Współcześni Europejczycy	Współcześni Rosjanie
1. Władza wywołuje:	1. Respekt	1. Podejrzliwość	1. Bojaźń, cześć, otepienie
2. Najwyższa siła polityczna:	2. Moc prawa	2. Osobowość	2. Podstęp, przewaga jako taka
3. Większość ludzi wybitnych jest:	3. Podziwiana	3. Oczerniana	3. Wielbiona, chroniona przez nakazane tabu
4. Indywiduizm:	4. Jest poskramiany	4. Jest nieokiełnany	4. Jest pogardzany i tępiony
5. Prymitywne masy są:	5. „Obywatelami”	5. „Barbarzyńcami” albo „helotami”	5. Członkami kolektywu
6. Kulturalni cudzoziemcy wywołują:	6. Lekką bojaźń	6. Ucieszne zdumienie	6. Zawiść i lęk
7. Postawa wobec obcych kultur:	7. Poczucie zobowiązania	7. Poczucie pogardy	7. Obawa przed podstępem
8. Obraz bohatera:	8. Pełen cnót purytańskich, konserwatywny i obowiązkowy (Cato St. i G. Washington)	8. Awanturczy, o nieprzewidywalnych pomysłach, oczarowuje mężczyzn i kobiety (Odyseusz, Napoleon)	8. Przebiegły, nieustraszony, o przewadze duchowej (Ilija Muromiec, Aleksander Newski)
9. Dziedziny największych sukcesów:	9. Technika, urządzenie sanitarne, organizacja cywilna i wojskowa	9. Teoria, filozofia, matematyka, nauka i sztuka	9. Sztuka, podboje
10. Największe słabości:	10. Wiedza teoretyczna w przeciwieństwie do stosowanej	10. Jedność, współpraca	10. Uznanie obcych zasad
11. Dylentyzm uważany jest jako:	11. Bezwartościowy	11. Godny dżentelmena	11. Zabawa
12. Wywczasy, czas wolny:	12. Przywara	12. Cel życiowy	12. Okazja towarzyska
13. Cudza ambicja:	13. Ceniona wysoko, jeśli nie zagraża republice	13. Zagrożenie osobiste i dlatego odrzucana	13. Zagrożenie powszechne

bliskie i przeciwstawić się sobie nie dadzą; to samo można powiedzieć o parze bojaźń - podejrzliwość, otepienie zaś jest przeciwieństwem zarówno respektu jak i podejrzliwości. Zaraz tedy przy pierwszym hasle „władza” okazuje się, że mamy do czynienia

nia z właściwościami (w trzeciej rubryce pionowej) z innych nieco obszarów życia duchowego niż w rubrykach pozostałych i właściwości te są niewspółmierne i raczej nieporównywalne, nie przeczą sobie wzajem i nie zgadzają się, mają się do siebie tak, jak parada wojskowa do procesji na Boże Ciało. No dobrze, powie ktoś, ale tu sprawa jest trochę nieczysta: Kahn i Wiener dają po jednej właściwości, a tu raptem mamy w trzeciej rubryce trzy, to zaś dopuszcza manipulację. — Weźmy wobec tego hasło piąte „Prymitywne masy są”: Jeśli mamy wyraźne przeciwstawienie między obywatelami z jednej, helotami zaś lub barbarzyńcami z drugiej, co się wyklucza, to członkowie kolektywu mogą być zarówno jednym jak i drugim; do pomyślenia jest kolektyw obywateli, ale także i kolektyw barbarzyńców lub helotów z tym, że kolektyw obywateli powstaje ze swobodnego wyboru, kolektyw helotów pod przymusem. Ci zaś, co powiadają, że masy są kolektywem, a więc elity (ściślej: elita polityczna), uprawiają osobliwą żonglerkę: kiedy wygodnie to dla elity, wmawiają helotom, że są obywatelami, zawsze zaś traktują kolektyw, niezależnie od tego, co mu wmawiają, jako kolektyw helotów: mamy tu Spartę z demagogiczną poprawką, z groźną wieloznacznością. Nadzrędnym wobec wyobrażeń obywateli i helotów pojęcie kolektywu nie da się tym wyobrażeniom symetrycznie przeciwstawić, pewne natomiast jest, że elity wychodzą przy tym z założenia, iż kolektyw pozostaje z samej natury rzeczy bierny.

Tak można by było przejść wszystkie kolejne punkty tabelki po kolei. Nazbyt by to było nużące. Jeśli Czytelnik zada sobie trud, samemu to uczynić, dojdzie być może do wniosku, że między rubryką pierwszą i drugą a rubryką trzecią nie ma, pomimo iż chodzi o odpowiedzi na te same pytania, styku; że jawi się tu osobliwa mijanka wyobrażeń i pojęć, że nie ma ani zgody, ani niezgody, ani mimowolnej choćby syntezy. Czy zredagowane przeze mnie odpowiedzi i reakcje na sygnały wywoławcze w rubryce „Współcześni Rosjanie” są dowolne? Odpowiem: trudno mi coś orzec o stopniu dowolności w redakcji dwóch pierwszych rubryk; wydaje mi się jednak, że zredagowane przeze mnie odpowiedzi opierają się co prawda nie na badaniach naukowych (któżby je mógł przeprowadzić?), ale na doświadczeniach, obserwacjach i intuicji, tak jak to bywa w zwiadzie publicystycznym.

7.

Ruch skoczkiem na inne znowu pole; nazwijmy je polem despotyzmu i totalitaryzmu.

Od lat co najmniej czterdziestu ludzie głowią się nad zagad-

nieniem hitleryzmu i stalinizmu, nad postaciami Hitlera i Stalina. Co ich łączy, a co dzieli? Czy istnieje dla nich jakiś wspólny mianownik, czy to w dziedzinie cech osobistych, czy to w dziedzinie uwarunkowań historycznych? Czy fakt, że obaj pojawiają się na scenie dziejowej w tym samym czasie dowodzi, że są wytworem epoki z odmiennym odcieniem „narodowym” u każdego? Czy też jest może tak, że Hitler jest wytworem „niemieckości”, Stalin zaś (nic to, że Gruzin) „rosyjskości”, spotkanie się zaś ich w czasie jest nieważnym zderzeniem rzeczy niepodobnych? — Na ogół zdaje się panować intuicyjne przeświadczenie, że mimo wszelkiej zbieżności nie mamy jednak do czynienia z tym samym zjawiskiem w dwóch wydaniach, lecz po jednym zjawisku odrębnym w wydaniu jednorazowym. Intuicji tej jednakże nie potrafią dotychczas uzasadnić w sposób przekonujący, co wynika chyba stąd, że obawiano się zaglądać do tak zwanych czeluści historii, aby odtworzyć przebiegi, których domniemywana ciągłość jest w zasadzie trudna do udowodnienia i tym samym będzie miała zawsze kształt hipotezy.

Mimo to spróbuje, ponieważ hipotezy mają swój urok i, nawet jeśli okazują się błędne, uroku błędzenia nie tracą.

Nie wiem, czy jest to złudzeniem, ale zawsze mi się wydawało, że z czymkolwiek się współcześnie spotykamy, źródła tego dają się zawsze odnaleźć w postaci zalążkowej albo w postaci wzorca w antyku klasycznym. „Wspólna rzecz nasza tam była poczęta” powiedział kiedyś Miłosz; ale Miłosz miał chyba na myśli wówczas rzeczy piękne i szlachetne, myślę wszelako, że do „wspólnej rzeczy naszej” należą i rzeczy odrażające i że one też „tam były poczęte”. Oczywiście: z miejsca przypomina się nam Platon z jego „Państwem” i „Prawami”, jako teoretyczny wzorzec dwudziestowiecznych totalitaryzmów, przystający zarówno do hitleryzmu jak i do stalinizmu. Dużo już na ten temat napisano i nie trzeba tego powtarzać, zwłaszcza, że ten „platonizm” w swoich paralelach raczej sprzyja szukaniu podobieństw niż różnic, podobnie zresztą jak i tezy głoszące, iż wspólną cechą hitleryzmu i stalinizmu jest mechaniczne przeniesienie prawidłowości, odkrytych w XIX wieku przy badaniu przyrody nieczłowieczej, w dziedziny dotyczące człowieka i stosunków międzyludzkich: darwinizmu (rasizm hitlerowski) oraz tego, co Engels nazywał „dialektyką przyrody” (marksizm stalinowski).

Prawodawca spartański Likurg był postacią legendarną; powiada się, że żył w IX stuleciu przed Chrystusem. Prawa, jakie (on czy nie on) ustanowił, były prawami srogimi i z biegiem czasu, już w okresie ściśle historycznym, stały się nieludzkie. Były to prawa obozu wojskowego, gdyż Sparta nastawiona była na wojnę, jako na najwyższą formę realizowania się zbiorowości,

zorganizowanej w państwo, państwo to zaś było oparte na zgola bestialskim traktowaniu niewolników (osławione „polowania” na helotów). Jak gdyby siłą prawa natury Sparta była jałowa kulturalnie, nie pozostały po niej ani dzieła sztuki, ani dzieła myśli. Jedyna rzecz, która przetrwała w kształcie raczej legendarnym, to pamięć o cnotach wojskowych i tężyznie fizycznej, a przyznać należy, że trwanie tej pamięci osobliwie było uporczywe i coraz to, również i w czasach najnowszych, cnoty spartańskie stawiane były w Europie za wzór (choćby nasz rodzimy „nagi trup Leonidasa”). I właśnie wtedy, kiedy tradycja spartańska ożywała, ożywała również i pamięć o prawodawcy Likurgu, zbiorowości zaś, które tej tradycji się poddawały, pustoszały duchowo. Aby nie było pomyłki, pragnę zwrócić uwagę na to, że spartańskich cnót wojskowych nie należy mylić z męstwem republikanów rzymskich: między odwagą Leonidasa a męstwem Katona ziele przerażająca czeluść niezgodności moralnej.

Powiało się, że archonta Drakon, prawodawca ateński, umarł u końca VII-go wieku przed Chrystusem i wiadomo o nim na pewno, że jest postacią historyczną i że ustanowił „drakońskie” właśnie prawa; na szczęście drakońskie tylko, a nie spartańskie. Nagłe przejście od praw drakońskich do praw Solona (Solon za czasów Drakona był dojrzałym człowiekiem, żył w latach 640-558 przed Chrystusem) sprawiało na mnie zawsze wrażenie cudu dziejowego: nikt z umarłych czy żywych nie zdołał mnie nigdy przekonać, że prawodawstwo Solona było konsekwentnym następstwem rozwoju wewnętrznego Aten, że było w rozumieniu tego rozwoju „potrzebne”, „niezbędne”, „konieczne” czy jak tam jeszcze. Nie wyobrażam sobie, aby ktoś za czasów Drakona domyślał się, że zaraz po nim nastąpi Solon, albo lepiej: że ktoś przed Drakonem przewidział, że zjawi się Drakon i zaraz po nim Solon. Ponieważ nie uznaję heglowskiego *Zeitgeist*'u, jakoś mnie on brzydzi, bo chyba nieumytnie, wolę przypuścić, że *spiritus flat ubi vult*.

Piszę tu o Likurgu i Drakonie, a także i przy okazji o Solonie dlatego, że wydaje mi się, że tradycje totalitaryzmów typu faszystowskiego tkwią korzeniami w tradycji likurgo-drakońskiej i że może się zdarzyć, iż po Drakonie nastąpi Solon (coś takiego stało się w Atenach, w Sparcie coś takiego się nie wydarzyło). I to właśnie jest tradycja Hitlera i hitleryzmu: aż bije w oczy podobieństwo traktowania przez Spartan helotów i *Untermensch*ów przez hitlerowców; gloryfikacja wojny jako zasada istnienia zbiorowości państwowej także do tych podobieństw należy. Ale tego rodzaju państwowości z reguły nie bywały trwałe; nie można na przykład mówić, że tradycja Likurga czy Drakona nieprzerwanie ciągnęła się od antyku po czasy najnowsze, że stanowi

jeden z tak zwanych nurtów historii; ta tradycja zjawia się i znika, przyczyny zaś tego bywają najrozmaitsze i nie sposób przewidzieć, kiedy się coś w tej materii stanie lub odstanie. Natomiast tradycja, ciągnąca się z czkawką, ale jednak ciągnąca się, nazwijmy ją dioklecjańską (czy, jak kto woli, egipską), została ze Spalatum przekazana Bizancjum, z Bizancjum caratowi, po caracie zaś przejęta została via Rewolucja Październikowa przez sowietyzm (stalinizm). Nie zanikała doszczętnie nigdy, wzmacniała się po okresach słabości i w z bogacała się czy obrastała nowymi elementami. Do tych niezmiernie istotnych przydatków należą przede wszystkim: idea kolektywnego zbawienia wczesnego Kościoła Wschodniego, oraz bizantyjski ceszaropapizm. Zwłaszcza z tym ostatnim było akurat na odwrót, niżli w Europie Zachodniej: w Bizancjum cesarz o władnął Kościołem i stał się faktycznie jego zwierzchnikiem, na Zachodzie (spór o inwestyturę) papieństwo sięgało po władzę świecką, co mu się nie udało.

Hitleryzm — i inne faszyzmy — przejął dziedzictwo Sparty niczego, w gruncie rzeczy, prócz techniki od siebie nie dodając: wybierając pogaństwo (w ujemnym tego słowa znaczeniu) i zaprzeczywszy chrześcijaństwu nic sobie nie robił z wartości Kościoła Zachodniego, obcy mu był indywidualizm św. Augustyna z jego ugruntowaniem odpowiedzialności osobistej wobec Boga, wobec Ciała Mistycznego i wobec bliźnich; hitleryzm niczego nie zdeprawował, ani niczego nie sperwertował, ulubiwszy sobie dawną nikczemność trochę ją zaledwie unowocześnił, istoty jej nie naruszając. Sowietyzm, wiedziony czy to instynktem, czy to wyrachowaniem, sperwertował natomiast wszystko, cokolwiek z wartości zastał; nie odrzucił ideału kolektywnego zbawienia, tylko nadał mu, że zastosuję tu marksowski termin — „znosząc” go, czyli niszcząc i zachowując zarazem — inny całkiem, nie odwrotny, tylko inny właśnie sens: zbawienie jest osiągalne na ziemi, osiągniemy je kolektywnie, stosując środki gospodarcze i polityczne, inaczej mówiąc — zbawienie kolektywne jest zagadnieniem władzy, która z kolei znowu jest kolektywem, tyle że coraz to mniejszym, im wyżej w hierarchii, aż spirala kończy się samotnym szpikulcem, w którym to, pozbawionym treści metafizycznych ceszaropapieskim szpikulcu, komprymuje się niekiedy kolektyw jednoosobowy. Co więc zostało z apokatastazy Kościoła Wschodniego? Tyle: postępienia wiecznego nie ma, ale nie dlatego, że jest Miłosierdzie, tylko dlatego, że zbawienie kolektywne jest doczesne.

Oczywista, mówię o tym przecież, historia Związku Sowieckiego jest dalszym ciągiem historii Rosji, sowietyzm zaś, to urzeczywistnienie celów caratu odmiennymi nieco środkami, nawet może i nie tyle odmiennymi, co raczej, jeśli chodzi o środki

represyjne, wzmożonymi, spotęgowanymi. Jeśli się pamięta o Dioklecjanie, mając zarazem przed sobą mniej lub więcej dokładny obraz Związku Sowieckiego, wyobraźnia cofa się w czasy przed Dioklecjanem: członek kolektywu jest niewolnikiem państwa, tak jak w dawnym Egipcie niewolnik był własnością faraona, ergo — członek kolektywu jest własnością faraona. Faraon zaś, w wydaniu najnowszym, przejął pewne elementy bizantyżmu: jest wszechwładnym cesarzem i nieomylnym papieżem zarazem.

Reasumując: hitleryzm nie jest w sposób „naturalny” dalszym ciągiem historii Niemiec, tak jak w ogóle faszyzmy zachodnioeuropejskie nie wynikają z historii poszczególnych narodów, chyba jednak nie należy traktować ich jako chorobę wrodzoną i niezbywalną, lecz jako groźną i przerażającą infekcję, na którą, być może, jeden organizm jest bardziej podatny niż inny, ale która dla żadnego nie jest nieodwracalnym losem i która poddaje się leczeniu, chociażby szokiem. Z kolei sowietyzm nie jest nieodwracalnym losem narodu rosyjskiego, ale stał się nieodwracalnym, jak na razie, losem rosyjskiego państwa. I stąd antyrymskie kompleksy tego narodu.

8.

Czy istnieją kompleksy Rosjan wobec Europy Środkowej? Czy są one tożsame z kompleksem antyrymskim, czy są jego odmianą, czy też czymś innego rodzaju? — I co to właściwie jest, ta Europa Środkowa? Prosta odpowiedź brzmi: Europa Środkowa to Polska, Czechy, Słowacja, Austria i Węgry, inaczej: to Polacy, Czesi, Słowacy, Austriacy i Węgrzy. Wszystkie te narody zostały ochrzczone pod jurysdykcją kościelną Rzymu Zachodniego, nie Wschodniego; wszystkie one w mniejszym lub większym stopniu zagrożone były w różnych czasach przez najazdy azjatyckich ludów niechrześcijańskich (Tatarów i Turków); wszystkie w istotny sposób wmieszane były w wojny religijne siedemnastego stulecia (przy czym wojny szwedzkie w Polsce można uznać za dalszy ciąg wojny trzydziestoletniej); wszystkie wreszcie doznały kontrreformacji w jej jezuickiej postaci, aby w wieku osiemnastym doznać pospólnie reformy wykształcenia, dokonanej przez zakon Pijarów. Renesans w tych krajach wykazywał przewagę inspiracji włoskiej nad francuską i niemiecką; ruchy reformatorskie łączyły się z przyczyn zewnętrznymi i wewnętrznymi; barok trwał tu dłużej niż gdzie indziej, np. w Polsce na dobrą sprawę dwa stulecia. I w końcu nie należy zapominać o roli, jaką odegrała w osobliwym scalaniu czy wyodrębnianiu się Europy Środkowej monarchia Habsburska.



Rola ta jest znaczna nie tylko dlatego, że do pierwszej wojny światowej w obrębie przez nią rządzonego państwa znajdowały się wszystkie wymienione przed chwilą narodowości (Polacy, co prawda, tylko w części), lecz także dlatego, że w wyniku rozpadu monarchii Habsburskiej narodowości te zyskały odrębny byt państwowy (w wypadku Polski ten wzgląd nie był jedyny, choć zapewne jakoś ważny). Rozpad imperium Habsburskiego należy zresztą rozpatrywać pod innym jeszcze względem. Imperia Europy Środkowej i Wschodniej, to jest Rzeczpospolita Trojga Narodów, monarchia Austro-Węgierska i imperium Rosyjskie (pomijam tu imperium Osmańskie), powstawały na innej zasadzie, niż imperia państw Europy Zachodniej. O ile Wielka Brytania, Francja, Belgia czy Holandia zagarniały ziemie zamorskie, o tyle państwa Europy Środkowej i Wschodniej wzbogacały się o kraje ościenne różnymi sposobami, *nube* — jak Austria, przez unie — jak Polska, przez podboje — jak Rosja. Państwo-wy zespół polski rozpadł się w XVIII-tym wieku, austriacki w naszym stuleciu; pozostało imperium rosyjskie, które na domiar, powiększyło swój stan posiadania po drugiej wojnie światowej. Otóż jeśli upadek Pierwszej Rzeczypospolitej był katastrofą nie tylko dla Polaków, ale i dla innych wchodzących w jej skład narodowości (widział to dobrze Szewczenko, który powiedział, że Polska się przewaliła i tym samym i Ukrainę przygniotła), to rozkład imperium Habsburgów dokonał się i w odpowiednim momencie i w stosunkowo łagodny sposób. Imperium rosyjskie nigdy nie starało się organizować na zasadzie współzycia różnych narodowości: zasadą było ujarzianie i to pozostało, *mutatis mutandis*, po dzień dzisiejszy.

U narodów Europy Środkowej różnie się to układało, ale u Rosjan nie udawało się to nigdy: myślę o współzyciu elit władzy z rządzonymi. Od czasów swego powstania Rosja graniczyła zawsze na zachodzie z krajami, gdzie takie współzycie dawało się niekiedy urzeczywistniać i stąd swoista odmiana rosyjskiego kompleksu antyrzymskiego, dotyczącego Europy Środkowej. Dochodzi tu jeszcze rzecz szczególna i zaskakująco płaska: sprzężona z poczuciem niższości zawiść. Dam przykład. W roku 1964 byłem z oficjalną delegacją literacką w Związku Sowieckim i z tej okazji gospodarze zorganizowali nam spotkanie z tłumaczami poezji polskiej na rosyjski. W pewnej chwili dyskusja zaczęła się toczyć wokół trudności odbioru współczesnej poezji polskiej w Rosji; padło nazwisko Różewicza. Powiedziałem wtenczas, że w historii literatury polskiej współistnieją dwa nurty poetyckie, oba wywodzące się z Kochanowskiego: jeden, biegnący od Kochanowskiego przez romantyków do, powiedzmy, Skamandra i Broniewskiego, oraz drugi od Kochanowskiego przez Barok, Nor-

wida, po prądy najnowsze z Różewiczem włącznie. W swojej praktyce przekładowej Rosjanie preferowali zawsze nurt pierwszy i dlatego poezja, kształtowana w tradycjach nurtu drugiego jest dla czytelnika rosyjskiego obca, trudna, czy jak tam ją jeszcze określić. Na końcu zapytałem, czy jest w Rosji na rynku księgarskim Kochanowski. Zapadło kłopotliwe milczenie wśród gospodarzy, aż wreszcie ktoś powiedział, że jest w przygotowaniu wydanie akademickie z dużym aparatem filologicznym; o wydaniu popularnym na razie się nie myśli. Zacząłem domyślać się, że popełniłem nietakt i domysł ten okazał się słuszny. Kiedy znaleźliśmy się, Polacy, między sobą, ktoś mi rzecz wyjaśnił: Kochanowski to temat kłopotliwy, ponieważ: 1) był najwybitniejszym poetą renesansowym Słowiańszczyzny i nie był Rosjaninem; 2) politycznie stał po stronie swego króla, Stefana Batorego, czyli przeciwko Moskwie. Kiedy parę lat później rzeczywiście wyszło wydanie akademickie Nigrosilvanusa, autor przedmowy, czy wstępu, znakomity filolog rosyjski Goleniszczew-Kutuzow powiedział, czy też zmuszono go, żeby powiedział, że Kochanowski był w swych poglądach politycznych reakcyjny, gdyż był po stronie Batorego właśnie, a nie po stronie — postępowego widać — caratu. Przypuszczam, że głównym źródłem kompleksu Rosjan wobec Europy Środkowej jest okoliczność, że tuż za ich miedzą żyją ludy, które podobnie jak ludy Europy Zachodniej doświadczyły normalnego feudalizmu (rosyjski bowiem był mocno wynaturzony i pokiereszowany), normalnego, a nawet bujnego Renesansu (którego w Rosji nie było), normalnego Baroku i Oświecenia (które w Rosji były bardzo słabe, Barok bez mała niedostrzegalny). Tu Rosjanie czują się historycznie niedopieczeni; i rzecz może nie taka dziwna, że bardziej drażni ich zachodni tok historii w krajach Europy Środkowej, niż w krajach Europy Zachodniej — Zachód jest dalej, Środek jest tuż, to bardziej doskwiera; doskwiera tym mocniej, że narody te, „rzymskie” mimo wszystko, znajdują się przecież w zasięgu rosyjskiego imperium, a mimo to „rzymskie” (łacińskie) być nie przestają.

Nadto najnowsze doświadczenia uczą, że jedynie „rzymskie” dominia czy półkolonie potrafią się buntować, a nawet wymusić zmianę mianowanej przez Kreml ekipy zarządzającej, albo przynajmniej zmianę zatwierdzonej przez Kreml linii polityki wewnętrznej: Pilzno 1951, Berlin Wsch. 1953, Węgry i Polacy 1956, Czesi i Słowacy 1968, Polacy 1970 i 1976. Dioklecjanowsko-bizantyjsko-carsko-sowiecka machina zarządzania w Europie Środkowej funkcjonuje ułomnie, tryby zgrzytają, transmisje się rwą. Sygnał wywoławczy „władza” nie powoduje tu jawienia się ani bojaźni, ani czci, ani otepienia — przynajmniej u elit; jawią się raczej lekceważenie i pogarda, czasami oczywiście strach, ale nie jest

to bojaźń, tylko elementarny strach egzystencjalny, bez metafizycznego dreszczyku.

Prawdopodobnie to właśnie jest głównym źródłem rosyjskich kompleksów urazowych wobec Środkowej Europy.

9.

Europa Zachodnia reaguje na antyzachodnie kompleksy rosyjskie zaciekawieniem, przy czym jakże często owo zaciekawienie staje się powierzchowną modą. Mieszkaniec Europy Środkowej odpowiada urazem na uraz, kompleksem na kompleks. Te kompleksy i urazy powstawały zresztą u narodów tego obszaru w różnych czasach historycznych i z różnych powodów.

Najwcześniej powstały w Polsce i zapewne rozbiory były główną tego przyczyną. Ale nie tylko. Dwa stulecia przed rozbiorami świadomość elit polskich była wobec Rosji świadomością, wypływającą z poczucia przewagi politycznej i moralnej. Kochanowski tak to wyraża w „Jeździe do Moskwy”: „[...] szczęściu swemu / Car Moskiewski ufając, chciał świata wszystkiemu / Groźnym być [...] / Czwatyrnasty potomek rzymskiego cesarza / Augusta: któż wie, gdzie wziął tego kronikarza”. W innym zaś miejscu tego poematu charakteryzuje carat (przenikliwie? pro-roczo?) tak: „A zapłacisz wzdram kiedy oneń krew niewinną, / Którąś ty przelał bronią swą złoczynną. / Dziw na świecie kruk biały, nie mniejszy dziw i to / Żeby tyrana przedsię nawet nie zabito, / A, by nieprzyjacielskiej dobrze uszedł broni, / Domowej się sposobem żadnym nie uchroni”. Jest to jak gdyby syntetyczny opis caratu i jego cech charakterystycznych: zachłanność w skali globalnej, mitomania genealogiczna i uroszczenie dziejowe, tyrania, okrucieństwo. Kochanowski mówi o carze i despotcie jak człowiek wolny; wie, że na wojnie jak na wojnie, cieszy się ze zwycięstw, ale zna i klęski. Żadnych tu nie ma kompleksów ani urazów — jedynie pogarda dla tyraństwa.

Po pierwszych płacach porozbiorowych („fuius Troiae”) Mickiewicz to już inaczej widzi, a mianowicie: „Ale gdy słońce wolności zaświeci, / Jakież z powłoki tej owad wyleci? / Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię, / Czy ćma wypadnie, brudne nocy plemię?”. A także: „Ach, żal mi ciebie, biedny Słowianinie! — / Biedny narodzie! żal mi twojej doli, / Jeden znasz tylko heroizm — niewoli”. Tutaj już się zaczyna polski kompleks antyrosyjski; bo jeśli Mickiewicz powiada: „biedny Słowianinie”, to jest tak, jakby sam Słowianinem nie był, albo też był Słowianinem innego jakiego rodzaju; pobrzmiwa także w tych słowach

przeświadczenie, że wielowiekowa niewola tak może naród zdemoralizować, iż zaznawszy wolności będzie jako „brudne nocy plemię”; i wyczuwa się w „Ustępie” coś z paniki: odgrodzić się od tego imperium, za wszelką cenę i wszelkim wysiłkiem odgrodzić!

Mickiewicz mówi jeszcze jak człowiek wolny, lecz już nie tak, jak Kochanowski; tak raczej, jak człowiek, dla którego wolność ma siłę tradycji i który boi się, że ta tradycja może się w „kaskadzie tyraństwa” zatracić. Krok następny, to Norwid. Norwid widzi już tylko niewolę i zapisuje, że naród polski żyje jednocześnie w trzech emigracjach: na Zachodzie, na Syberii i w kraju. Przy czym jest dla czytelnika rzeczą oczywistą, że „kraj” to zabór rosyjski: Prusy ani Austria Syberią nie dysponują. — I wreszcie Piłsudski, może najbardziej trzeźwy i pesymistyczny, mówi bowiem, i to po wygranej wojnie z Rosją, że udało mu się zatrzymać koło historii, ale nie wierzy, żeby na długo.

Antyrosyjski kompleks polski zakompleksił się, jeśli można tak rzec, ostatnio do imentu. W ostatniej swojej powieści, zatytułowanej właśnie „Kompleks polski”, Tadeusz Konwicki snuje takie oto rozważania: „Ciemny, obskurancki despotyzm, zdzierzenie wyższych sfer, nędza ludu, samowola głupich i sprzedajnych urzędników, niewiarygodna indolencja wodzów, najreakcyjniejsze prawa i obyczaje, barbarzyństwo w stosunkach między ludźmi — to wszystko miast zatopić państwo w haniebnym anarchii, miast zdemolować strukturę państwową, miast wykorzeni naród ze wspólnoty europejskiej, to wszystko mozolnie budowało potęgę dawnej Rosji, jej supremację, jej wielkość wśród narodów starego kontynentu.

U nas szlachetność wykształconych władców, energia rozumnych ministrów, dobra wola obywateli, hołdowanie szczytnym ideom ludzkości, u nas te wszystkie pozytywne, przykładowe, czytankowe wartości dewalutowały się zniemacka. Kurwiły ni z tego ni z owego i jak kamień młyński ciągnęły na dno czcigodnego trupa Rzeczypospolitej Obojga Narodów”.

Im się powiodło, chociaż na to nie zasługiwali; nam się nie powiodło, choć na powodzenie zasłużyliśmy po stokroć; na dobitkę oni nas ujarzmili, choć (i tu dopowiadam sobie to nieszczęsne zdanie) to w imię cywilizacji myśmy ich powinni byli ujarzmić, a przynajmniej zdominować. Zaczyna się od Kochanowskiego, a kończy na prześmiewkach, że pod bramami Kremla stoi car-kołokoł, który nigdy nie zadzwonił i car-puszka, z której nikt nigdy nie wystrzelił — choć robota giserska piękna.

Jest to bardzo groźne sprzężenie zwrotne. Co gorsza, ten polski kompleks antyrosyjski i związane z nim urazy stały się

w Europie Środkowej zaraźliwe. U Węgrów powstał on już w okresie Wiosny Ludów, kiedy carat skwapliwie pomógł w tłumieniu węgierskiej rewolucji; u Austriaków dopiero po drugiej wojnie światowej, kiedy zaznali rozkoszy okupacji bolszewickiej; u Czechów i Słowaków na dwie, jakby, raty: w roku 1948 i w roku 1968. I cały czas argumentacja jest podobna, bez mała zapożyczona od powstałej dziesięć lat po tragicznej Wiośnie Praskiej powieści Konwického: my jesteśmy Zachód, my jesteśmy cywilizacją, władza zaś nami dzicz, albo dzicz nam zagraża. No cóż, my wszyscy — Czesi, Słowacy, Węgrzy, Austriacy, Polacy — jesteśmy co prawda „rzymscy”, ale nie jesteśmy Zachodem; jesteśmy Europą Środkową, a to znaczy: Zachód się nami mało interesuje.

10.

Mówiłem na początku, że granice między Europą Środkową a Europą Zachodnią i Rosją nie przebiegają klarownie. Jest tak dlatego między innymi, że kompleks antyrosyjski jak gdyby się na zachód i na wschód od Polski rozlewał. Niemcy go nabyli po drugiej wojnie światowej na skutek spowodowanego przez Rosję (i z własnej, hitlerowskiej, winy) podziału kraju. Na wschód od Polski Ukraińcy, Białorusini i Litwini ciążą ku Europie Środkowej na skutek opresji, w jakiej się na stałe, po rozbiorach Polski, znaleźli. Niemcy, nawet jeśli tego nie mówią głośno, gotowi by byli w odpowiednim momencie zapłacić za zjednoczenie finlandyzacją; Ukraińcy, Białorusini i Litwini nawet nie mają czym płacić, ale otwarcie na Europę Środkową u nich istnieje. Ten stan może trwać bardzo długo i w żadnym wypadku, jak długo stan ten trwa, nie można się spodziewać wyleczenia Europy Środkowej, wraz z jej okrajami, z kompleksów. Nawet gdyby — a nie wiem, czy należy sobie tego życzyć — wybuchły jednocześnie rewolty na Węgrzech, w Polsce, Czechosłowacji i w NRD, wspomagane przez niepokoje w zachodnich republikach sowieckich; spowodowałyby to co najwyżej wzmożone kłopoty władców na Kremlu. Być może cała nadzieja w tym, że któregoś dnia władcy Kremla zdadzą sobie sprawę z tego, iż nie udało im się definitywnie wsadzić do jednej kalety mitycznych „ziem ruskich”, że Ukraińców i Białorusinów nie da się już teraz przetransportować gdzie pieprz rośnie i kłody marzną, jak to był uczynił Iwan Dobry z Nowogrodzanami, i że najlepszym wyjściem jest dbanie o własny, rosyjski interes.

Ale czy da się wykorzystać w świadomości rosyjskich i zruszczonych elit politycznych dioklejanowe dziedzictwo, z istnienia

którego zdają sobie sprawę, albo i nie? Czy po 16-tu stuleciach Dioklecjana możliwy jest cud dziejowy w postaci Solonowego prawodawstwa? I czy możliwy jest Solon po Dioklekanie?

— Nie śmiem pytać; w cuda wierzyć trzeba.

Witold WIRPSZA

## List z Szanghaju

Już po pierwszych krokach na ziemi chińskiej rzuca się w oczy różnica między dniem wczorajszym i dzisiejszym. Przed trzema laty Szanghaj kipiał zgiełkiem rewolucji kulturalnej. Powiewały czerwone sztandary, biły bębny i wyły piszczałki, a młodzieńszki wależy co sił w rękach w metalowe talerze. Maszerowano dniem i nocą — do fabryk i z fabryk, na wieś i z powrotem. Kelnerzy w hotelu, spędzani najpierw rano razem z kucharzami na ulicę na kolektywną gimnastykę, odbywali potem — przed obsługą wygłodzonych gości — poranne rekolekcje ideologiczne, by później, zmęczeni, stawiać turystom z niechęcią jadło pod nos. Trzy lata temu Szanghaj był stolicą zwariowanych sił lewackich, które wbrew historii i psychologii, wbrew rozsądkowi i na przekór nastrojom mas robotniczych i chłopskich, nie mówiąc o poglądach zdeptanej inteligencji, usiłowały za wszelką cenę dokonać cudacznego eksperymentu. Chiny, odgradzone — z wyjątkiem Albanii i Północnej Korei — podwójnym murem politycznej i ideologicznej samoizolacji, tarosiły się wewnątrz pomiędzy przeciwstawnymi siłami i koncepcjami. Z jednej strony szła ofensywa lewaków, której celem było nie tylko stworzenie nowego mitu ale i nowego modelu socjalizmu, zupełnie odmiennego od istniejących w rodzaju sowieckiego czy jugosłowiańskiego. Była to koncepcja permanentnej rewolucji kulturalnej, ustawicznego przetrucania ludzi z jednego miejsca na drugie, stałych czystek, kompletnego zrównania w sensie powszechnego ubóstwa, wykorzenia tradycji w kulturze, sztuce i filozofii. Starzejący się Mao poparł ostatecznie tę koncepcję, choć prawdopodobnie — oderwany od rzeczywistości i na skutek choroby niezdolny do dłuższych podróży po kraju — nie zdawał sobie sprawy z tego, co się w tym kraju dzieje. Zaś przeciwnicy rewolucji kulturalnej, z Czu i Tengiem na czele, byli zbyt słabi aby się przeciwstawić fatalnym w skutkach eksperymentom, firmowanym przez samego Wielkiego Przewodniczącego. Jedyne co mogli, to w porozumieniu z armią nie dopuścić do kompletnego

chaosu w administracji i w gospodarce. Nie dali też rozbewziewnym masom młodocianej czerni zniszczyć historycznych pamiątek kultury chińskiej.

Chodzę po ulicach Szanghaju i wierzyć mi się nie chce, że tak tu było przed kilku laty. Wszystko to znikło. W dzień święta chińskiej rewolucji więcej na ulicach bielizny suszącej się na przecigniętych w poprzek ulicy sznurkach, niż czerwonych sztandarów. W przeddzień, dorocznym zwyczajem, odbył się koncert w olbrzymiej okrągłej hali sportowej pod zielonym sklepieniem. W pierwszych rzędach przed owalną sceną nowe kierownictwo partii. Mój ryfler, Chińczyk, opisuje dyskretnie kto tam siedzi, kto i kiedy był prześladowany, kto pozostał na stanowisku po politycznym trzęsieniu ziemi. Wpada w oko, że oprócz cywilów jest w kierownictwie trzech generałów i trzech admirałów, chociaż nikt tu nie nosi żadnych odznak. Po prostu można poznać starszyzną po wieku, kroju mundurów, po cholewach — to znaczy po jakości obuwia. Tłumacz nie mówi o generałach czy admirałach, tylko o „dowódcach jednostek broni”. Na trybunach wielobarwny tłum. Jedno całe olbrzymie skrzydło to żołnierze w zielonych i marynarze w białych mundurach. Kiedy, jak na komendę, zdejmują czapki, to cały ten blok przemienia się jakby w piękny rysunek, w zielono-białą szachownicę z czarnymi na niej główkami, jak makówki. Za mną dwa rzędy gości z Jugosławii. Olbrzymia delegacja ze wszystkich republik. Na ich cześć znana chińska śpiewaczka operowa śpiewa popularną tutaj piosenkę „Moje Sarajewo, moja Bania Luka” i za tę piosenkę zbiera huśtane brawa. Ale jeszcze przedtem, kiedy się tylko pokazała na scenie, wszyscy podnieśli się i urządzili jej długą i frenetyczną owację. Okazało się, że w okresie władzy szanghajskich goszytów wyrzucono ją z teatru za opór przeciwko likwidacji tradycyjnej sztuki muzycznej, a potem wrzucono do więzienia. A więc jeden z pierwszych obrazków chińskiego października. Będzie ich jeszcze na trasie Szanghaj-Pekin-Mandżuria sporo.

Wraz z *kultrewolucją* znikł ów dawny, okropny, styl mówienia o wszystkim w sposób napuszony i sztuczny. Teraz Chińczycy mówią zwykłym ludzkim językiem. Nie prawią nikomu morałów i nie chełpią się, jak ich północni rosyjscy sąsiedzi, że u nich jest wszystko najlepsze i najszlachetniejsze. A podczas *kultrewolucji* było tego pełno. Wówczas, mimo wrogości do Moskwy, mimo wszystko więcej było elementów wspólnych z ustrojem sowieckim niż by się to mogło wydawać. Widocznie dogmatyzm i izolacja prowadzą do takich samych objawów. Nawet na oficjalnej akademii partyjno-wojskowo-administracyjnej mniej było sztywnej obrzędowości niż w innych państwach rządzonych przez komunistów. Był to bardziej kiermasz niż propagandowe namaszczanie. A na szerokich bulwarach pod platanami faluje tłum, spokojnie, trochę nawet nonszalancko. Kolorowe lampiony i kolorowe stroje kobiet. Już nie ma jednostajnego niebieskiego przyodziewku. Zostały nadal tradycyjne spodnie (choć na przyjęciach widać już Chinki w brokatowych sukniach) ale bluzki mienia

się różnistością barw i deseni. Dziewczęta obcinają obowiązkowe do niedawna warkocze i paradują w zachodnich fryzurach. Tu i tam widać kwiatek we włosach i kokieterijny błysk w oczach. Wali się na oczach cały gmach krótkotrwałego purytanizmu.

W olbrzymim kompleksie dawnego „Wielkiego Świata”, gdzie przed rewolucją panowały nierząd, hazard, opium i to co potocznie nazywano „Sól i mięso” (sól — to marynarz, a mięso — to prostytutka), teraz roi się od młodzieży. Po rewolucji mieściły się tutaj teatry, kabarety, kluby. Potem goszyści zlikwidowali całą imprezę i gmach stał latami zamknięty. Obecnie otwarto tu Pałac Młodzieży i tłum taki, że wpuszczają do niego według specjalnego klucza. Na 13 milionów mieszkańców nawet ten duży dom klubowy to kropla w morzu, jak mi mówią kierownicy Pałacu. Zabawy są raczej niewyszukane, w większości połączone z nauką lub nabywaniem sprawności intelektualnych albo praktycznych. Jedną z tych przyjemności jest dość makabryczna: stoi duża prasa hydrauliczna, a pod nią zrobione z gumy głowy przywódców chińskiej ultra-lewicy, czyli „bandy czterech”; obsługuje ją komputer, którym należy odpowiednio pokierować — kto to zrobi sprawnie, ten staje się autorem widowiska: gdy prasa idzie w ruch zgniata powoli głowy całej czwórki z wdową po Przewodniczącym Mao na czele. Tłum akompaniuje szyderczym śmiechem lub głośnymi epitetami.

W nocy na niebie kaskady fajerwerków i huk petard. I tu też nawróć do tradycji. Zaś o brzasku wokół hotelu, dawnego domu eleganckich apartamentów, zamienionego w czasach rewolucji kulturalnej w biura partyjne, a obecnie oddanego zagranicznym turystom — chór kogutów. Dla niejednego z tych śpiewaków jest to ostatnia okazja do popisu wobec sąsiadów-konkurentów, bowiem wieczorem może się zjawić już w innej postaci — dania na półmisku. Widzę z balkonu, że z okazji trzech dni świąt rewolucyjnych na podwórkach, gankach i tarasach okolicznych domków odbywa się masowy mord kaczek, kur i gęsi. I to też należy do innowacji. Chińczycy odkrywają na nowo zamiłowanie do sztuki kulinarnej i oddają się tej przyjemności nawet wtedy, kiedy związane jest to z wydaniem niemal miesięcznego zarobku.

Ale z troską o podniebienie — choć i to bardzo ważny moment normalizacji — konkuruje odkrywanie piękna, zarówno w sztuce jak też i w dniu powszednim. W szanghajskim muzeum sztuki, jednym z najpiękniejszych, odbywa się właśnie wystawa historii pisma chińskiego. W gablotkach eksponaty od początków stawiania znaków po dzień dzisiejszy. Starzy i młodzi oglądają kunsztowne, często przebogate przyrządy do robienia tuszu, pędzle i pędzelki, pierwsze rolki papieru i model dawnego pokoju-biblioteki jakiegoś filozofa czy mandaryna. I zupełnie tu inna atmosfera niż przed trzema laty kiedy, po otwarciu tego muzeum, pracownicy snuli się zastraszeni jak duchy, a napisy nad dziełami sztuki składały się z propagandowych nonsensów. Obecnie jest to najnormalniejsze muzeum z dobrą ekspozycją zbiorów.

Wszystkie propagandowo-rewolucyjne napisy usunięto, a kustosz i jego współpracownicy nie muszą się już bać. Ale nie to jest chyba najważniejsze, a sposób bycia zwiedzających, ich pieczołowitość i podziw wobec wielkiej historii. W dni powszednie przychodzą tu całe klasy szkół (tak samo dzieje się w Pekinie czy Nankinie) na praktyczne lekcje historii Chin.

W dzień święta rewolucji młodzież rusza też dużą falą do Ogrodu Mandarynów lub — jak to cudo architektury i sztuki ogrodniczej nazywają szanghajczycy — „Parku wyrządzania sobie wzajemnej przyjemności”. I ten ogród był przez kilka lat zamknięty. Teraz za jego murami uwieńczonymi rzeźbionymi głowami wężów, pośród pagód, stawów, sztucznych strumieni i potoków, pod dachami zakończonymi paszczami smoka lub całą kolekcją figur ludzi i zwierząt, młodzi Chińczycy z lubością się fotografują. A tuż obok, w jednym z pawilonów, czterech panów, którzy sądząc z obycia i znajomości obcych języków zaznali niegdyś pięknych, dobrych czasów, sprzedaje teraz antyki: starą porcelanę, rysunki, wachlarze, figurki, biżuterię i czy kupisz coś czy nie dają maleńki prezent w postaci eleganckiego druczku ze wszystkimi dynastiami chińskimi. Wszystko odbywa się tak dostojnie, że zniechęcony natrętnością Bangkoku i Hongkongu zdobywam się na wielki gest i kupuję dla żony drobiazg ze schedy po jednej z cesarskich konkubin.

Kilka kilometrów dalej, w innym parku, gdzie dotychczas hodowano sadzonki do zalesiania i do zadrzewiania miast, kultuwuje się od kilku miesięcy starą sztukę drzewek ozdobnych, drzewek-liliputów w najrozmaitszych wydaniach i kształtach: w wazonikach z napisami wziętymi ze starych tekstów poetyckich. I tu właśnie we wnękach, owalach, też fotografuje się młodzież Szanghaju. Dziewczęta wytrzasnęły skądś różowy kapelusik i fotografują się w nim kolejno. W innej części ogrodu znów chłopcy — ktoś ma kapelusz kowbojski i krawat, a więc po kolei każdy w tym kapeluszu i krawacie ustawia się do fotografii na tle krajobrazu sztuki ogrodniczej Chin, tradycyjnej w delikatności ruchów i pomysłowości kompozycji. Aż podziw bierze jak to się mogło stać, że ta cała potężna — jak przybyszowi z daleka zdawało się trzy lata temu — fala ultrarewolucyjności odplynęła bez śladu.

Tego samego dnia wieczorem jeszcze jedno potwierdzenie. Z trudem udało mi się zdobyć bilet na stary balet chiński o miłości uczonego i bogini, który też był przez dwanaście lat zakazany. Występowali artyści ze szkoły baletowej opery Szanghaju, a na widowni prawie tylko młodzież, siedząca jak na jakimś nabożeństwie. Pęd do poznawania dawniej zakazanej tradycji i sztuki jest tak powszechny i żywiołowy, że nawet najbardziej zagorzałym komunistom z nowego kierownictwa nie pozostaje nic innego, jak otwieranie na oścież bram. W ten sposób panowie rządzący w Pekinie i Szanghaju zdobywają sobie najwięcej popularności. Luzy ekonomiczne i polityczne liczą się oczywiście także, a otwarcie na Zachód, który geograficznie leży na Wscho-

dzie, zajmuje jedno z pierwszych miejsc. Jednak otwarcie kulturalno duchowe na wewnątrz wydaje się najważniejszym czynnikiem sprzęgającym władzę i społeczeństwo. Tradycja kulturalna i cywilizacyjna odgrywa tu większą rolę niż gdzie indziej religia. Nic więc dziwnego, że Chińczycy nie odebrali w pełni znaczenia wyboru Polaka na Papieża Kościoła katolickiego. Jak stwierdziłem w jedną z niedziel, w barokowym kościele w Pekinie pustki. Mimo to na cześć Karola Wojtyły zaprowadzono mnie do buddyjskiej świątyni z zielonego i białego nefrytu, do tej samej świątyni, którą tak bardzo chciałem obejrzeć trzy lata temu i o której nikt z ówczesnych urzędników Szanghaju niczego wiedzieć nie chciał.

Bohdan OSADCZUK

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 289 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA  
**SZKICE O LITERATURZE  
EMIGRACYJNEJ**

Wczesny okres wojenny. — Literatura Polski Walczącej. — Londyn 1942. — Polacy w Rosji: Literatura zsyłkowa. — Od Teheranu do Jerozolimy. — Rozdział włoski. — Londyn u kresu wojny i w latach powojennego chaosu. — Czasopisma literackie.  
Książka zaopatrzona jest w Indeks Nazwisk.

Str. 416.

Cena F. 85.

TOM 290 — MARIA CZAPSKA  
**CZAS ODMIENIONY**

to dalszy ciąg wspomnień Autorki („Europa w rodzinie”), to jej losy w czasie pierwszej wojny światowej kiedy z Mińska przez Petersburg i Warszawę — rewolucja rosyjska i wyzwolenie Polski — dociera do uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Str. 160.

Cena F. 35.

TOM 291 — WŁADYSŁAW BIENKOWSKI  
Seria „Bez Cenzury”  
**SOCJALIZM PO 60 LATACH**

Str. 64.

Cena F. 18.

## Kraj

### Optymizm pesymisty

Pewien mój warszawski przyjaciel mawia od niedawna, że może już umrzeć, bo wie jak dalej potoczą się wypadki, w jaki sposób będzie następowała „degradacja” polityczna imperium sowieckiego.

Prawdę mówiąc wiem to już od dawna, ale mimo to nie zaliczam się do optymistów. Na „degradację” Rosji sowieckiej z roli jednego z dwóch głównych mocarstw światowych do pozycji mocarstwa drugiej kategorii składają się dwa główne czynniki. Pierwszym jest naturalnie międzynarodowa rola Chin. Jej wzrost stał się oczywisty co najmniej od wizyty prezydenta Nixona w Pekinie w 1972 roku. Upadek Nixona zaciemnił później tę sprawę w oczach szerokiej opinii międzynarodowej. Ale w ostatnich miesiącach odżyła ona w sposób wielce spektakularny. W Pekinie pojawił się Brzeziński i inne osobistości amerykańskie, a potem doszło do układu chińsko-japońskiego, który rozjaśnił niby światłem błyskawicy międzynarodowy trend rozwojowy, nieuchronny właściwie od roku 1972. Rosjanom wypadło zapłacić wysoką cenę za imperialny dogmatyzm w sprawie japońskich Wysp Kurylskich. Ale to nie wszystko. Wydaje się, że między USA, Japonią, Francją i RFN trwa swego rodzaju wyścig do Pekinu, rywalizacja o wpływy gospodarcze w Chinach. Trudno przewidzieć, który z najwyższej uprzemysłowionych krajów świata stanie się głównym gospodarczym kooperantem Chin, ale pewne jest, że Chiny będą uprzemysławiały się „wielkimi skokami”, jeśli wolno sięgnąć do ich repertuaru terminologicznego. Wszystko to musi spędzać sen z oczu gerontokracji sowieckiej. Wystarczy czytać gazety rosyjskie, by nie mieć w tej sprawie najmniejszych wątpliwości.

Gdyby sowiecką polityką zagraniczną kierował Gromyko, a nie sam Breżniew, to minister spraw zagranicznych ZSSR poszedłby na zieloną trawkę. Genialna w swej prostocie, bo zawsze twarda, imperialna i agresywna polityka zagraniczna Sowietów ponosi od kilku lat jedną porażkę po drugiej. Układ chińsko-japoński

był z pewnością nie tylko porażką największą, ale przede wszystkim stwarza on najgroźniejsze perspektywy długofalowe dla Rosji. Dodajmy do tego „przebudzenie” się Zachodu. Nadal dość niepopularny Carter powoli robi jednak swoje. Nie pomógł wielki krzyk propagandowy Sowietów i Carter nakazał produkcję elementów broni neutronowej, mając już w tej chwili wyraźne poparcie głównych sojuszników Ameryki. Carter przeprowadził też część swego programu energetycznego. Ameryka umacnia swoje pozycje na Bliskim Wschodzie przez porozumienie Izraela i Egiptu. Zachód wyraźnie okrzepł w ostatnich dwóch latach, a Sowiety znalazły się w defensywie.

Obok międzynarodowych przyczyn zapowiadających „degradację” imperium sowieckiego występują także przyczyny wewnętrzne, wcale nie mniej ważne. Przypomina mi się tu stary dowcip: Na czym polega różnica między kryzysem kapitalizmu a socjalizmem? Kryzys kapitalizmu są okresowe, a kryzys socjalizmu jest permanentny. Po pewnych wahaniach w epoce Chruszczowa Rosjanie zdecydowali się, że względów przede wszystkim politycznych, nie przeprowadzać głębszych reform swego mało efektywnego systemu gospodarczego. Uważają, że reformy musiałyby doprowadzić do usamodzielnienia się nierosyjskich republik sowieckich, czego boją się jak ognia. Poza tym klasa rządząca w Sowietach jest przekonana, że poważniejsze reformy mogłyby zagrozić jej władzy, przenosząc decyzje w ręce fachowców i specjalistów i osłabiając tzw. aparat gospodarczy i polityczny, a więc przede wszystkim partię. Rozumowaniu temu nie sposób odmówić pewnej słuszności. Nie można wyobrazić sobie takich reform systemu komunistycznego, które nie pociągnęłyby za sobą poważnych konsekwencji politycznych, a przede wszystkim przesunięć w elicie władzy. Wobec tego kierownictwo sowieckie opowiedziało się przeciw reformom zarówno w Związku sowieckim, jak i w krajach Bloku Wschodniego. W sprawie tej panuje żelazna konsekwencja od niemal 15 lat. Naturalnie musiało okazać się, że za taką decyzję przyjdzie płacić wysoką cenę. Gospodarka całego Bloku Wschodniego, mimo pewnych różnic między jego poszczególnymi krajami, jest z każdym rokiem bardziej zdeorganizowana i mniej efektywna. Kryzys w Polsce, o którym pisze się bez przerwy już od czterech lat, okazał się tylko symptomem choroby trawiącej cały Blok Wschodni. Powszeczeńnie mówi się o kryzysie w samej Rosji, która ma do tego niższą stopę życiową ludności niż jej satelici. Jest to jeden z zadziwiających paradoksów ustroju komunistycznego. Z dominacji państwa imperialnego jego ludność nie czerpie żadnych korzyści. Trwający bezustannie wyzysk krajów satelickich służy przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, ekspansji całego bloku. Bywa tak, że w niektórych sprawach społeczeństwo państwa-hegemonu zazdrości społeczeństwom krajów uzależnionych i rabowanych.

Za najbardziej uprzywilejowany kraj Bloku Wschodniego uchodziła do niedawna NRD, ale i tam właśnie daje o sobie znać

głębokie załamanie gospodarcze. Nie należy mieć złudzeń, że komunizm upadnie, bo jest gospodarczo mało efektywny i nieracjonalny. Partie komunistyczne w krajach przez siebie rządzonych są nadal jeszcze w stanie zdławić ewentualny bunt i zmuszać narody do ponoszenia konsekwencji nieracjonalnej gospodarki. Tak jest z pewnością jeszcze dziś i tak będzie, być może, jeszcze dość długo. Ale stały kryzys gospodarczy i rosnące dysproporcje w krajach Bloku Wschodniego powodują, że dystans między ich rozwojem a wzrostem najbardziej rozwiniętych gospodarczo państw zachodnich ciągle się powiększa. Rosjanie dbają, żeby w jednej dziedzinie dystans ten nie był drastyczny. Naturalnie w przemyśle zbrojeniowym. Poza tym starają się w tej dziedzinie równoważyć swoją mniej zaawansowaną technologię przewagą ilościową. Trzeba przyznać, że kierownictwo sowieckie osiągnęło sytuację, w której nikomu nie opłaci się wojna z ZSSR. Jak, tym razem prawdziwie, piszą propagandyści komunistyczni — na wypadek wojny atomowej — niezależnie od jej wyniku politycznego — o ile o takim właściwie mogłaby być mowa, każdy człowiek na kuli ziemskiej mógłby zostać zabity piętnaście razy. Wpływ kompleksu wojskowego w Rosji jest olbrzymi i nie należy zapominać, że kierują nim ludzie być może mniej doktrynalni, ale nastawieni nie mniej imperialnie niż obecne kierownictwo partii. Wystarczy przypomnieć wielką manifestację na zebraniu elity wojskowej ZSSR w chwili gdy w czasie referatu padło nazwisko Stalina. Nie podzielałam przekonania wielu politologów zachodnich, którzy sądzą, że wzrost wpływów kompleksu wojskowego po odejściu Breżniewa przyniosłby pozytywne zmiany w postaci pragmatyzacji systemu. Obserwujemy to właśnie w Chinach. Tam panujący system przechodzi także ewolucję pragmatyczną, ale nie przestaje być imperialny. To samo byłoby z Sowietami. Jeśli zdołają utrzymać względną równowagę zbrojeniową z Zachodem, pozwalającą im szantażować świat ewentualnością jego zniszczenia, to nigdy nie zrezygnują ze swych aspiracji imperialnych. Tylko bowiem ciągle próby ekspansji zewnętrznej i przede wszystkim utrzymywanie całego obecnego stanu posiadania pozwala każdemu kierownictwu sowieckiemu uzasadniać złą sytuację wewnętrzną, absolutną dyktaturę i utrzymywanie społeczeństw w niewoli i ubóstwie.

Jak wspominałem, ekspansjonizm Sowietów wywołał częściowo „przebudzenie” się Zachodu, przede wszystkim Stanów Zjednoczonych. Najbardziej zwasalizowany przez Rosję kraj z grona „wielkich” Zachodu — Francja — nie tyle się przebudziła lub zbuntowała, ile ze względu na szanse gospodarcze zwróciła swą uwagę w stronę Chin. Ogólnie biorąc ma to jednak negatywny wpływ dla ZSSR. Natomiast zdumiewająca jest uległość, jeśli nie służalczość, wobec Rosji rządu RFN. Abstrahując od niejśnej afery z neutralizacyjnymi planami Egon Baha, socjaldemokraci niemieccy zdają się żywić zbytnie złudzenia co do ustępliwości Rosjan w Europie w wyniku ich zagrożenia przez Chiny. W Moskwie rozumie się zupełnie inaczej, a klasycznym

tego przykładem była sprawa wspomnianych już Wysp Kurylskich. Rosjanie uważają, że jeśli oddadzą cokolwiek z tego, co zagrabil, to powstanie uzasadnienie do kolejnych żądań pod ich adresem i będą musieli oddać wszystko. Jeśli nie oddali Wysp Kurylskich, to jest oczywiste, że nie oddadzą dobrowolnie NRD. Oznaczałoby to bowiem niepodległość Polski, krajów bałtyckich i być może całej Europy Środkowo-Wschodniej. Żeby zaś mogły nastąpić tak daleko idące zmiany polityczne musiałyby najpierw gruntownie zmienić się układ sił na świecie na niekorzyść Rosji. Osobiście jestem przekonany, że zmienia się on na jej niekorzyść, ale przez wzrost sił przeciwników Rosji, a nie przez politykę uśmiechów do niej ze strony krajów zachodnich. Im Zachód będzie twardszy, tym szybciej Rosja będzie zmuszona do koncesji. Im Zachód bardziej będzie przymilny i pojednawczy, tym mniejsze będą szanse na ustępstwa Sowietów.

Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że mimo naiwnych złudzeń na Zachodzie i jego polityki uśmiechów wobec zimnych i brutalnych graczy z Kremla, czas gra na niekorzyść Sowietów. Ich sfera wpływów będzie z każdym rokiem stawała się coraz bardziej terenem niżu cywilizacyjnego. Rosjanie dostali się bowiem w potrzask stworzonego przez siebie systemu. Gdyby przeprowadzili reformy racjonalizujące gospodarkę klasa rządząca w Sowietach musiałaby się co najmniej podzielić władzą z ludźmi kompetentnymi, a być może z czasem władzę w ogóle by utraciła. Jeśli zaś nie zostaną przeprowadzone daleko idące reformy gospodarcze, to imperium sowieckie będzie przez rozwijający się Zachód i Wschód „degradowane”. Tak czy inaczej koniec będzie smutny. W wypadku przeprowadzenia reform następowałaby jednak jakaś naturalna ewolucja systemu i być może obesłoby się bez dramatycznych wstrząsów. W drugim wypadku „degradowana” nawet stopniowo i bardzo ostrożnie Rosja sowiecka może stać się terenem ostrych konfrontacji wewnętrznych, a także szarpana rozpaczliwymi próbami zachowania twarzy może — mniej lub bardziej nieświadomie — wywołać konflikt światowy. „Degradacja” Sowietów bez wielkich wstrząsów wewnętrznych i międzynarodowych byłaby wielkim szczęśliwym losem, wygranym przez ludzkość na loterii historii. Dlatego właśnie, choć patrzę z uniarkowanym optymizmem i wierzę w nieuchronność upadku imperium sowieckiego, podobnie jak upadły wszystkie inne imperia w dziejach świata, to jednak dramatyczny kontekst historyczny owego, nieuchronnego upadku wydaje się przemawiać za filozofią pesymizmu. Zabawne jest, że Chiny są jedynym krajem świata obwieszającym filozofię pesymizmu i „radosną” dla nich tezę, że wojna jest nieunikniona. Najbardziej nawet pacyfistycznie i humanistycznie nastawieni Europejczycy muszą przyznać, że niestety jest ona wielce prawdopodobna. Żadne imperium w dziejach świata nie upadło bez wstrząsów. Upadek imperium sowieckiego bez wojny jest możliwy, ale wymagałby nadzwyczaj długofalowej, racjonalnej i skoordynowanej polityki ze strony zróżnicowanych sił w świecie, które są zainteresowane „degrada-

cją" Rosji sowieckiej. O taką politykę jest bardzo trudno. A poza tym cała rzecz musiałaby być rozciągnięta na bardzo długi okres czasu. Dlatego nawet wiedząc czym się to wszystko skończy i widząc dziś z całą wyrazistością wewnętrzne i międzynarodowe przesłanki upadku imperium sowieckiego, mamy małe nadzieje, że cała rzecz dokona się na naszych oczach. Taka jest moja optymistyczno-pesymistyczna wizja tego, co jest nieuchronne, ale co oscyluje między katastrofą a ingerencją przysłowiowego palca Opatrzności, lub, jak kto woli, szczęśliwego przypadku.

Jest naturalnie jeszcze jedna przesłanka omawianej sytuacji w postaci fluktuacji społecznych w krajach Bloku Wschodniego. Na Zachodzie jednym z modniejszych pojęć stało się słowo dysydenci. Należy sobie jednak uświadomić, że dysydenci w dynamizowaniu wewnętrznej sytuacji w ZSSR nie odgrywają kluczowej roli. Jest o nich co prawda najgłośniej, bo ich prześladowanie w Rosji wiąże się z represjami wobec mniejszości żydowskiej, stanowiącej w Sowietach problem i mającej silne oparcie na Zachodzie, a szczególnie w USA. Procesy wewnętrznej dezintegracji w Rosji nasilają się jednak głównie nie w wyniku działań dysydentów, ale aspiracji narodowych ludów nierosyjskich w imperium. Na drugim miejscu postawiłbym antykomunistyczną rolę budzącego się silnego neonacjonalizmu w samej Rosji, związanego z renesansem prawosławia i licznych sekt i ruchów religijnych. Potem dopiero można mówić o roli dysydentów, która jednak propagandowo ma na Zachodzie znaczenie najważniejsze. Ruchy odśrodkowe o rodowodzie narodowym w ZSSR staną się w najbliższym dziesięcioleciu głównym problemem wewnątrz-politycznym. Sowiety nie mogą bowiem wobec nich zastosować metod stalinowskich, najskuteczniejszego zazwyczaj terroru, bo konieczność gospodarczej kooperacji z Zachodem każe im mimo wszystko nakładać maskę umiarkowania i stwarzać pozory kraju jako tako cywilizowanego. Zachód zresztą jest bardzo gorliwy w wierze w tego rodzaju pozory. Sprawy narodowościowe w Rosji tak jednak nabrzmiewają, że pozorami załatwić ich nie będzie można. Jest to z całą pewnością jedna z ważniejszych przesłanek przewidywania nieuchronnego załamania się imperium. Ale kwestie narodowościowe zawierają zazwyczaj olbrzymi ładunek emocjonalny i rzadko dają się rozwiązywać bez poważnych wstrząsów. Z której strony więc nie podeszlibyśmy do problemów imperium sowieckiego za każdym razem optymistyczne możliwości i prognozy napotykać na niebezpieczeństwa niemal apokaliptyczne. Doświadczenie uczy, że gdy w Rosji załamuje się układ wewnętrzny, dochodzi do napięć w gruncie rzeczy o nieobliczalnych konsekwencjach. O wszystkim tym wiedzą rządy i wywiady zachodnie i z tego powodu uprawiają swoją strusią *Realpolitik*, umizgując się do rosyjskiego niedźwiedzia. Zapominają tylko, że biegu rzeki odwrócić się nie da, a kolonializm likwidowany skutecznie w Trzecim Świecie, nie może w nieskończoność triumfować w części Europy i w ZSSR.

Wewnętrzna opozycja w Polsce jest zupełnie inna niż w ZSSR.

Jej główna siła — kościół katolicki — reprezentuje nacjonalizm bardzo wysublimowany, w znacznej mierze oświecony i w chwili obecnej bardzo humanistyczny. W końcu w praktyce Kościół broni obecnie praw całej pozostałej opozycji. Sytuacji tej nie można w ogóle porównać z nacjonalizmem rosyjskim, mowa naturalnie o tym, który reprezentuje prawosławna-staroruska opozycja, a który jest, jak się zdaje, dość agresywny i niezyczliwy zarówno w stosunku do mniejszości w samym ZSSR, jak i do narodów od niego uzależnionych. Żeby uniknąć nieporozumień należy podkreślić, że mówimy tu przede wszystkim o tendencjach nacjonalistycznych w Rosji jeszcze nieskrystalizowanych i niezorganizowanych, ale zdających się być tam bardzo silnym nurtem wewnętrznym i głównym przeciwnikiem wewnętrznym komunizmu.

Wracając do sytuacji polskiej należy obecnie zwrócić uwagę na dalekosiężne skutki wyboru papieżem kardynała Wojtyły. Komuniści dobrze je pojęli, a ich konfuzja i pełna sprzeczności linia wobec tego wydarzenia stanowi jeden z najbardziej tragikomicznych spektakli w dziejach PRL. Osobiście zgadzam się z najgłępszą interpretacją wyboru kardynała Wojtyły, zaprezentowaną przez Horodyńskiego, Winiewicza, Rakowskiego i im podobnych. Oczywiście zgadzam się z nią *à rebours*. Interpretacja ta głosiła, że Wojtyłę wybrano, bo Polska Ludowa ma silną pozycję w świecie. Rzeczywiście zaś wybrano go dlatego, że Kościół polski oparł się uciskowi komunistycznemu, dowiódł wobec całego świata, że mimo prześladowań można zachować związek z kościołem powszechnym i kulturą zachodnią i do tego wydać tak wielkie indywidualności, jak kardynał Wyszyński i przecież bardzo różny od niego kardynał Wojtyła — obecny Jan Paweł II. Dla nikogo nie ulega wątpliwości, że ostatnim wyborem papieża komuniści zostali rzućni na kolana i prawdy tej nie ukryją żadne ich błazeńskie grymasy. Ważne jest jednak nie tylko aktualne znaczenie tego wydarzenia, ale jego dynamizująca rola na przyszłość, której nie można wprost przecenić. Polski papież ożywi nie tylko katolicyzm w całym Bloku Wschodnim, ale także inne wyznania i problem religijny w samej Rosji. A Jan Paweł II dał wyraźnie do zrozumienia, że ta sprawa także żywo go obchodzi i to w całkiem innym sensie niż obchodziła Casaroliego i całą dotychczasową politykę wschodnią Watykanu. Polityka Jana Pawła II nie będzie awanturnicza i nie będzie robić niczego, co utrudniałoby sytuację kościołów w krajach Bloku Wschodniego. Ale nie będzie to polityka trwożliwego kłaniania się despotom, od których nie można niczego uzyskać. Papież ich zna. Kilka ostatnich lat komuniści poświęcili, żeby go sobie zrazić. Ich bezmyślny prowincjonalizm i zupełny brak znajomości prawdziwych procesów w Kościele kazał im kokietować Watykan i próbować skłócić kardynałów Wyszyńskiego i Wojtyłę. Skończyło się to dla partii i bloku żenującą przegraną. Poza tym nie wiadomo teraz kogo z kim skłócić w Kościele, a to są wymiary w jakich obraca się polityka wyznaniowa w krajach bloku sowieckiego. Jej dalsze



uprawianie w czasie pontyfikatu papieża o takiej osobowości i tak zainteresowanego sprawami Wschodu bardzo silnie przyczyni się do wzrostu znaczenia kościołów i religii wewnątrz obozu komunistycznego. Wydaje się to jednym z najbardziej optymistycznych zjawisk w ciągu naszej smutnej historii powojennej. Przeżyliśmy zupełny nokaut wysiłków sowietyzacji.

Druga część opozycji w Polsce nazywająca się czasem niezbyt szczęśliwie opozycją, czy lewicą laicką, wyszła także ze wspomnianego wydarzenia wzmocniona. Myślę tu przede wszystkim o KSS „KOR” i Studenckich Komitetach Samoobrony, choć te ostatnie mniej zaskakują na miano opozycji laickiej. W istocie chodzi po prostu o pozakościelną opozycję demokratyczną. Kościół ma zadania religijne, a nie polityczne i pewien stan posiadania. Mógłby więc dużo stracić na konfrontacji z władzami komunistycznymi i wejść na teren polityki, czego zarówno kardynał Wyszyński, jak i Wojtyła zawsze się strzegli. Dlatego linia Kościoła jest i będzie dość umiarkowana, choć w czasie pontyfikatu papieża, który prawa człowieka pojmuje bardzo serio, nie będzie to linia bezproblematyczna. Pozakościelny ruch demokratyczny jest o wiele słabszy i ma mniej do stracenia, poza tym ma zadania i charakter zdecydowanie polityczny. Partia zrobi więc wszystko, by ruch ten izolować i prowadzić konfrontację z nim, stwarzając jednocześnie pozory osiągnięcia porozumienia z Kościołem. Taktykę tę stosuje się już od kilku lat i wszystko wskazuje, że będzie ona stosowana nadal. Zresztą nie jest to taktyka nowa. W pierwszych latach PRL, kiedy Rosjanie mieli także dominujący wpływ na nasze życie wewnętrzne, wyraźne były wysiłki, by zwalczeniu Polskiego Stronnictwa Ludowego i opozycji politycznej towarzyszyły pozory harmonii z Kościołem. Nie kto inny, jak pan Jaroszewicz kroczył u boku kardynała Hłonda na procesjach Bożego Ciała. Obecnie powtarza się tę politykę, ale wywołuje to w niektórych kręgach partii protesty dogmatyków. Nie na wiele się one jednak zdadzą. Dążąc do rozprawy z opozycją demokratyczną partia musi neutralizować Kościół. Należy zrobić wszystko, by jej to uniemożliwić. Kościół musi stawać w obronie niesprawiedliwie krzywdzonych działaczy opozycji. Ci zaś powinni być powściągliwi w powoływaniu się na Kościół i na papieża.

W sumie jednak wzrost roli Kościoła i umocnienie się nastrojów opozycyjnych w społeczeństwie stwarza absolutnie negatywne prognozy dla możliwości dalszej sowietyzacji Polski i chyba i innych krajów Bloku Wschodniego. Ta sprawa jest przegrana i im szybciej Rosjanie to zrozumieją, tym dla nich będzie lepiej. *Advocatus diaboli*, czyli pesymizmu podszeptuje jednak, że Rosjanie już to doskonale rozumieją, i dlatego właśnie nie zmniejszą swoich wysiłków w kierunku sowietyzacji. Nie wierzą w ich skuteczność, ale uważają, że jeżeli cokolwiek popuszczą w kierunku liberalizacji, to wszystko im się rozleci i stracą jakąkolwiek kontrolę nad krajami swego imperium.

Rosja sowiecka nie upadnie tylko w wyniku wewnętrznej opozycji w krajach satelickich i w ZSSR. Opozycja stanowi jed-

nak — obok nowych konstelacji międzynarodowych i relatywnego wzrostu zapóźnienia wobec czołówki cywilizacyjnej świata — trzeci czynnik zapowiadający koniec jeszcze jednego systemu gwałtu i ucisku w historii świata.

Do chwili nieznanej jeszcze, ale nieuchronnego terminu „degradacji” lub nawet rozbioru imperium sowieckiego czekają nas jednak nadzwyczaj ciężkie czasy. Jest pewne, że Polska będzie pozostawała przez najbliższe lata w dezorganizacji i impasie gospodarczym, jeśli w ogóle nie dojdzie do jakiegoś drastycznego załamania o nieprzewidzianych konsekwencjach. Jest także pewne, że rządząca ekipa Gierka nie jest w stanie sprostać sytuacji i pozostaje przy władzy siłą inercji. Ani w Warszawie, ani w Moskwie nikt bowiem nie widzi rozwiązań generalnych, ani też ekipy politycznej, zdolnej do wprowadzenia ich w życie. Cały zaś wysiłek obecnego kierownictwa partyjnego polega na tym, aby jakoś ratować pozory stabilizacji i lawirować między presją dogmatycznej opozycji wewnątrz partii, a dążeniami społeczeństwa i wyrażającym je Kościołem i opozycją demokratyczną.

Są dwa sposoby przegrywania. Albo zawiera się rozsądny kompromis, albo gra się do końca fałszywymi, szulerskimi kartami. Niejaki Adolf Hitler udowodnił, że systemy totalne wybierają zazwyczaj tę drugą drogę.

Ryszard JAGŁA

## Z tarczą i na tarczy

Sam jestem zapalonym kibicem — od tego wypada zacząć. Od wczesnej młodości sport fascynował mnie i przyciągał. Mistrzem nie zostałem, bo w uprawianiu sportu sam zapał mistrzowskiej klasy nie przybliży. Zostałem kibicem. Nauczyłem się o sporcie sporo, wykreowałem się na znawcę i krytyka, uprawiałem dziennikarstwo sportowe. Lecz pozostałem zespolony z tłumem, co przecież jest sensem kibicowania. Jestem jednym z tłumu nawet kiedy siedzę sam przed telewizorem. Z wspólnym dreszczem emocji czekam że ktoś, w moim i naszym imieniu, dokona rzeczy wspaniale nieprawdopodobnych.

Znana mi jest intensywność uczuć jakie sport wyzwala. Nie lekceważę ich i drażni mnie kiedy ludzie, którzy na takie uczucia sami nie są podatni, komentują je u innych z niechętną pogardą. Widowisko sportowe jest ludową sztuką naszych czasów. Gwiazdy sportu operują stale na samych granicach swoich, a więc ludzkich możliwości. Najzwinniejsi, najsilniejsi i najbardziej śmiali, wyzwoleni z fizycznej przeciętności, która nas, resztę, bezlitośnie skuwa, na naszych oczach atakują wciąż nowe granice

i pokonują je, w potyczkach z innymi herosami ustanawiają wciąż nowe wzory ludzkiej doskonałości.

Wielkie gwiazdy sportu zasługują na nasz podziw w nie mniejszym stopniu niż gwiazdy sceny lub ekranu. Nie o sam wynik chodzi, choć wymierność wyczynu sportowego jest jego istotną atrakcją. Chodzi o styl w jakim mistrz walczy i wygrywa, o siłę z jaką jego osobowość znajduje swój kształt w fizycznym działaniu, w spazmie wysiłku, w wyzwoleniu energii, w ruchu. Pięściarz Pietrzykowski w momencie natarcia, z czujnego skupienia na tańczących nogach eksplodujący serią piorunujących, a przecięż precyzyjnie kontrolowanych ciosów, Lato z piłką u nogi, pewny swej szybkości, mijający atakującego obrońcę, Szewińska na prostej przed metą, miękka w ruchach, rozluźniona, majestatyczna królowa bieżni — nie mniej pełny, a bardziej bezpośredni dają wyraz swemu osobistemu temperamentowi niż Holoubek na scenie lub Olbrychski na ekranie.

W namiętności kibicowania Polska nie jest może krajem wiodącym, ale i do przeciętniaków też nie należy. Prawie wszyscy mieszkańcy Polski pasjonują się udziałem „naszych” w Olimpiadzie lub w Mistrzostwach Świata Piłki Nożnej. W godzinach transmisji telewizyjnej z takich imprez zwykle życie zamiera w całym kraju. Wybitny warszawski „dysydent” opowiadał mi kiedyś scenę z lata 1974 roku, kiedy w Monachium finały Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej wchodziły w fazę kulminacyjną, a w Warszawie pojawił się właśnie jego daleki amerykański kuzyn — starszy pan z Nowego Jorku — i zapragnął „dysydenta” poznać. Po spotkaniu w hotelu „Forum”, na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich, wyszli na spacer po stolicy. W Monachium rozpoczynał się właśnie mecz Polska-Niemcy, od wyniku którego zależało, czy w ostatnim spotkaniu Polacy grać będą o tytuł Mistrzów Świata, czy o trzecie miejsce. Była już w toku bezpośrednia transmisja telewizyjna i radiowa. Warszawa stała się miastem-widmem. Ruch stanął, tramwaje i autobusy wróciły do zajezdni, sklepy przestały funkcjonować. W biały dzień, w ruchliwym centrum stolicy „dysydent” i starszy pan z Nowego Jorku szli w dół Alei Jerozolimskich środkiem jezdni. Dwadzieścia metrów z tyłu za nimi posuwała się obstawa „dysydenta”: dwaj ubecy, całkiem zdekonspirowani, bo w zasięgu wzroku nie było już więcej nikogo. Obaj trzymali przy uchu podkręcone na dość głośno małe radia tranzystorowe, z zadyszczanym komentarzem ze stadionu w Monachium.

Biedni dwaj ubecy. Przynajmniej się im potwierdziło, że „dysydenci” naprawdę nie są z narodem, nie dzielą jego szczyrych wzruszeń. Bo w kibicowaniu mistrzom sportowego wyczynu z narodem są UB i milicja, elita partyjna, no i ja.

Tylko sport jest w Polsce sprawą tak powszechną, jednoczącą różne warstwy społeczne i środowiska zawodowe, rządzących i rządzonych. W systemie dążącym do społecznej martwoty sport pozostaje wiecznie żywym, bijącym źródłem społecznej dynamiki. Powszechność i żywiołowość zainteresowań, przy życzliwej tolerancji władz, stworzyła tu coś w rodzaju mechanizmów parademokratycznych. W sporcie istnieje w Polsce pewien zakres spraw otwartych, wprawdzie nie poddanych społecznej kontroli, ale publicznych, odwołujących się do opinii zbiorowej. Dostęp do informacji nie jest i nie może być na tym polu prawem kwestionowanym. A w informacji i w publicystyce sportowej z konieczności krzewi się kult faktów. W prasie, tylko w kolumnach działu sportowego fakty wyprzedzają komentarz, deklaracje zamiarów i projekcje na przyszłość pozostają w wymiernym stosunku do rzeczywistości, trenerzy i organizatorzy bywają publicznie rozliczani z efektów swojej pracy. I jeżeli szowinizm kibiców jest — jak się twierdzi — karmiony polityczną frustracją narodu pozbawionego suwerenności, zaciekleść polemik sportowych jest też pewnie po części aktywnością zastępczą, namiastką autentycznego życia publicznego.

Namiętność kibicowania przechodzi w Polsce Ludowej z pokolenia na pokolenie. Opowiadał mi kiedyś Tadeusz Łomnicki — błyskotliwy aktor, a dzisiaj zaprzędany karierowicz polityczny, członek KC — z jaką pasją środowiska twórcze kibicowały wyczynom w okresie stalinowskim. Zdawało się wtedy, że tradycyjne systemy wartości zupełnie rozgromiono, że pozostały już tylko arbitralne, polityczne miary ludzkich dokonań, a na stadionach i w halach sportowych wysiłki i umiejętności mierzono wciąż w centymetrach i ułamkach sekund, sprytniejszy i silniejszy wygrywał, słabszy padał na matę. Nawet sportowych gości z Kraju Rad, gdzie wszystko robiono najlepiej, wolno było bić ile dusza zapragnęła i pozwoliły siły.

W roku 1953 — roku śmierci Stalina — Warszawa była gospodarzem amatorskich Mistrzostw Europy w boksie. Do nie wyzwolonej jeszcze ze stalinowskich strachów stolicy zjechali się dziennikarze, działacze i sportowcy z obu stron „Żelaznej Kurliny”. Polska miała wtedy znakomitych pięściarzy. Warszawskie mistrzostwa miały przypieczętować ich europejską hegemonię, a główną na tej drodze przeszkodą byli pięściarze Związku Sowieckiego. Do finałowych pojedynków o tytuły Mistrzów Europy doszło aż siedmiu reprezentantów Polski (na dziesięć wag) i pięciu bokserów sowieckich. Okrasą warszawskiej imprezy stała się więc seria walk polsko-sowieckich w ostatni wieczór imprezy. Polacy, znakomicie przygotowani i uskrzydleni radosnym dopingiem warszawskiej widowni, jeden po drugim bili swych sowiec-

kich kolegów. W wadze koguciej Zenon Stefaniuk, polski mistrz kontry, pokonał Stiepanowa. W piórkowej, niemal nieznanym przed mistrzostwami, Józef Kruza wygrał z Zasuchinem. Kiedy w półśrodkowej kolejnej Polak, Zygmunt Chychła, zdobył tytuł mistrza Europy pokonując na punkty Szczerbakowa, kierownictwo drużyny polskiej nie wytrzymało nerwowo i wystosowało oficjalny protest przeciwko „niesłusznemu” zwycięstwu własnego zawodnika. Złoty medal Chychły i radość warszawskiej ulicy uratowało międzynarodowe jury *d'appel*, podtrzymując werdykt sędziów.

Czasy i obyczaje cokolwiek się zmieniły, partyjni działacze sportowi wzmocnili swoją odporność nerwową na nie tak znowu częste zwycięstwa polskich zawodników nad reprezentantami Pierwszego Kraju Socjalizmu, ale dla kibiców konfrontacje polsko-sowieckie zachowały całkiem wyjątkowy smak i znaczenie. Kibice w Kraju, chociaż lubią swój zapał podlewać alkoholem, normalnie nie są wcale w obyczajach dzicy. Obce zespoły, a szczególnie sportowych gości z Zachodu, traktują ze znaczną kurtuazją. Okrutni bywają raczej dla swoich, rozczarowują się łatwo, gwizdami reagują na nieporadność własnej drużyny. Ale inny nastrój panuje na widowni w czasie spotkań polsko-sowieckich. Szczególnie w sytuacjach, kiedy Polacy mają szanse na nawiązanie równej walki, tłum demonstruje wrogość dla sowieckich gości, reaguje gwałtownie i niesprawiedliwie, nieraz wprost groźnie.

Frustracje patriotyczne podlewane wódką eksplodują łatwo, a ćwiartka wódki z ogórkiem kiszonym na zagrychę stanowi pod ręczny sprzęt kibica ze sfer robotniczych. Wprawdzie milicja przy wejściu ma teraz nakaz zabierania butelek, ale zadanie jest ponad jej siły. Towarzysząca kibic-dziewczyna z pojemną torebką damską to jeden ze sposobów przemycenia strawy. A za bramą, w gęstym polskim tłumie, panuje już przyjaźń i swoboda.

Świadek, rzekomo naoczny, opowiadał mi taką „prawdziwą” anegdotę: rzecz działa się w krytej hali, na międzynarodowym, polsko-sowieckim meczu w siatkówkę. Tłum zagrzewał swoich, a gościom wymyślał soczystą polszczyznę podrasowaną paru zawodnikami ruskimi. Nagle, w przerwie przed zagrywką, w jednym z dalszych rzędów widowni kibic, który dojrzał już do czynu, cisnął opróżnioną butelkę na boisko, w kierunku sowieckich zawodników. Ale rękę i oko nie bardzo miał pewne. Pocisk mu się wymknął, poszybował w bliższe rzędy tłumu, i spadł na głowę innego kibica. Ten się zerwał, krwią brocząc i pchał się w tłum ku winnemu, dochodzić pięściami swojej krzywdy. A koledzy wokół trzymali go i uspakajali: — „Daj mu spokój” — mówili. — „Głupi przypadek. Przecież chciał dobrze!”

Anegdota brzmi prawdziwie. Puste butelki to najgroźniejsza

broń kibica, a strofowanie widzów przez głośnik, nawoływanie do „kulturalnego zachowywania się” w niektórych sytuacjach odnosi efekt wprost odwrotny. W maju 1975 roku byłem w Warszawie kiedy rozgrywał się doroczny kolarski „Wyścig Pokoju” na trasie „bratnich” stolic — Berlin, Praga, Warszawa. Ta gigantyczna, dwa tygodnie trwająca impreza, organizowana przez trzy partyjne dzienniki — *Trybunę Ludu*, *Neues Deutschland* i *Rude Pravo*, uchodzi za najważniejszy wyścig szosowy w kalendarzu amatorskiego kolarstwa. Na starcie staje zwykle ponad stu kolarzy, reprezentujących kilkanaście krajów. Miliony Polaków śledzą losy swojej szóstki, a zapał kibiców sięga szczytu kiedy wyścig przejeżdża przez trasy polskie. Owego maja asem polskiego zespołu był znowu Ryszard Szurkowski, poprzednio już dwukrotny zwycięzca indywidualny w „Wyścigu Pokoju”, usiłujący trzecim zwycięstwem ustanowić absolutny rekord imprezy. Wyścig 1975 roku startował w Berlinie i osiągnąć miał metę na stadionie Dziesięciolecia w Warszawie. Na ziemi polskiej Szurkowski wjechał już w żółtej koszulce lidera, a w klasyfikacji drużynowej prowadził zespół sowiecki. Każde miasteczko i każda wieś na trasie wznosiły bramy triumfalne, szły transparenty i zamiatały bruki w oczekiwaniu na ten jeden moment kiedy stu kolarzy przemknęli ulicami. Na szosach wiejskich stał nieprzerwany szpaler kibiców, by raz wrzasnąć na cześć Szurkowskiego i raz gwizdnąć na kolarzy sowieckich. Dzień po dniu Szurkowski, przy pomocy kolegów, odpierał ataki silnych zawodników sowieckich i zbliżał się do Warszawy umocniony w pozycji faworyta. Na ostatnim etapie, z metą na stadionie Dziesięciolecia, tylko katastrofa mogła odebrać Szurkowskiemu zwycięstwo. Chodziło już tylko o to, by wygrał z fasonem. W klasyfikacji drużynowej murowanym faworytem pozostał zespół sowiecki.

Sto tysięcy miejsc na stadion Dziesięciolecia rozsprzedano na długo przed finałem Wyścigu. W łoży siadły najwyższe władze partyjne i rządowe. Ja zająłem miejsce w stojącym tłumie przed stadionem i przepchałem się do krawężnika jezdni. Ze wszystkich stron dochodził komentarz z trasy, zwielokrotniony setkami i tysiącami odbiorników tranzystorowych. Wiedzieliśmy — wraz z całą Warszawą i z całą Polską — że Szurkowski wciąż jechał w czołówce peletonu. Potem z dała, z kierunku wyścigu, podniósł się krzyk tłumu i trwał, rósł, potężniał, sunął ku nam. Wreszcie ich zobaczyliśmy: trzech kolarzy sowieckich w czerwonych koszulkach, a obok nich, z lewej strony, w pozycji dogodnej do ataku, żółty Szurkowski. Przemknęli przed nami, wraz z krzykiem co przeleciał i przez nasze gardła, i zniknęli w wirażu, w drodze do tunelu prowadzącego na płytę stadionu. Tuż za nimi pognęła główna grupa Wyścigu.

Czekaliśmy teraz aż odchodzący krzyk przeobrazi się na stadionie w stutysięczny ryk triumfu. Nie mieliśmy wątpliwości, że na mecie pierwszy będzie Szurkowski. Przecież czał się do decydującego ataku, chciał zakończyć wyścig brawurowo, nie poprzestać na ogólnym zwycięstwie, które miał już w kieszeni. Aż tu nagle ze stadionu wystrzela dźwięk inny: świst wielki, przeraźliwy. Czyli, że coś nie wyszło, i etap wygrał Rosjanin.

Wylazłem z tłumu, wskoczyłem do tramwaju i pojechałem do SPATIF'u. Bywalcy — kibice jeden — siedzieli przy stolikach czy wlepiając w telewizor. Koncert gwizdów na stadionie rozlegał się tutaj z ekranu. Szurkowski, jak się okazało, przewrócił się w tunelu, a raczej, twierdzili wszyscy, został przewrócony przez sowieckich rywali w jedynym momencie kiedy nie widziały ich kamery. Podniósł się, dosiadł roweru i przyjechał na metę jako jeden z ostatnich, wygrywając wciąż wyścig, dzięki przewadze wywalczonej na wcześniejszych etapach. A teraz odbywała się przedziwna, żywa transmisja z uroczystości zakończenia Wyścigu.

Wywiad przed kamerą ze Stanisławem Szozdą, kolarzem z drużyny polskiej, został przerwany w pół zdania kiedy Szozda zaczął coś mówić o upadku Szurkowskiego. Na stadionie gwizdy przeszły w owacje kiedy Szurkowski przyjmował szarfy zwycięzcy, po czym wróciły gwizdy, jeszcze bardziej przeraźliwe, w czasie dekoracji drużyny sowieckiej. Organizatorzy imprezy widąc uznali, że popularność zwycięzcy jest ich jedynym atutem w próbach uspokojenia tłumu, wpuszczali więc Szurkowskiego pomiędzy zawodników sowieckich, by ścisnął im dłonie, przyjmował gratulacje i im gratulował zespołowego zwycięstwa. Gwizdy mieszały się z wiwatami. Gwizdy ucichły a owacje spotężniały kiedy Szurkowski wykonał na swym rowerze samotne triumfalne okrażenie. Przyszła kolej na triumfalny przejazd zespołu sowieckiego i na nowy wybuch obelżywych gwizdów. Szurkowski dogonił zawodników sowieckich, wjechał pomiędzy nich, rozbił reakcję tłumu.

Speszony komentator telewizji dobudowywał jeszcze jedno piętro absurdu do wystarczająco już absurdalnej sytuacji. Najpierw wprost ignorował ogłuszające salwy gwizdów, wykrzykując kiedy ukazywał się Szurkowski i ludzie przechodzili do wiwatów: — „A teraz, proszę państwa, stadion wita zwycięstwo zespołu sowieckiego”. Potem udawał, że ludzie wygwizdują zawodników polskich, że niby, z wyjątkiem Szurkowskiego, kiepsko pojechali na ostatnim etapie. I strofował widownię, że tak nieładnie, że gwizdać nie należy, bo niesportowo.

Wrócił w parę godzin później, z łatwym już zadaniem, w wie-

czornym reportażu z taśmy. Dźwięk ze stadionu był już wtedy zdjęty, a na jego miejsce podłożono wiedeńskie walce Straussa. Uroczystość zakończenia Wyścigu Pokoju szła jako radosne, socrealistyczne święto.

Opowiadam tak obszernie o tym dosyć średnim w gatunkach emocji dniu kibica, bo obrazuje on miejsce jakie sport zajmuje w stosunkach pomiędzy władzą i ludem. Tak się złożyło, że w dzień po zakończeniu Wyścigu znalazłem się w towarzystwie warszawskich dziennikarzy. Rozmowa zesłała na temat zagadkowego upadku Szurkowskiego i gwałtownych reakcji tłumu. Usłyszałem znowu, że cokolwiek się w tunelu wydarzyło, wypada się wstydzić za tłum polskich kibiców, że tak źle wychowani, tacy niesportowi, szowinistyczni i w ogóle ciemni. Na temat sposobu prowadzenia transmisji i walców Straussa w wieczornym reportażu nie udało mi się nawiązać rozmowy.

Proponuję, dla równowagi, wstydzić się dziennikarzy, wstydzić się walców Straussa. Proponuję być jednym z tłumu raczej niż występować w tej orkiestrze. Widowisko sportowe ma dać kibicom zastępcze ujście uczuciom, które w codziennym osobistym i społecznym życiu ujścia znaleźć nie mogą. Kibicując, prostujemy się, tracimy garby, zmywamy poniżenia, młodzi, zwinni i silni nie boimy się nikogo. Ruskim się nie damy. Kibicowanie równowazy ludziom kłeskę bycia Polakiem. Znakomity to wentyl z punktu widzenia rządzących, łagodzący napięcia społeczne. Sukcesy sportowe sowicie się władzom opłacają. Ale w społeczeństwie tak głęboko jak polskie niepokodzonym ze swym losem, przy piramidzie władzy w takim stopniu, jak w Polsce, cementowanej kłamstwem, emocje kibiców też się stają dwuznaczne. Czasem w dreszczach, które biegną przez tłumne stadiony, jest groźba wstrząsów głębszych i bardziej niebezpiecznych. Czasem gwizdy kibiców są żądaniem wolności.

Władza sport popiera. Wysoki wyczyn przynosi dodatkowe korzyści w postaci prestiżu za granicą i ułatwionych kontaktów z Polonią. I efekty osiągnąć tu można stosunkowo niewielkim nakładem środków. Tak przynajmniej było kiedyś, kilka, czy kilkanaście lat temu. System centralnie pobieranych decyzji pozwalał w sporcie przesunąć środki tam, gdzie sukcesy zdawały się łatwo osiągalne, gdzie istniała grupa obiecujących zawodników, zdolnych trenerów i baza już gotowa lub możliwa do rozbudowania. Talent i przebojowość młodych polskich wyczynowców zapewniały tym inwestycjom skuteczność. System centralnego szkolenia dał Polsce międzynarodowe sukcesy sportowe lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Tylko że świat sportu bardziej był wtedy dla podbojów

otwarty. Na Zachodzie ideał sportowca-amatora uprawiającego sport na koszt własny, ukształtowany przed wojną przez zamożnych dyletantów, tracił grunt powoli. Na Wschodzie Sowiety, które dopiero na początku lat pięćdziesiątych dołączyły do ruchu olimpijskiego, stopniowo nadrabiały handicap późnego startu. Nowoczesna fabryka mistrzów, wymyślona i skonstruowana w komunistycznych Wschodnich Niemczech znajdowała się dopiero w stadium rozruchu. Nowe schematy organizacyjne, koncentrujące szczupłe zasoby na wybranych odcinkach pracy, dla osiągnięcia z góry zakreślonych celów, szybko wprowadziły Polaków do czołówki światowej w dyscyplinach sportu takich jak lekka atletyka, boks, szermierka lub dzwiganie ciężarów.

Teraz jest trudniej. Z każdym rokiem rywalizacja światowych potęg sportowych staje się coraz intensywniejsza, coraz bardziej drapieżna. Moloch sowiecki i na tym polu nabrał już rozpędu, a w Niemczech Wschodnich taśmowa, zdawałoby się, zautomatyzowana produkcja sportowych nad-ludzi funkcjonuje bardziej precyzyjnie niż produkcja maszyn. Na Zachodzie podporządkowanie widowisk sportowych telewizji przyspieszyło śmierć starego modelu sportowca-amatora, co to głosił że sport jest zabawą, i że rycerska postawa w koleżeńskich walce ważniejsza jest od wyniku. Dzisiaj wszyscy chcą zwyciężyć, za każdą niemal cenę.

Utrzymanie tych samych pozycji w światowej czołówce wymaga więc znacznie zwiększonych i stale zwiększanych inwestycji, coraz to sprawniejszej organizacji, rozbudowywanego aparatu ludzkiego z rosnącą armią kompetentnych trenerów — nie mówiąc o stałym dopływie utalentowanej sportowo młodzieży. W Polsce, mimo życzliwego stosunku władz do sportowych potrzeb — szczególnie teraz, kiedy rządzą Ślązacy — zasoby pieniężne na ten cel nie są wcale bezdenne, a mechanizmy podejmowania decyzji i drogi ich realizowania znacznie bardziej są skomplikowane i w znacznie większym stopniu rządzone przypadkiem niż by to wynikało ze struktury władzy w panującym systemie.

Natrętnym, stale powracającym problemem jest szukanie dynamicznej relacji pomiędzy postulowaną masowością sportu, a wysokim wyczynem. Mistrzowie szybko się starzeją, a wyłowienie i wychowanie następców to operacja coraz trudniejsza. Według głoszonych teorii jest to jeden ciągły, harmonijny proces: wspinał się osiągnięcia mistrzów pobudzają masy młodzieży do uprawiania sportu, a najbardziej utalentowani i najpracowitsi z tych młodych szybko awansują na nowych mistrzów. W praktyce ten dynamiczny rzekomo system kiepsko funkcjonuje, ciągłość się rwie, interesy wysokiego wyczynu i szerokiej bazy często stają

się sprzeczne, działając jak odpychające się, przeciwstawne bieguny.

Po pierwszych głośnych międzynarodowych sukcesach Polaków popularnym hasłem sportowym w Kraju stała się decentralizacja. Zamiast szkolenia wąskiej czołówki w paru centralnych, dobrze wyposażonych ośrodkach, na następnym etapie planowano zbudowanie wielu ośrodków regionalnych, i objęcie szkoleniem znacznie szerszej grupy młodzieży. Miała powstać w Polsce potężna piramida sportu, w której szczyt wyczynu wyrastałby z mocnych i szerokich podstaw. Okazało się szybko, że takie rozrzedzenie materialnych i ludzkich zasobów, dotkliwie obniża efektywność szkolenia czołówki. Groziła utrata świeżo zdobytej pozycji wśród sportowych potęg zanim przyjdą owoce decentralizacji. A cokolwiek mówi na ten temat propaganda, prawdziwą polityczną miarą osiągnięć polskiego sportu jest międzynarodowy prestiż jaki przynoszą zdobyte medale.

Wrócono więc, z panicznym pośpiechem, do modelu szkolenia centralnego. Od tego czasu wiele było zamierzonych i częściowo realizowanych reform, ale też i wiele nagłych odwrótów, łatania dziur, przesuwania środków tam gdzie były warunki do osiągnięcia szybkich sukcesów. W olimpijskich dyscyplinach sportu istnieje niby czteroletni rytm pracy, od Olimpiady do Olimpiady. Nabór młodych do sportu ma się odbywać poprzez system „Spartakiady”, igrzysk sportowych rozpoczynanych na poziomie gminy, poprzez województwa, aż do finałów „na szczeblu centralnym”. Czynni zawodnicy awansują poprzez „klasy sportowe” i „kółka olimpijskie”, od jednego do pięciu, przyznawane kandydatom na olimpijczyków. Dopiero w roku olimpijskim system ten zakłada koncentrację wysiłków w ośrodkach centralnych, gdzie wąska czołówka wyczynowców szlifuje formę w oczekiwaniu na najważniejszą próbę czteroletnia. Ale w praktyce szkolenie najlepszych odbywa się osobno, niezależnie od szerokiego ruchu sportowego, a sukcesy są nieraz improwizowane przez ambitnych i utalentowanych trenerów i pracowitych, zdolnych zawodników.

W strukturze rządzenia sportem się zajmuje Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki działający na prawach odrębnego resortu, czyli ministerstwa. GKKFiT ma także w swojej organizacyjnej gestii sportowe kontakty zagraniczne, uzgadnia przyjmowanie i wystosowywanie zaproszeń, załatwia paszporty i wize. Resort współpracuje ściśle z Komitetem Olimpijskim, który otacza ma opieką wyczynowców wszystkich sportów włączonych do programu olimpijskiego. GKKFiT dysponuje funduszami rządowymi, a Komitet Olimpijski zarządza funduszem społecznym, gromadzonym zarówno z ofiarności kibiców w Kraju, jak i w ośrodkach polonijnych na całym świecie. Ale te pieniądze sta-

nowią drobną część środków jakie sport w Polsce pochłania, a GKFFiT z Komitetem Olimpijskim to jedynie czapki na szczytach organizacyjnej struktury zbyt skomplikowanej, niejednolitej i płynnej bym potrafił i chciał szczegółowo ją opisywać.

Mówiąc najogólniej, podstawowym ogniwem organizacyjnym w sporcie pozostaje klub, utrzymywany przez jakieś oficjalne ciało publiczne, jak np. zarząd lokalnego zakładu przemysłowego, instytucję użytku publicznego lub organizację zawodową. Od rodzaju takiego patrona, od jego zasobów i wpływów w ludowym państwie w dużym stopniu zależy potencjał klubu. Zasobny i silny jest na przykład „pion gwardyjski”, czyli milicyjny, utrzymujący kluby takie jak „Gwardia Warszawa” lub „Wisła Kraków”. Mocną bazę i spore wpływy posiada „pion” wojskowy, w którym oparcie znalazła np. „Legia Warszawa” i „Zawisza Bydgoszcz”. Silne są, przede wszystkim w piłkarstwie, kluby śląskie czerpiące z zasobów górnictwa, jak „Górnik Zabrze”, „Ruch Chorzów” lub „Zagłębie Sosnowiec”. Istnieją też pionki słabe i mało ofiarne, których mecenat dla ambitnych klubów może się zdawać złym zrzuceniem losu. Na przykład „Polonia Warszawa”, której z przedwojennej jeszcze tradycji kibicuje warszawska inteligencja i zasiedziałe warszawskie mieszczaństwo, stała się ubogim klubem kolejarzskim i mimo poparcia najlepszych w stolicy, najbardziej oddanych i ofiarnych kibiców, jest żałośnie słaba, w rozgrywkach piłkarskich nie potrafiąc się utrzymać nawet w drugiej lidze.

Jest bowiem osobliwością stosunków społecznych w polskim sporcie, że kluby silne, bogate w sukcesy, nie zawsze są popularne, a niektóre kluby podupadłe, bez wybitnych zawodników i bez szczęścia, w starych ośrodkach miejskich jak Warszawa, Kraków lub Poznań, przyciągają wciąż rzesze emocjonalnych, wiernych kibiców. Kibicują wszystkie stany, ale najbardziej ważką rolę społeczną sport wyczynowy odgrywa na pewno w dużych centrach robotniczych, tradycyjnych i nowych. W wielu zakładach przemysłowych klub jest najsilniejszym czynnikiem scalającym, daje robotnikom intensywne, wspólne przeżycia, grupową tożsamość. Toteż losy klubu, jego osiągnięcia w skali chociażby krajowej, stają się sprawą wysokiej wagi dla instytucji samorządowych w zakładzie, dla jego administracji i dla partyjnych władz rejonu. Wpływowe lokalne osobistości często się stają społecznymi działaczami klubu. Łatwiejsze się dzięki temu staje urządzenie cenego zawodnika w dobrym mieszkaniu, ze stosunkowo wysoką pensją za fikcyjną pracę.

Chęć związania wybitnych zawodników z klubem przez dostarczenie im bodźców materialnych jest wyjątkowo trapiącym problemem sportu wyczynowego. Oficjalnie sport uprawia się w Polsce na zasadach wyłącznie amatorskich. Wszyscy sportowcy

związani są formalnie z jakimś innym zawodem. Ci najlepsi otrzymują pensję oficerów wojska polskiego, urzędników milicji, górników itd., choć zajmują się sportem w pełnym wymiarze godzin pracy zawodowej. Dostają też mieszkanie, dodatek na „dożywianie” kiedy znajdują się w kadrze narodowej, „wyrównanie” za czas spędzony na obozie treningowym, nagrody materialne i bonusy za zwycięstwo, a nieraz i ciche wypłaty „pod ladą”, gotówką z ręki do ręki.

Wcale nie należy się tym gorszyć. Na Zachodzie, obok potężnej, komercyjnej maszyny sportu zawodowego, która z młodych osiłków czyni milionerów, krzewi się dziś otwarcie pseudo-amatorstwo w postaci sportowych stypendiów na uczelnie amerykańskie, pensji za towarzysko-reklamowe funkcje w wytwórniach sprzętu sportowego i hojności indywidualnych, prywatnych mecenasów. W Polsce nie istnieją — poza wszechobecnym Państwem — żadne mechanizmy społeczne które by pomogły uzdolnionej sportowo i ambitnej młodzieży, żadnej sprawdzenia granic fizycznych możliwości na przejście od sportu czysto rekreacyjnego, do wyczynu. Mecenaszem może być tylko ludowe państwo, w jednej ze swych rozlicznych postaci. A jest to niestety mecenasz dwuznaczny, prowadzący grę pozorów, skrywający swe racje, działający w ukryciu. Sprawa płacenia zawodnikom za wyczyn sportowy jest ćwierć-jawna, w pewnym stopniu regulowana centralnie, ale w szczegółach nigdy nie podawana do wiadomości publicznej. Część wynagrodzenia określana jest cichymi umowami, po cichu asygnowanymi przez władze. Reszta się odbywa w tej ciemnej i grząskiej sferze interesów niepewnych, w której mnóstwo Polaków zmuszonych jest załatwiać praktyczne życiowe potrzeby.

Dla najlepszych bonusem dodatkowym są zagraniczne podróże. Za granicą wszyscy reprezentanci Polski handlują, w mniejszym lub większym stopniu. Wywożą z Kraju i sprzedają w hotelach polonijnym kibicom wódkę i spirytus, kryształ, tkaniny ludowe, aparaty fotograficzne. Kiedyś byłem świadkiem, jak reprezentacyjni polscy żużlowcy i ich trenerzy odsprzedawali swym brytyjskim rywalom nawiutkie części zamienne do swych wycieczkowych maszyn produkcji czeskiej. Osobiste diety na zagraniczny wyjazd są zawsze skąpe, chodzi więc o uzyskanie dewiz na zakup towarów poszukiwanych w Kraju. Skłonni do ryzyka przemycają dolary zakupione w Polsce na czarnym rynku. Zdarzyło mi się towarzyszyć w dzień po wygranym międzynarodowym meczu dwu sławnym mistrzom olimpijskim, stawianym przez prasę za wzór polskiej młodzieży, do banku gdzie wpłacali dolary na rachunek emigracyjnej firmy paczkowej, która przesyła paczki-dary na umówione adresy.

Te handlowe operacje mistrzów nie są tajemnicą dla trenerów i działaczy kierujących ekipą. Oni zresztą też załatwiają swoje, podobne, interesy. Ale sytuacja sprzyja szantażystom i donosicielom, ułatwia ucieranie nosa niepokornym. Nagle jakiś mistrz poddany jest rewizji w komorze celnej. Wybuchoł skandal, prasa publicznie go piętnuje, zawiesza się go na czas jakiś w prawach zawodnika, odsuwa od zaszczytu reprezentowania barw polskich. Rzadziej sprawa trafia do sądu i zapada wyrok skazujący. W więzieniu siedzieli lekkoatleta Gierajewski — rekordzista Polski w biegu przez niskie płotki, reprezentacyjny bramkarz Grotyński, napastnik Żmijewski. Sportowcy byli też zamieszani w ubecką aferę przemytu złota, której epilog odbył się w tajnym postępowaniu sądowym na początku lat siedemdziesiątych.

Korzyści jakie płyną z tajnych i częściowo jawnych źródeł, plus sportowa sława, dają mistrzom w społeczeństwie polskim uprzywilejowaną pozycję. Ci wspaniali młodzi ludzie, naładowani energią, ambitni, zuchwali, próżni, niebiedni i spragnieni wrażeń, należą do kręgów elity społecznej, gdzie między zamożnymi prywatniaczami a środowiskiem twórczym, z którym też się stykają. Ale im samym ta świetność musi się wydawać chwiejna i dość licha, pochodna od łaski co to na pstrym koniu jeździ. Słońce sławy sportowej grzeje, póki świeci, a zająć może w każdej niemal chwili. Autorytet społeczny najbardziej nawet popularnych mistrzów nie jest trwały.

Nie tak dawno przed swym uwięzieniem podpułkownik Jerzy Pawłowski, największy szablista świata wszystkich czasów, wybrany został w ogólnopolskim głosowaniu kibiców najwybitniejszym mistrzem sportu od zarania Polski Ludowej. Potem parowieśnotę notatki w prasie poinformowały kibiców, że Pawłowski był szpiegiem na rzecz niezidentyfikowanego mocarstwa, za co został zdegradowany i zasądzony, przy drzwiach zamkniętych, na dwadzieścia pięć lat więzienia. Cała Polska zatrzęsła się od plotek, że naprawdę Pawłowski był przywódcą konspiracji wojskowej, i że wraz z nim aresztowano ponad stu jej uczestników. Ale gniew ludu nie wybuchnął, tłum ze stadionów nie wylał się na ulice. Plotka zgasła. Jeden z najpopularniejszych, najbardziej od końca wojny podziwianych Polaków, siedzi w celi całkiem zapomniany, a kibice mają nowych bohaterów.

I cóż się dziwić. Kibice od mistrzów żądają, żeby zwyciężali. Pokonanych znać nie chcą. Bo „tłum to kurwa” — mówią zawodnicy.

I chociaż — powtarzam — jestem kibicem z tłumu, rozumiem tę gorycz.

Bolesław SULIK

## Sprawy i troski

### Studia cudzoziemców we Francji

Francja od wieków była krajem, który był dumny z faktu, że tysiące młodych ludzi z różnych krajów świata stara się studiować na jej uczelniach. Pozwalało to twierdzić, że Paryż jest kulturalną stolicą Europy.

Zmiana sytuacji nastąpiła w ostatnim dwudziestoleciu, kiedy ilość studentów we wszystkich krajach bardzo wzrosła, a zwłaszcza kiedy masowo pojawili się we Francji studenci z „trzeciego świata”, a przede wszystkim z Afryki.

Wywołało to pewne obostrzenia tak na uczelniach, jak i przy udzielaniu prawa pobytu ale zarządzenia te nie były w końcu takie groźne.

Po kryzysie naftowym w roku 1973, który pociągnął za sobą kryzys gospodarczy i jego najbardziej rzucający się w oczy wykładnik — bezrobocie, zarządzenia dotyczące pobytu we Francji stały się coraz bardziej drakońskie: odmawianie przedłużania wiz turystycznych, zaostrzenie kryteriów udzielania prawa azylu dla tych którzy się deklarują jako uchodźcy polityczni itd., itd.

Ostatnią „deską ratunku” dla cudzoziemców, zwłaszcza przyjeżdżających z krajów podsowieckich było zapisywanie się na wyższe uczelnie, jako uzasadnienie prośby o udzielenie prawa pobytu. Od kilku miesięcy i ta droga została odcięta, po — nawiasem mówiąc — wielu nadużyciach ze strony cudzoziemców, którzy poza dniem zapisania się już nigdy nie odwiedzili uczelni, w której mieli studiować.

W końcu maja br. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wydało do prefektur okólnik, w którym drobiazgowo określone są wszystkie możliwe wypadki zapisywania się na studia oraz odbywania stażów zawodowych i prowadzenia prac naukowych.

Ograniczeniami nie są objęci obywatele krajów Wspólnoty Europejskiej (E.W.G.) a niektóre z nich nie stosują się do obywateli państw które z Francją mają umowę o zniesieniu wiz (Andorra, Monako i 14 krajów afrykańskich). Wszyscy inni powinni posiadać *visa de long séjour pour études* (wiza długoterminowa na studia).

Aby taką wizę uzyskać trzeba przedstawić w konsulacie francuskim mieszca zamieszkania: 1. — pozwolenie na zapisanie się na daną uczelnię, wystawioną przez jej dyrektora; 2. — osobiste zobowiązanie się rodziców lub korespondenta (*répondant*) finansowania pobytu studenta na rok, w wysokości przynajmniej równej francuskim stypendiom na wyższych uczelniach. Dla małoletnich (niżej 18 lat) warunki są jeszcze surowsze. Poza tym kandydat na studia musi przejść badanie u lekarza wskazanego przez konsulat francuski.

Dla tych, którzy taką wizę zdobędą uzyskanie karty pobytu we Francji nie przedstawia trudności. Dostają kartę na rok, przy czym w rubryce „zawód” jest wzmianka *en séjour pour études*. Przekształcenie wizy na krótki pobyt dla tych, którzy przyjechali na egzamin wstępny na jakiejś uczelni jest możliwe, o ile przedstawią zaświadczenie o definitywnym przyjęciu na uczelnię. Nawet obywatele krajów gdzie francuska wiza wjazdowa nie obowiązuje, muszą dla otrzymania karty pobytu przedstawić zaświadczenie o przyjęciu na uczelnię oraz gwarancję posiadania środków utrzymania.

Odnawianie karty pobytu na następny rok za każdym razem wymaga świadectwa o zapisaniu na uczelnię i o posiadaniu środków egzystencji. Karta pobytu nie będzie odnowiona studentowi, który nie zdał egzaminów w jednej specjalności i chce rozpocząć studia w innej.

Jeżeli chodzi o szkolnictwo zawodowe wszelkiego rodzaju (na poziomie szkoły średniej) warunki uzyskania karty pobytu są praktycznie takie same jak dla wyższych uczelni z tym, że instrukcja podkreśla, że nie mogą oni (poza studiami) podejmować pracy zawodowej i muszą opuścić Francję zaraz po egzaminach końcowych.

Uczniowie „Alliance Française” podlegają procedurze normalnej jeśli chodzi o wizę i kartę pobytu. Jeżeli kurs „Alliance” jest krótszy niż rok, karta pobytu będzie miała ważność odpowiednio ograniczoną. Dodajmy przy okazji, że „Alliance Française” była od wielu pokoleń instrumentem uprzywilejowanym szerzenia języka i kultury francuskiej za granicą.

Staże zawodowe we Francji dzielą się na trzy kategorie;! do każdej z nich stosuje się inny okólnik Ministerstwa Pracy.

Starzyści pierwszej kategorii (różne zawody), którzy muszą pracować w przedsiębiorstwach francuskich, żeby się dokształcić zawodowo, winni się poddać normalnej procedurze Office National d'Immigration, chyba że są stypendystami rządu francuskiego, instytucji międzynarodowych lub rządów innych państw. Po przyjeździe do Francji muszą przedstawić zaświadczenie, że są stypendystami, potwierdzone przez Ambasadę francuską. Dostają wówczas kartę pobytu ograniczoną terminem stażu i prowizoryczne pozwolenie na pracę.

Naukowcy przyjeżdżający na prace badawcze (*chercheurs*) muszą być przyjęci przez zakłady (*organismes*), które figurują na specjalnej liście. Muszą mieć wizę, a po przyjeździe dostają prawo pobytu na rok lub krócej.

*Aides familiaux*, których okólnik określa jako młodych ludzi przyjeżdżających do Francji dla udoskonalenia znajomości języka i ewentualnie zawodu albo dla rozszerzenia ich *culture générale*, są rządzeni według zasad zawartych w jeszcze innym okólniku. Krótka karta pobytu i natychmiastowy powrót do kraju pochodzenia po zakończeniu stażu. Żony studentów i stażystów muszą uzyskać wizę i wykazać, że posiadają dostateczne środki utrzymania we Francji przez cały czas ich pobytu.

Ta instrukcja będzie kamieniem milowym — ale czarnym — w stosunkach kulturalnych między kulturą francuską, a tymi którzy byliby najbardziej powołani, żeby ją szerzyć za granicą. Nie jest pewne czy jej autorzy zdają sobie z tego sprawę? Jej celem jest oczywiście ochrona francuskiego rynku pracy. Stosuje się ona do sytuacji przejściowej, która może trwać krócej niż streszczone wyżej zarządzenia. Kto na tym straci? Dodajmy, że o ile wymagane „gwarancje bankowe” nie stanowią przeszkód dla Amerykanów, Skandynawów czy Szwajcarów, o tyle dla obywateli krajów Europy Wschodniej (gdzie Francja chciałaby tak bardzo odbudować swoją przedwojenną pozycję) jest to warunek, który tylko nieliczni będą mogli spełnić. A więc i w dziedzinie kultury selekcja według konta bankowego?

Jerzy JANKOWSKI

## Sąsiedzi

### Orwell po niemiecku

To, co Orwell przewidywał w swojej wizji na rok 1984 ziszcilo się naprawdę: w NRD nieustannie zmienia się historię i historię literatury. Ten, kto jeszcze wczoraj był godnym szacunku ideałem, przemienia się z dnia na dzień w łajdaka, zdrajcę, agenta imperializmu, lub też nazwisko jego w ogóle znika. Dla historyków czy historyków literatury jedynym nakazem było wychwalanie bądź wyzywanie sekretarzy rządzącej partii oraz ich pupilków. Istnieje wypróbowany schemat takiej asekuracji: o jakiegokolwiek wydarzenie w sferze polityki, literatury lub kultury chodzi, jakiegokolwiek zasługi ten czy ów poniósł, wymieniać i wychwalać należy zawsze tych tylko, którzy spodobali się rządzącym, czyli konkretnie od maja 1945 roku Ulbrichtowi i przezeń ukształtowanemu aparatowi partyjnemu. I w zasadzie nic się tu od chwili przejścia władzy przez Honeckera nie zmieniło.

W wyliczance osiągnięć i dzieł — przeważnie zresztą mocno wyolbrzymianych — owych ulubieńców, wszystkie osoby nieuprzywilejowane sumuje się pod ogólnym tytułem „i inni”. Istnieje ponadto kilka wariantów pomijania zasług i artystycznego znaczenia niewygodnych pisarzy-emigrantów, np. w książce Klaus Jarmatza „Literatura na wygnaniu” czytamy: „Do współpracowników należeli między innymi...”. Tego typu wyliczanki zaczynają się niemal stu procentowo od nazwiska J.R. Bechera, a kontynuowane są jako wybór dwudziestu lub trzydziestu oddanych partii pisarzy bądź też takich, z których spuścizny korzystać zaczęła partia już po ich śmierci. W „Chronologii”, czyli zakończeniu wspomnianej książki Jarmatza, czytamy: „Latem 1933 roku postępowanie pisarzy niemieckich z inicjatywy Alfreda Kurelli, Rudolfa Leonharda i Anny Seghers założyli w Paryżu nowy SDS (*Schutzverband deutscher Schriftsteller* — Stowarzyszenie Ochrony Pisarzy Niemieckich)”. — „Do jego współpracowników (redagowanego przez J.R. Bechera w Moskwie pisma *Internationale Literatur*)



należą między innymi Becher, Biha, Bredel, Feuchtwanger, Ginkel, Graf, Grünberg, Hans Günther, Hotopp, Huppert, Kirsch, Kläber, Kurella, Henryk i Tomasz Mann, Marchwitza, Renn, Frida Rubiner, Seghers, Turek, Scharrer, Weinert i Weiskopf". — „Ukazują się (w roku 1933) między innymi J.R. Bechera „Deutscher Totentanz"... Liona Feuchtwangera „Rodzeństwo Oppenheim"... Henryka Manna „Nienawiść"... Adama Scharrera „Krety"... A. Seghers „Cena głowy"... „10 maja (1934) założona zostaje z inicjatywy Feuchtwangera, Henryka Manna i Rollanda 'Niemiecka Biblioteka Wolności' w Paryżu". Ponieważ w jednym z późniejszych rozdziałów mowa będzie obszerniej o powstaniu owej biblioteki oraz jej założycielach i sekretarzach honorowych zarówno SDS jak i Biblioteki, nie ma na tym miejscu potrzeby wprowadzania poprawek lub uzupełnień.

Jeszcze kilka dalszych przykładów, nie dobranych dowolnie lecz typowych — co łatwo można zresztą sprawdzić: „W sierpniu (1934) na odbywającym się I-szym Wszechzwiązkowym Kongresie Pisarzy Sowieckich w Moskwie przemawiają jako przedstawiciele pisarzy niemieckich Bredel, Herzfelde, Plivier, Toller, Wolf". — „Od 21 do 25 czerwca (1935) obraduje w Paryżu pierwszy Międzynarodowy Kongres Pisarzy (w Obronie Kultury — A.K.). Z ramienia uczestników niemieckich przemawiają Becher, Brecht, Feuchtwanger, H. Mann, Marchwitza, Seghers, Uhse, Weinert oraz nielegalnie (jako „człowiek w czarnej masce") Jan Petersen". — „Stow. Ochrony Pisarzy Niemieckich wydaje w Paryżu nielegalne pismo pod tytułem 'Niemiecki dla Niemców', zawierające prace Bechera, Balka, Brechta, Bredela, Brucknera, Feuchtwangera, Grafa, Kisch, H. Manna, Marchwitzy, Seghers, Tollera, Uhse, Weinerta, Weiskopfa, Wolfa i innych". — „Od 4 do 17 lipca (1937) odbywa się w Walencji, Madrycie, Barcelonie i Paryżu drugi Kongres Międzynarodowego Stowarzyszenia Pisarzy w Obronie Kultury. Wśród przedstawicieli 28 krajów byli pisarze niemieccy Balk, Brecht, Bredel, Kisch, H. Mann, Marchwitza, Renn, Seghers, Stern, Uhse, Weinert i inni". Ponieważ w dalszym ciągu tej pracy o kongresie tym mowa będzie zaledwie na marginesie, trzeba już zaraz poprawić pewne pomyłki, choć niekoniecznie musiały one być manipulacjami: Brecht ani H. Mann nie brali w owym Kongresie udziału, uczestniczył w nim natomiast na krótko przedtem ciężko ranny komisarz brygady w hiszpańskiej wojnie domowej, Gustaw Regler, który, jeśli w ogóle, wymieniony zostaje tylko jako „zdrajca".

Pod koniec „Chronologii" czytamy: „Natychniast po uwolnieniu spod faszyzmu jako pierwsi powracają do Niemiec J.R. Becher, W. Bredel, E. Claudius, F. Erpenbeck, St. Hermlin, A. Scharrer i Fr. Wolf. W latach 1946-1948 powracają ponadto A. Abusch, B. Brecht, H. Marchwitza, J. Petersen, L. Renn, A. Seghers, B. Uhse, E. Weinert, M. Zimmering i inni". Łatwo tu rozpoznać metodę. Obowiązuje ona wobec wszystkich książek, jakie publikuje się w NRD na temat niemieckiej literatury emigracyjnej, bądź też oporu antyfaszystowskiego. To samo odnosi się także do opra-

cowań z dziedziny historii i historii literatury, wstecz aż po okres sowieckiej rewolucji październikowej z 1917 roku i założenia w Niemczech Związku Spartakusa. Wymownym przykładem tej działalności jest tom pt. „Akcje — Wyznania — Perspektywy", który — jak wiele innych, podobnych prac — rości sobie prawo do „odzwierciedlenia tradycji niemieckiej literatury socjalistycznej". Chcąc dać pojęcie o głębokiej partyjności owego opracowania literackich sporów z okresu republiki weimarskiej wystarczy stwierdzić, że na 675 jej stronach równo 200 zarezerwowanych zostało dla J.R. Bechera, Brecht wymieniony został dwadzieścia razy, E. Bloch dwukrotnie i mimochodem; pewien mówiący po niemiecku węgierski funkcjonariusz Kominternu, Bela Illes, wydęty został na całych 40 stronach do rozmiarów czolowej postaci literatury socjalistycznej lat dwudziestych; natomiast nazwisko istotne dzięki swym wydawnictwom, gazetom, pismom, akcjom i komitetowej działalności wybitnego organizatora i propagatora, Willi Münzenberga który, po odejściu od partii w 1940 roku, w dotąd niewyjaśniony sposób zginął we Francji, przypuszczalnie zamordowany, pojawia się tylko jeden raz w przypuszczalnie zamordowany, pojawia się tylko jeden raz w przypisach. Pewien konformista, który za młodu napisał formalnie mało wartą, treściowo aktualną na owe czasy książkę o walkach robotników w Zagłębiu Ruhry wychwalany jest piętnastokrotnie, podczas gdy tak dla omawianej „proletariacko-rewolucyjnej" literatury — a i poza nią — ważny pisarz jak T. Plivier wymieniony został raz tylko, jako autor „Cesarskiego kulisa".

Cały ów kontredans tym bardziej rzuca się w oczy, im bliższy jest okresu, w którym opisano postawy pisarzy w czasach hitleryzmu. Z nabożeństwem podają nam tu cytaty z zawsze nieskazitelnych pism F.C. Weiskopfa, który wskutek tego obdarzony zostaje prawie o połowę większą dawką wzmianek i własnych tekstów, niż np. A. Seghers, trzykrotnie większą niż A. Zweig, czterekrotnie większą niż K. Tucholsky. Powszechnie z racji światowej sławy i humanistycznych walorów ich pisarstwa znani autorzy-humaniści, jak T. i H. Mann mają swój odpowiednio odmierzony udział, na równi ze St. Zweigiem. Wolno natomiast cytować bez specjalnych zastrzeżeń, a nawet chwalać, pisarzy, którzy nieco później doszli do jakiegoś *modus vivendi* z hitlerowcami, podczas gdy jeden z czołowych teoretyków Związku Pisarzy Proletariacko-Rewolucyjnych, Karl August Wittfogel, który w 1933 roku zginął w obozie koncentracyjnym, z konieczności wymieniony zostaje wprawdzie kilkakrotnie, lecz w końcu zdyskwalifikowany jako „zdrajca klasy robotniczej". Szczegóły trzeba tu pominąć; nader osobliwe oceny znanych utworów pisarzy burżuazyjnych stanowić będą, być może, po pewnym czasie i w NRD źródło rozrywki — lecz jeden przykład podać warto zamiast stu innych: ocenę powieści A. Döblina „Berlin Alexanderplatz" jako „nieudanego eksperymentu". Powodem tej porażki było, jak uzasadniono, „światopoglądowe nastawienie autora, które... uniemożliwiło mu... ukazanie prawdziwego robotnika".

Gdy tego rodzaju oceny literackich pojawiają się w od-

niesieniu do literatury także i innych krajów, kontrola partyjna bacznie czuwa nad tym, kto może tu zostać dopuszczony, bądź nawet wysunięty na czołowe miejsce, a kogo wymieniać nie wolno. Jako typowy przykład wymienić należy wielkie, 800 stron liczące, ozdobnie wydane tomisko, zestawione przez zespół oddanych swej pracy redaktorów, pt. „Literatura i ruch oporu” a przeznaczone dla zainstalowanej w RFN filii „Federacji bojowników ruchu oporu”. Antologia ta ułożona jest alfabetycznie według krajów. Ograniczymy się tu do takich, których literatura znana jest czytelnikom niemieckim. Z Francji spośród 11 wybranych autorów dochodzi do głosu jako przedstawiciel bojowników ruchu oporu Louis Aragon, który wprowadził jest poetą nie tylko partyjnym, czterokrotnie; A. Malraux, który zaiste słowem swym i czynem symbolizował *la Résistance* nie pojawia się wcale, podobnie jak J. Cassou i sporo innych, którzy zasłużyli się podczas wojny i okupacji. Z Hiszpanów poeta R. Alberti, osobiście nader uczciwy człowiek, cytowany jest aż pięciokrotnie, podczas gdy autorów o tak wielkim znaczeniu literackim i kulturalnym jak Miguel de Unamuno lub Salvadore de Madariaga nie wymieniono. Wśród Węgrów spotykamy A. Gabora, nieżyjącego już, nie złośliwego, lecz zawsze z linią partii zgodnego, partyjnego publicystę, nic jednak nie dowiadujemy się o takich pisarzach i bojownikach jak J. Hay, T. Déry lub filozof G. Lukács. Wiersze w imieniu Niemiec — jako jedyny, wielokrotnie cytowany — pisze J. R. Becher, a w charakterze alibi dopuszczono T. Manna, H. Manna, E. Wiecherta i R. Huch. Renn, Seghers i Weinert mogą też jeszcze się pojawić, list pisany z więzienia w Budziszynie przez przywódcę partii E. Thälmana opublikowany został w skróconej formie; B. Brechta i A. Zweiga, Carla v. Osietzky'ego i E. Nikischa, W. Benjamina i E. Mühsama można sobie dopowiedzieć w myślach, co przy dokonywaniu wyboru spośród wielu tysięcy jest rzeczą nieuniknioną, o ile — a z tego założenia wychodziliśmy przy niniejszych rozważaniach — nie stawiano by nieustannie na czele tych samych 20 czy 30 mile widzianych, partyjnych pisarzy, opromienionych ponadto blaskiem dokooptowanych jeszcze nazwisk kilku zmarłych twórców o międzynarodowej sławie.

Ponieważ interesuje nas tu literatura strefy języka niemieckiego, ciekawy okazuje się także wybór austriackiej literatury ruchu oporu. Reprezentowani w nim są parokrotnie z pewnością wybitny poeta Th. Kramer, jak również zasłużeni pisarze S. Zweig i Fr. Werfel, a także poeci E. Fried oraz J. Soyfer, który został „zlikwidowany” w Buchenwaldzie, natomiast S. Zweig i F. Werfel byli wprawdzie emigrantami i ofiarami hitlerowskich prześladowań, lecz nigdy nie rościli pretensji do tytułu bojownika ruchu oporu; E. Fried, który mając lat 17 w momencie aneksji Austrii zbiegł do Anglii, wystąpił z pierwszymi swymi wierszami dopiero w 1940 roku. Dlaczego przemilczany w obu częściach Niemiec, lecz w latach oporu niemal „klasyczny” wiersz literatury podziemnej „Szeptana pieśń” austriackiego poety F. Brugela nie został tu włączony zamiast artykułu pewnego, kilkakrotnie zresztą do-

chodzącego do głosu, orędownika literatury austriackiej, łatwo wyjaśnić, ponieważ Brugel wcześniej zerwał z komunizmem. A czy J. Roth i R. Musil, dwaj pisarze światowej sławy, zostali tylko zapomnieni? Czy poeta E. Alphons Reinhardt, który walczył w ruchu oporu na południu Francji, a skończył w Dachau, stał się z racji swych legitymistycznych przekonań *an unperson* dla historii literatury w NRD? Czyż Z. Freud, którego ledwo się tam wspomina, a i to jedynie negatywnie i krytycznie, nie został także zmuszony do emigracji po zajęciu Austrii?

Pytania te, wbrew pozorom, nie mają charakteru polemicznego, lecz badawczy: Chodzi o to, jak dalece dość nawet liczne publikacje na temat dziejów literatury niemieckiego obszaru językowego, powstałej na emigracji i w ruchu oporu, a także ich prehistoria, uważane być mogą za materiały źródłowe. Wartości odmówić im nie można jedynie do pewnego stopnia, są bowiem przyczynkiem do badań podstawowych, lecz akcenty rozmieszczone zostały w sposób mylący, uzupełnienia zaś potrzebne są w każdym wypadku, nawet jeśli publikacje są szczególnie pieczołowite, jak np. dzieła J. R. Bechera, B. Brechta, F. Wolfa czy H. Manna. Ważne materiały, przede wszystkim listy, lecz także nie dające się żadnymi komentarzami przesłonić fragmenty tekstów zebranych, gdzie oto jakaś *unperson* pochwalnie wymieniona została z nazwiska, lub też jeden z obecnie sprawujących władzę zganiony, pozostają w ukryciu tak długo, dopóki nie zmieni się struktura władzy — jak np. po śmierci Stalina, gdy historię a po części także historię literatury trzeba było napisać na nowo i pośmiertnie „rehabilitować” wiele *unpersons*, wydając nowe nakłady ich książek i ponownie umieszczając ich w historii literatury.

Dowodem na to, że proces taki działać może również i wstecz, są wydarzenia, jakie nastąpiły po stłumieniu powstania na Węgrzech w 1956 i w Czechosłowacji w 1968 roku. Jednocześnie przez Waltera Ulbrichta, gardzącego pisarzami i intelektualistami, ukształtowane kierownictwo SED, czyli cały rząd NRD zawsze bronił się przed tendencjami liberalnymi i to nie tylko w zasięgu własnej władzy, lecz również w sprzymierzonych krajach bloku wschodniego, jak też komunistycznych partii Włoch, Francji i innych krajów zachodnich; podejmowano przeciwne tym tendencjom decyzje i przestrzegano ich bardziej konsekwentnie niż np. na Węgrzech, gdzie w kilka lat po nieudanym powstaniu duchowi jego przywódcy jak Georg Lukács, Tibor Déry i Julius Hay, który później dopiero przeniósł się na stałe do Szwajcarii, mogli nadal pracować bez przeszkód, podczas gdy po dzień dzisiejszy są przez historyków literatury w NRD albo przemilczani, jako odszczępieni, albo też — jak Lukács — nieustannie atakowani.

Przymusowe to zarządzanie dziedziną intelektu przez niekompetentnych ludzi prowadzi do odwrotu, oporu, ucieczki lub, w późniejszym wieku, do uporem wywalzonego prawa do emigracji wybitnych naukowców i pisarzy, których nazwiska eliminuje się zaraz potem ze wszelkich nowych nakładów dzieł o literaturze.

Jeśli można było np. oglądać jeszcze w słowniku pisarzy NRD z 1961 roku fotografie Ernsta Fischera i Petera Huchela, to obecnie ci, wówczas jeszcze liczący się do reprezentantów niemieckiej literatury autorzy, znikli bez śladu; a literatura przedmiotu musi dotrzymać kroku tym poczynaniom i pomijać owe nazwiska, gdziekolwiek by je przedtem pośród wybitnych wymieniała. Ów proces zanikania bynajmniej jeszcze nie ustał. Oczekiwane z nadzieją przez tak wielu odprężenie i pokojowe współistnienie w dziedzinie polityki wywołuje w NRD w sferze intelektu jedynie domaganie się coraz ostrzejszego i mocniej podkreślanego odcinania się: a jest to zjawisko, które musimy przyjąć do wiadomości o tyle, o ile wywiera ono wpływ na badania dotyczące niemieckiej literatury emigracyjnej.

Publiczna manifestacja tej manipulowanej historii literatury odbyła się w dniach od 15 do 18 sierpnia 1972 roku podczas drugiego międzynarodowego sympozjum na temat badania emigracji niemieckiej po 1933 roku w Kopenhadze. Wygłoszone tam przez przedstawicieli NRD referaty i poglądy podczas dyskusji ukazały obecny stan owych badań pod szczególnymi warunkami kontroli partyjnej. Dowód wsteczności dał mimowiednie jeden z delegatów. Na długo już przedtem zapraszano bowiem Annę Seghers na wieczory autorskie. Z uwagi na zły stan zdrowia pisarka odmówiła przyjazdu, czego żałowali prawie wszyscy uczestnicy sympozjum. Innego reprezentacyjnego pisarza generacji, która przebywała na emigracji znaleźć nie było można — lub znaleźć się nie dało. Zamiast niej więc wysłano 76-letniego podówczas byłego wydawcę a późniejszego profesora współczesnej literatury niemieckiej, Wielanda Herzfelde, znanego jako założyciela i kierownika socjalistycznego wydawnictwa Malik w Niemczech, a po 1933 roku zagranicą jako wydawcę czasopisma *Neue Deutsche Blätter* w Pradze (1933-1935). Był on sztandarową postacią dla późniejszego, kształconego już na partyjnych wyższych uczelniach i akademiach narybku. Herzfelde, ponieważ nigdy nie żywił przesadnych ambicji naukowych, sięgnął przy tej okazji po tekst swego inauguracyjnego wykładu z 2 listopada 1949 roku na uniwersytecie w Lipsku. Sumaryczne to i już niemal 23 lata temu wygłoszone streszczenie okazało się znacznie bardziej wydajne niż wykłady dzisiejszych absolwentów szkół partyjnych. W każdym razie w tekście tym, rozdany w Kopenhadze, czyli w wykładzie, który, jak zaznaczono we wstępie, miał miejsce jeszcze przed powstaniem Niemieckiej Republiki Demokratycznej, chwalenie wymieniano nazwiska Ernsta Blocha i Georga Lukácsa, obecnie jedynie znieśławianych przez polityczną awangardę germanistyki czy filozofii.

Pouczające było wystąpienie — jako przywódcy owej ekipy — Klausea Jarmatza z Instytutu Nauk Społecznych, autora wspomianej tu już jako podręcznik książki „Literatura na wygnaniu”, która wówczas uchodziła jeszcze za kanon. Trzeba więc na kilku jeszcze przykładach zademonstrować ową metodę wysuwania na pierwszy plan beniaminków partii, natomiast konsekwentnego

zamieniania w *unpersons* ludzi źle widzianych, lub wspomniania ich jedynie po to, by ich osławić. Ernst Bloch wymieniony zostaje raz tylko jako teoretyk burżuazyjny „który dziś wylądował w obozie zachodnoniemieckich monopolistów i imperialistów”. Jako godne wzgardy wyjątki od reguły bezwzględnie wiernych towarzyszy wymieniono dwóch autorów: jeden to berliński pisarz-robotnik Walter Schönstedt, autor tłumaczonej na rosyjski i angielski powieści „Zastrzelony podczas ucieczki” i aż do 1935 roku współpracownik prasy komunistycznej; zbywa go się uwagą, iż w USA „przejął burżuazyjny tryb życia”. Drugi to Gustav Regler, który osiągnął znaczną sławę zarówno swymi powieściami „Woda, chleb i błękitne fasolki”, „Siew” (powieść z czasów wojen chłopskich) oraz powieścią z Zagłębia Saary „W krzyżowym ogniu”, jak też jako współpracownik „Brązowej Księgi na temat pożaru Reichstagu i terroru hitlerowskiego” oraz komisarz XII Międzynarodowej Brygady w republikańskiej Hiszpanii, zanim, po pakcie Hitlera ze Stalinem, nie zerwał z partią komunistyczną; o nim twierdzi Jarmatz, że będąc internowany we francuskim obozie Le Vernet „zdradzał swych towarzyszy”.

Ale czy dwaj ci emigranci — decyzja Blocha nastąpiła 25 lat później — byli w istocie jedynymi, którzy w mniej lub bardziej spektakularny sposób uwolnili się od dyktatu ówczesnej KPD? W mgnieniu oka przypomnieć sobie możemy z dziesięć, dwanaście, piętnaście godnych szacunku nazwisk pisarzy i uczonych, którzy zerwali już przed 1945 rokiem: niektórzy niepostrzeżenie i z rezerwą; starali się przede wszystkim odzyskać myślową i literacką niezależność. Inni w długo trwającym procesie rozwojowym stali się zaangażowanymi antykomunistami. Istnieją jeszcze i tacy, którzy przez oportunistyczny zmienili front i w publicystyce wykorzystują jedynie swe doświadczenia partyjnych urzędników, lecz nimi zajmować się nie będziemy.

Nie można jednak, pisząc o niemieckiej literaturze emigracyjnej, przemilczeć tak eksponowanego jej przedstawiciela jak Artur Koestler, niezależnie od tego, czy i jak dalece sprzyja się jego zapalczywości. Podobnie nie da się pominąć Manësa Sperbera, który na emigracji napisał swą trzyczęściową powieść „Jako łaża w oceanie” i publikował żywo dyskutowane eseje. Był on do 1937 roku członkiem partii komunistycznej, ściśle związany z niemiecką grupą partyjną w Paryżu.

Innych, na poły lub całkiem już zapomnianych trzeba będzie przedstawić czytelnikom z lat 70-tych w RFN. Wymienić tu warto Bernarda von Brentano, należącego przed 1933 r. do Związku Pisarzy Proletariacko-Rewolucyjnych, współpracownika komunistycznego pisma literackiego *Zakręt* (*Die Kurve*), który odwiedził Związek Sowiecki, reprezentował tożsamość swoich esejów „Kapitalizm a literatura piękna” oraz „Początki barbarzyństwa w Niemczech” tezy skrajnej lewicy w republice weimarskiej i wcześniej, w 1933, emigrował do Szwajcarii. Był on zaprzyjaźniony z B. Brechtem, z którym go często mylono, ponieważ prace swoje niejednokrotnie podpisywał także jako B.B. We wspomnianym

tu już tomie „Akcje - Wyznania - Perspektywy” Brentano wymieniany jest kilkakrotnie jako obrońca Związku Sowieckiego, aprobujący „sztukę proletariacką” i sygnatariusz protestacyjnych rezolucji. Natomiast jego publikacje na emigracji, a pomiędzy nimi znaną w Szwajcarii, a po wojnie także i w Niemczech powieść „Teodor Chindler”, biografia Schlegla, opowiadania i eseje — Jarmatz przemilcza. W NRD krążyła pogłoska, którą Wieland Herzfelde też jeszcze powtórzył w swym referacie w Kopenhadze, że Bernard von Brentano razem z Ernstem Glaeserem wrócił w 1938 roku ze Szwajcarii do hitlerowskich Niemiec. W istocie jednak Brentano pozostał w Szwajcarii do 1949 roku. Ernst Glaeser, autor znanej z końcem lat dwudziestych powieści „Rocznik 1902”, zajmował przed 1933 rokiem postawę równie radykalną co Brentano. W moskiewskim piśmie *Rundschau* opublikował w 1930 roku oświadczenie, że „stoi po stronie rewolucji” i w tym samym roku uczestniczył w konferencji pisarzy rewolucyjnych i proletariackich w Charkowie. Co się jego tyczy, to prawdziwą jest wiadomość, że wrócił w 1938 roku do Niemiec, lecz powodem tej nieprzemyślanej decyzji nie była aprobata narodowego socjalizmu, tylko nostalgia. Później wprawdzie, jako redaktor propagandowego pisma dla *Wehrmacht*'u, musiał Glaeser odpowiednio za ten swój krok zapłacić.

Los Brentano, arystokraty i potomka sławnego rodu, którego ojciec był heskim ministrem sprawiedliwości, a brat za rządów Adenauera ministrem spraw zagranicznych, podzielił na kartach historii literatury NRD również i Kurt Kläber, z zawodu ślusarz, oddany partii pisarz robotniczy, współwydawca *Zakrętu w lewo* (*Linkskurve*), którego wczesne powieści, a przede wszystkim „Pa-sażerowie 3-ciej klasy” również pod względem formy umiały sprostać najwyższym wymaganiom tak, iż chwalił je nawet Tomasz Mann. W *Słowniku Pisarzy Niemieckich*, wydanym w 1961 roku we Weimarze, Kläber figuruje, aczkolwiek opatrzony krytyczną uwagą, że „spontanicznością swoją hamował własny rozwój w kierunku realizmu socjalistycznego”. W „Akcjach - Wyznaniach - Perspektywach” nazwisko jego pojawia się dość często, ponieważ jesienią 1927 roku wspólnie z Johannesem R. Becherem założył Proletariacką Korespondencję Felietonową, składał w owych czasach wszelkie wymagane oświadczenia, listy i podpisy, w 1929 roku odwiedził jako delegat Związku Pisarzy Rewolucyjno-proletariackich Związek Sowiecki i przywiózł stamtąd wytyczne, mające pomóc powstaniu „masowej powieści proletariackiej w Niemczech”. W pierwszych emigracyjnych latach w Szwajcarii współpracował z kierowanymi przez komunistów pismami emigracyjnymi. Jego odwrócenie się od komunizmu nastąpiło niepostrzeżenie. Po wojnie został obywatelem szwajcarskim. Zmarł w 1959 roku. Żona jego, znana jako Liza Tetzner autorka książek dla młodzieży, zawsze dzieliła jego losy. I choć oboje nie zostali zamienieni w *unpersons*, Jarmatz ich pomija.

Surowiej obszedł się natomiast z Kurtem Kerstenem, historykiem, który również uczestniczył przed 1933 rokiem w akcjach

związku pisarzy rewolucyjno-proletariackich, ponieważ na emigracji należał do bliskich współpracowników szczególnie znienawidzonego Willi Münzenberga i solidaryzował się z nim, po jego zerwaniu z partią. Mimo iż sławny niegdyś autor krytycznych biografii „Fridericus Rex” (1922) i „Bismarck” (1930), reporter, wychwalający w dwudziestych latach w Niemczech w trakcie swoich podróży Związek Sowiecki, a w latach trzydziestych publicznie tak występujący na emigracji, że mylnie zaliczano go do ścisłego grona kierowniczego polityki komunistycznej, przemilcza go Jarmatz konsekwentnie w rubryce pt. „i inni”.

Całkowicie oczerniony został Albin Stübe, mimo iż jedna z jego książek przyjęta została przez wydawnictwo Malik i że był współpracownikiem kierowanego przez Herzfelde w Pradze pisma *Neue Deutsche Blätter* i wydawanych w Moskwie niemieckich czasopism emigracyjnych. Zbiór jego wierszy pt. „Śmierć w Hiszpanii” to przejmujące *requiem* poświęcone pamięci poległych republikanów. Stübs żyje jeszcze — w republice federalnej, z tej więc racji istnieć w ogóle nie powinien. (Albin Stübs zmarł w 1976 roku — przyp. redakcji).

Karl August Wittfogel figurował jeszcze w „Akcjach - Wyznaniach - Perspektywach” choć co prawda pod hasłem „zdrajcy klasy robotniczej”. U Jarmatza czołowy ów uczestnik związku pisarzy rewolucyjno-proletariackich, teoretyk marksizmu, porywający mówca na wiecach komunistycznych, współpracownik centralnego organu KPD *Rote Fahne* (*Czerwony Sztandar*) i, oczywiście, także *Zakrętu w lewo* (*Linkskurve*), a w końcu torturowany więzień obozu koncentracyjnego — nie istnieje. Wittfogel był już w dwudziestych latach wytrawnym znawcą Chin, języka, historii i literatury tego kraju. Po zwolnieniu z obozu koncentracyjnego wyemigrował do USA, gdzie obecnie pracuje jako uczonego i wykładawca historii Chin. Zerwał całkowicie z KPD i z marksizmem, a po wydaniu głównego swego dzieła: „Oriental Despotism”, został jednomyślnie wyklęty przez wszystkie partie komunistyczne.

Równie wytrwale przemilczany jest także zmarły tragicznie w 1957 roku w Stanach i pośmiertnie dopiero zyskujący sławę międzynarodową lekarz, dr Wilhelm Reich, twórca pewnego kierunku w psychoanalizie. Do 1933 roku był on aktywnym członkiem komórki partyjnej przy Laubenheimer Platz w Berlinie-Wilmersdorf (obecnie Barnay-Platz), gdzie oprócz niego uparcie uczestniczyły w wewnętrznym ruchu oporu inne jeszcze *unpersons* jak np. Gustav Regler, Artur Koestler, Werner von Trotzu Solz, mimo iż oderwani już od partii, a także popularny poeta Erich Weinert, śpiewak rewolucyjnych pieśni Ernst Busch, krytyk teatralny Fritz Erpenbeck, pisarka Hedda Zinner, para aktorska Ruschin, jak również nie związani z partią lewicowi przeciwnicy narodowego socjalizmu jak Ernst Bloch, Axel Eggebrecht, Peter Huchel, Friedrich Burschell.

Listę tych nazwisk można by rozszerzyć i przedłużyć aż do

czasów współczesnych. Zaginionych w Związku Sowieckim pisarzy jak Ernst Ottwalt, Karl Schmückle, Herwarth Walden, Hans Günther, Heinz Neumann nie da się już powołać na świadków. Margarete Buber-Neumann, Susanne Leonhard, Waltraud Nicolas, Eryka Wallach opisały w swych książkach własne dzieje w stalinowskich więzieniach i łagrach. Świadectwo prawdzie dali także Theodor Plivier, Wolfgang Leonhard i Leo Bauer, który aż do swej śmierci w 1972 roku był bliskim przyjacielem i współpracownikiem Willy Brandta. Piszący po niemiecku dramaturg węgierski Julius Hay, oraz austriacki eseista i teoretyk marksizmu Ernst Fischer opisali w swych autobiografiach w jaki sposób zdołali przeżyć w Związku Sowieckim i jak przebiegał u nich proces uwalniania się spod kurateli stalinowskich doktrynerów.

Alfred KANTOROWICZ

(Fragment książki A. Kantorowicza: „Polityka i literatura na emigracji”, Christians, Hamburg, 1978, str. 31-40, publikowany w Nr. 39/1978 pisma: *europäische ideen* w Berlinie zachodnim).

(Tłumaczył mk)

## Czesko-polskie stosunki kulturalne

W LATACH 1968-1978

W nr. 11 *Kultury* z 1971 roku opublikowałem artykuł pt. „Czechosłowacko-polskie stosunki kulturalne po drugiej wojnie światowej”. Przegląd ten podzieliłem na trzy okresy: 1945-1948, 1949-1956 i 1957-1968. Czwartego okresu, który zaczął się w 1968 roku i trwa nadal, nie omawiałem. Dziś — w lipcu 1978 roku — trudno przewidzieć kiedy ten okres się skończy. Dziesiąta rocznica okupacji Czechosłowacji uprawnia nas jednak do podsumowania dotychczasowych polsko-czechosłowackich stosunków kulturalnych po roku 1968. Nie trzeba udowadniać, że ten czwarty okres jest pod wielu względami zbliżony do okresu drugiego — a więc do lat 1949-1956, tzn. do okresu pełnego stalinizmu i w Polsce i w Czechosłowacji. Nie zmienia tego stanu rzeczy fakt, że od roku 1969 można mówić o epoce neostalinizmu w Czechosłowacji, ale nie w Polsce.

Dzień 21 sierpnia 1968 roku był w życiu Czechosłowacji wstrząsem o historycznym znaczeniu: znane tragiczne wypadki

przekreśliły całkowicie resztki słowianofilskiego myślenia, utrzymujące się — w różnym nasileniu — prawie dwadzieścia lat w środowisku Czechów i Słowaków. W konsekwencji istniejące prawie wyłącznie wśród inteligencji koła polonofilskie utraciły w dużym stopniu grunt pod nogami, gdyż zainteresowanie Polską wywodziło się przeważnie właśnie z myśli słowianofilskiej. Udział polskich żołnierzy w okupacji Czechosłowacji u boku żołnierzy wschodnioniemieckich i sowieckich był sprawą nie łatwą do przełknięcia dla Czechów i Słowaków — a zwłaszcza dla przekonanych polonofilów.

Polscy okupanci odegrali tu smutną rolę, z której na pewno cieszone się w pewnym „słowiańskim” mocarstwie. W czasie tzw. Praskiej Wiosny — kiedy to w Czechosłowacji nie istniała cenzura — społeczeństwo czechosłowackie dowiadywało się z własnych środków przekazu nie tylko o kampanii przeciwstudenckiej i antysemitkiej w Polsce, lecz również o wrogim stosunku oficjalnych kół polskich do liberalizacji w Czechosłowacji. Po 21 sierpnia 1968 roku każdy człówek w Czechosłowacji wiedział, że obok Ulbrichta przede wszystkim Gomułka nalegał na zlikwidowanie załączków wolności w sąsiednim, „bratnim” kraju. Koła polonofilskie z zażenowaniem przyjmowały do wiadomości, że np. w Warszawie ukazała się w Wydawnictwie Ministerstwa Obrony Narodowej (Zarząd Propagandy i Agitacji Głównego Zarządu Politycznego WP) prawie 200-stronicowa książka pt. „Aktualne problemy Czechosłowacji i nasze stanowisko”, wyjątkowo obrzydliwa nawet w skali literatury dla „politruków”. Plunąć w stronę Czechosłowacji uważał za stosowne również osławiony szef PAX'u, Bolesław Piasecki, który do arsenału oficjalnych sowieckich inwektyw dodał, że Czechów doprowadziła podobno do 21 sierpnia 68 roku, ich zaściankowość”.

Nikt w Czechosłowacji nie utożsamiał oczywiście Gomułki z polskim narodem a Piaseckiego z polskimi katolikami czy z hierarchią Kościoła. Czesi i Słowacy oczekiwali jednak, że odezwą się w Polsce głosy protestu — tak jak to miało miejsce na jesieni 1956 roku, w czasie sowieckiego najazdu na Węgry. Pod koniec lata 1968 roku milczało jednak sumienie Polski. Z wyjątkiem dosłownie kilku osób (wśród nich Jerzego Andrzejewskiego) nie było żadnej reakcji — milczeli polscy pisarze, milczał polski Kościół...

W dodatku oficjalna Warszawa zorganizowała na prędcie audycje w języku czeskim i przez kilka lat nadawała programy dla Czechosłowacji, które w niczym nie ustępowały czeskim audycjom radia moskiewskiego.

Niestety, znaleźli się również polscy pisarze, którzy się plamili — najsmutniejszym chyba produktem tych lat była „powieść” Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego z roku 1969 pt. „Głupia sprawa”, w równym stopniu antysemitka co antyczeska. Nic dziwnego, że czescy znajomi zerwali z autorem tej brudnej książki wszelkie kontakty.

Ambasada polska w Pradze otrzymywała po 21 sierpnia 1968 roku tysiące listów od różnych organizacji oraz poszczególnych osobistości czechosłowackich z protestami przeciwko udziałowi Polski w okupacji; ponadto zwracano polskie odznaczenia, w tym niedawno wręczone „Odznaki Tysiąclecia”. Czechosłowaccy pracownicy polskich placówek w Czechosłowacji odeszli na inne miejsca pracy, ludność bojkutowała Ośrodek Kultury Polskiej...

Polscy żołnierze, którzy zmuszeni byli okupować wschodnio-czeskie miasto Hradec Kralove, ironią losu skierowani zostali do jednego z miast o silnych tradycjach polonofilskich, żywych jeszcze do dziś. Po Powstaniu Styczniowym znaleźli się w tym mieście polscy powstańcy gorąco popierani przez miejscową czeską ludność, a w roku 1963, na pięć lat przed polską okupacją, 100-letnią rocznicę tych wydarzeń obchodzono wyjątkowo uroczystie.

Zresztą polska ludność na Śląsku Cieszyńskim prawie bez wyjątku stanęła po stronie społeczeństwa czechosłowackiego i odmówiła popierania okupantów, bez różnicy ich mundurów.

Bilans udziału kierownictwa warszawskiego w nagonce na Czechosłowację oraz w okupacji sąsiedniego kraju był jednoznaczny: daleko idące zniszczenie wśród szerokich kół inteligencji czechosłowackiej zbudnie stworzonej propolskiej atmosfery. Po sierpniu 1968 roku trzeba było zacząć od nowa.

Niezależnie od szoku spowodowanego udziałem Warszawy w okupacji, wewnętrzna sytuacja Czechosłowacji hamowała — i nadal hamuje — rozwój wzajemnych stosunków kulturalnych. Stopniowe nasilenie się neostalinizmu od sierpnia 68 roku, które osiągnęło punkt szczytowy w latach 1971-1974, sparaliżowało całe życie kulturalne kraju. Likwidacja prawie całej prasy kulturalnej, rozwiązanie związków twórczych, zamknięcie niektórych teatrów, permanentna czystka w wydawnictwach, ministerstwach, uniwersytetach i szkołach oraz w Akademii Nauk, wielka emigracja inteligencji na Zachód — wszystko to musiało odbić się negatywnie na kulturalnych stosunkach czechosłowacko-polskich. Kadry tłumaczy, polonistów, dziennikarzy itd. zostały zdziesiątkowane i luki te będą odczuwane jeszcze długo.

Nie znaczy to oczywiście, że w ostatnim dziesięcioleciu nie było żadnych stosunków kulturalnych między Polską a Czechosłowacją. W pierwszym okresie okupacji, od końca sierpnia 1968 do kwietnia 1969 roku (tzn. do przejęcia władzy przez Husaka), a raczej do października 1969 roku (tzn. do zamknięcia granicy na Zachód oraz rozpoczęcia twardego okresu wobec inteligencji), sytuacja w dziedzinie kultury była znośna. W latach 1968-69 ukazały się zresztą w czeskim i słowackim tłumaczeniu polskie książki, które zostały przełożone jeszcze przed okupacją — pod tym względem należą więc raczej do okresu lat 1957-1968.

W latach 1968-69 ukazało się w języku czeskim około 60 tłumaczeń z polskiego, wśród nich poezje Norwida, Andrzejewskiego „Idzie skacząc po górach”, Schulza „Sklepy cynamonowe”,

Dąbrowskiej „Ludzie stamtąd”, Dobraczyńskiego „Listy Nikodema”, Kołakowskiego „Rozmowy z diabłem”, trzy utwory Mrożka, dalej książki Filipowicza, Lema, Iwaszkiewicza itd. Tłumaczono również polskich klasyków — w 1969 roku ukazało się nowe tłumaczenie „Pana Tadeusza” pióra Ericha Sojki, gdyż tłumaczenie z 1882 roku było już częściowo przestarzałe. W Słowacji wydano w tym samym okresie Andrzejewskiego „Bramy raj”, Brezy „Urząd”, utwory K. Brandysa oraz polską klasykę.

W Polsce zaś ukazały się w tym samym okresie książki J. Muchy, V. Parala, B. Hrabala, E. Petiszki, odkryto R. Weinera („spokrewnionego” literacko z Kafką oraz z B. Schulzem). Ale w 1969 roku wydawnictwo „Prasa” wydało także szkalującą broszurkę „Tak zwana sprawa Masaryka — Kulisy pewnej prowokacji w CSRS”, przedstawiającą moskiewskie stanowisko w sprawie zamordowania ministra spraw zagranicznych, Jana Masaryka, w 1948 roku. Z czeskich poetów przetłumaczono M. Holuba oraz wydano wybór wierszy młodych autorów czeskich i słowackich pt. „Drzewo rośnie zielono” (w międzyczasie niektórzy z tych autorów znaleźli się na indeksie). Ukazała się również książka o czeskim „poetyzmie”, awangardowym ruchu międzywojnia. Z języka słowackiego przetłumaczono książkę dla dzieci J. Błażkovej, która w międzyczasie wyemigrowała do Kanady.

Poczynając od 1970 roku sytuacja zaczyna się zmieniać. Ilość wzajemnych przekładów w obu krajach co prawda nie zmniejsza się, zmienia się natomiast skład autorów. Odsetek tłumaczeń klasyków i wznowień książek wypróbowanych, bezproblemowych autorów idzie szybko w górę — nie tylko w Czechosłowacji, gdzie grasuje neostalinowska cenzura, pilnująca żeby np. Mrozek nie przeszedł. Również w Polsce nie można już wydawać autorów czechosłowackich, którzy w ogromnej większości razem z całym społeczeństwem potępili okupację własnego kraju. W Czechosłowacji ukazują się więc utwory Sienkiewicza, Zapolskiej, Żeromskiego, Kochanowskiego, Reymonta, wznowienia oraz nowe tłumaczenia Brandstaettera, Dobraczyńskiego, Kuncewiczowej, Kosidowskiego, Różewicza, Nowaka. Z politycznych powodów tłumaczy się Putramenta.

W Polsce zaś wznowia się tłumaczenia Drdy, K. Schulza, E. F. Buriana, Haszka, Czapka, wydaje się politycznie „neutralnych” jak np. Parala czy Fuksa. Obok tego udało się jeszcze wydać w latach 1970-71 „Tchórzy” Szkvoreckiego (który w międzyczasie wyemigrował do Kanady) oraz bardzo antydogmatyczne książki liberalnego M. Kundery „Żart” oraz „Śmieszne miłości”. Ze zrozumiałych powodów ukazuje się książka Husaka „O słowackim powstaniu narodowym”.

Rok 1972 przynosi 33 przekłady z polskiego na czeski. Większość to znów tłumaczenia klasyków oraz wznowienia, a więc utwory Sienkiewicza, Kraszewskiego, Iwaszkiewicza, Lema, Brezy, Różewicza, Ważyka, Parandowskiego, Fidlera, Szaniawskiego. Nowe jest tłumaczenie „Prakseologii” Kotarbińskiego. Na język słowacki tłumaczono częściowo tych samych autorów, poza tym

ukazał się „Pamiętnik z Powstania Warszawskiego” M. Białoszewskiego.

W tymże 1972 roku wznawia się popularne tłumaczenia z czeskiego, na pierwszym miejscu Haszka, który w ostatnich latach doczekał się w Polsce pewnego rodzaju renesansu. Poza tym na nowo odkrywa się „Krawędź” Rzezacza, ukazują się utwory V. Vanczury oraz innych starszych czeskich i słowackich pisarzy. Widocznie odgórne zarządzenia zmusiły polskich wydawców do wydania słańbiutkiej starej powieści Pazourka pt. „Zdrada” — trzeciorzędny pisarza, należącego do garstki zwolenników pokupacyjnego reżymu.

W latach 1973-1978 niewiele zmienia się w dziedzinie wzajemnych przekładów — nadal wydaje się klasyków, ukazują się liczne wznowienia, tłumaczy się „konfekcję literacką” drugo- i trzeciorzędnych autorów.

Ukazują się więc w tym okresie po czesku i po słowacku książki Andrzejewskiego, Brzechwy, Brezy, Centkiewiczów, Gałczyńskiego, Filipowicza, Iwaszkiewicza, A. Kowalskiej, M. Brandysa, Kuśniewicza, Jerzego Wittlina, prawie wszystkie książki T. Nowaka i innych. Obok tego Fredro, Orzeszkowa, Reymont, Rittner, Sienkiewicz, Zapolska itd., ale również Sobieskiego „Listy do Marysienki” czy „Malwina” Marii z Czartoryskich. Po słowacku (jako powielany tekst) ukazał się w 1973 roku „Apetyt na chereśnie” Agnieszki Osieckiej. Do tego dochodzą książki autorów protegowanych politycznie — np. w 1974 roku ukazuje się czeskie tłumaczenie „Sagi rodu” St. R. Dobrowolskiego, tegoż Dobrowolskiego, który parę lat temu napisał antyczeską „Głupią sprawę”.

W roku 1975 ukazuje się w Pradze „Słownik pisarzy — Polska”, przygotowywany od dziesięciu lat (w międzyczasie dwóch współautorów wyemigrowało — jednemu ukradziono tekst i nie zamieszczono jego nazwiska wśród autorów). „Słownik” odzwierciedla smutną prawdę, że praska cenzura wtrąca się nawet do współczesnej polskiej literatury.

W Polsce wydano, obok klasyków oraz wznowień z literatury czeskiej i słowackiej, trochę konformistów politycznych. Poza tym ukazały się w miarę obiektywne przeglądy J. Magnuszewskiego „Historia literatury czeskiej” oraz Z. Niedzieli „Współczesna literatura czeska”, dalej „Wybrane studia slawistyczne” pióra prof. Karola Krejczego. Później wydano po polsku jego książkę „Praga — legenda i rzeczywistość” i w ten sposób poparto najwybitniejszego czeskiego polonistę, którego dzisiejszy reżym w Pradze niechętnie toleruje (już po roku 1957, kiedy to wyrzucono Krejczego z Uniwersytetu Karola w Pradze, Polska go popierała). Niektóre polskie czasopisma — zwłaszcza z dziedziny nauk humanistycznych — udzielają gościny czeskim i słowackim autorom, którzy z trudem albo wcale nie mogą publikować we własnym kraju (po roku 1956 sytuacja była podobna).

W 1970 roku odbyła się w Krakowie wspólna czechosłowacko-polska konferencja naukowa, poświęcona kontaktom w dziedzinie literatury na przestrzeni wieków (nawiązała ona do podobnej konferencji z 1967 roku w Smolenicach koło Bratysławy). W dziedzinie teatru, filmu oraz telewizji próbuje się nadal współpracować, przy czym niekiedy wyniki są zadowalające. W Polsce sztuki Ivana Bukovczana doczekały się siedmiu inscenizacji, sztukę Brylla „Na szkle malowane” wystawiał przez długi czas bratysławski Teatr Dramatyczny. Bryll ze swej strony adaptował popularnego czeskiego „Rumcajsa” Czwrtka i Lichy'ego. W dziedzinie filmu rozpoczęto koprodukcję nieudanym filmem z 1958 roku „Zadzwońcie do mojej żony”, następne trzy filmy z koprodukcji: „Zaczarowane podwórko” (1974), „Krótkie życie” (1975) oraz „Zakłęte rewiry” (1975) również nie były dobre.

W dziedzinie nauki kontakty ilościowo są imponujące, jakościowo przynoszą jednak mało, gdyż — zwłaszcza w dziedzinie nauk humanistycznych — życie naukowe w Czechosłowacji wciąż jest całkowicie sparaliżowane. Takie akcje, jak założenie w 1976 roku komitetu redakcyjnego, którego zadaniem ma być wydawanie dokumentów i materiałów dotyczących historii obu państw po drugiej wojnie światowej, na pewno niedużo zmieni: wiadomo jakie dokumenty i materiały nie zostaną opublikowane.

W Krakowie, Warszawie i Bratysławie została pokazana (teraz znajduje się w Pradze) wystawa pt. „Polska - Czechosłowacja. Wieki sąsiedztwa i przyjaźni”. Po stronie czechosłowackiej prawie nie dopuszczono Czechów do współpracy w tej wystawie, jest ona dziełem słowackich konformistów oraz polskich pracowników z Warszawy i Krakowa. Poziom wystawy jest — przynajmniej po stronie czechosłowackiej — znacznie niższy od podobnej wystawy z roku 1962.

Poza kontaktami oficjalnymi istnieją oczywiście i nieoficjalne. Stosunkowa łatwość przekraczania granicy polsko-czechosłowackiej doprowadziła do tego, że obok milionowych rzesz turystów (oczywiście wielką ich część — zwłaszcza jeśli idzie o Polaków — interesuje bardziej prywatny handel i przemysł niż turystyka) korzystają z możliwości kontaktów również ludzie, którzy próbują popierać stosunki naukowe oraz kulturalne bez nadzoru z góry. Niektórzy Czesi, Słowacy i Polacy starają się pomimo sztykan utrzymywać nieoficjalną (również drogą korespondencji) współpracę — świadczy o tym m.in. część opublikowanej korespondencji z roku 1973 pomiędzy dziś już nieżyjącym Janem Patoczką (współzałożycielem słynnej „Karty 77”) a Ireną Krońską (zmarłą wdową po filozofie T. Krońskim). Korespondencja ta ukazała się w Warszawie w nr. 2 czasopisma polskiej opozycji pt. *Zapis* (kwiecień 1977) i została przedrukowana na Zachodzie.

Głos polskiego sumienia, na który nadaremnie czekali czechosłowacy demokraci latem i jesienią 1968 roku, odezwał się na

jesieni 1977 roku, po nasileniu prześladowań czechosłowackich patriotów — zwłaszcza sygnatariuszy „Karty 77”. 31 października 1977 roku Komitet Samoobrony Społecznej „KOR” wydał w Warszawie „List do przyjaciół Czechów i Słowaków”, w którym m.in. pisze: „Kiedy powracamy myślą do tej wiosny (1968), z żalem i goryczą wspominamy, że i polskie wojsko brało udział w inwazji Waszego kraju. Pragniemy jednak gorąco byćście nam tego nie pamiętali, wierząc, że działo się to z obcej przemocy i wbrew naszej woli”.

Rok 1968 — to już historia. Czechosłowacko-polskie stosunki kulturalne w przeszłości musiały wytrzymywać próby historii — czasami bardzo bolesne. Wytrzymały również szok roku 1968 i będą się na pewno dalej rozwijały.

Karel KLATOVSKY

WSZYSTKIM NASZYM SŁUCHACZOM  
I SYMPATYKOM  
SKŁADAMY TĄ DROGĄ  
NAJLEPSZE ŻYCZENIA  
ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE

ZESPÓŁ ROZGŁOŚNI POLSKIEJ  
RADIA WOLNA EUROPA

## Ci, co odeszli

### Wspomnienie o Norbercie Niświskim

Postanowiłem pożegnać Norberta Niświskiego na „biało” — z uśmiechem. Bo zmysł humoru był jego wielką zaletą. Jak niewielu umiał żartować z samego siebie. Na przykład świetnie opowiadał, jak pewnego dnia, w restauracji Hotelu Bristol w Warszawie podszedł do niego kelner i spytał: „Czy pan jest dyrektorem chińskiego cyrku...? Jest do Pana telefon...”.

Nie dziwię się temu pracownikowi stołecznej gastronomii, bo Nolek — jak go nazywali przyjaciele — wyglądał egzotycznie. Przez okrągły rok był „opalony”, bo miał sładką cerę. Po tatarsku wystające kości policzkowe i grube murzyńskie wargi stwarzały profil, który się natychmiast zauważało. Tę niezwykłą fizjonomię rozświetlał przemiły uśmiech, który był wiernym zwierciadłem jego charakteru.

Nie mniejszą jego zaletą był umiar bez uprzedzeń. Zwykł być zawsze odważać wszystkie aspekty zagadnienia. Znam mało ludzi, którzy byliby tak niewrażliwi na pokusę demagogii, jak Norbert Niświski. To co innym wydawało się często oczywiste — siłą nawyku myślowego — mój zmarły 25 sierpnia 1978 roku w Tel-Awivie przyjaciel cedził przez analizę wątpliwości. Czasami była denerwująca ta jego skłonność do odgrywania „adwokata diabła”. Ale dzięki temu był dziennikarzem, na którym można było polegać.

Zaprzyjaźniłem się z nim w Nowym Jorku kilkanaście lat temu. Dopiero w Ameryce go odkryłem, choć byliśmy w tym samym czasie w Bagdadzie w 1942/43 roku: ja w redakcji *Orły Białego* — Norbert w nasłuchu radiowym dla „dwójki”. Obie instytucje korpuśne były w dzielnicy willowej Wazyryya. Znajdowaliśmy się od siebie o kilkanaście kroków, ale jakoś nasze drogi nigdy się nie skrzyżowały.

Przeglądając niedawno *Orły* z roku 1943 odkryłem artykuł Norberta Niświskiego na temat ekonomiczny.

Urodził się w Łodzi w 1913 roku. Terminował w *Głosie Porannym*.



Dziwnym zbiegiem okoliczności w naszym okresie w Bagdadzie znajdowała się żona naczelnego redaktora tej gazety. Była siostrą piękną żonę doktora Makowskiego, przybocznego lekarza regenta Abdul Illaha i rodziny królewskiej.

Po przeniesieniu się do Warszawy, na kilka lat przed wybuchem wojny, Norbert pracował w *Gazecie Handlowej* oraz w dzienniku nazywanym się *Kurier Codzienny 5 groszy*, wydawanym przez Wiktora Grosza, który był próbą pozyskania mas pracujących dla lewicy poprzez prasę popularną.

Po wrześniu starał się dostać do Rumunii, co mu się nie udało. Aresztowany przez NKWD, wysłany został do łagru. Po „amnestii” zaciągnął się do Armii Polskiej gen. Andersa i ze względu na znajomość kilku języków odkomenderowany został do II-go Oddziału.

Po demobilizacji osiadł w Tel-Awivie. Dziennikarstwo zaczął od współpracy z dziennikiem *Haaretz*, do którego wprowadził go nasz wspólny przyjaciel, korespondent *Agence France Presse*, Natan Gurdus, kiedyś przedstawiciel londyńskiego *Daily Express* w Warszawie. Pisywał też do *Jediot-Aharonet*, a kiedy grupa dziennikarzy postanowiła założyć dziennik niezależny na zasadzie spółdzielni, dołączył do nich. Tak powstał *Maariv*, najpopularniejsza w tej chwili gazeta Izraela.

Od 1952 roku zaczęły się ukazywać w *Le Monde* jego korespondencje pod pseudonimem Philippe Ben. Jego największym *coup* dziennikarskim była Polska w 1956 roku. Stał się naocznym świadkiem rewolty w Poznaniu jako korespondent *Le Monde*. Nikt z korespondentów zagranicznych nie umiał z taką wrażliwością i głębią oraz znajomością rzeczy poddać analizie znaczenia tych przełomowych dni październikowych.

Norbert Niświski był korespondentem *Le Monde* w Polsce przez dwa lata. W 1958 roku władze PRL odebrały mu akredytację. W czasie pobytu w Polsce kilkakrotnie odwiedzał Czechosłowację.

Kilka lat później, również z ramienia *Le Monde* i *Maariv*, donosił o polityce międzynarodowej z ONZ w Nowym Jorku. Bardzo szybko stał się tam najbardziej respektowanym komentatorem, choć nie ukrywał swego sceptycyzmu co do tej instytucji. Wiedział szybciej, lepiej i dokładniej o tym co się działo za kulisami niż jego rywale. Był wyrocznią dla wielu dyplomatów, zwłaszcza dla tych, którzy polegali głównie na lekturze *Le Monde*. Zartowano: *When Ben speaks, everybody listens* — Kiedy Ben mówi, wszyscy słuchają, co było parafrazą popularnej reklamy telewizyjnej. Bywał zapraszany na tak zwane *talk show* telewizyjne, podczas których dyskutowano palące problemy polityki międzynarodowej. Uchodził za eksperta od spraw wschodnioeuropejskich i izraelsko-arabskich. Odznaczał się wielką pracowitością. Ale zawsze było dla mnie zagadką, jak on pisze po francusku, bo akcent miał okrutny. Aż kilka lat temu odkryłem to. Byłem u niego, zaproszony na kolację, i po świetnym jedzeniu i kilku drinkach, już blisko północy, Norbert nagle oświadczył,

że musi jeszcze wystać komentarz dla *Le Monde*. Wstał od stołu. Poszedłem za nim. Byłem ciekaw co z tego wyjdzie, bo o takiej godzinie i w samym środku rozluźniającego umysł procesu metabolicznego nie byłbym w stanie napisać nawet pocztówki. Norbert siadł do telexu. Stanąłem za nim. Nie wierzyłem własnym oczom. Spod palców zaczęła mu płynąć nieskazitelna proza francuska. Każde zdanie „siedziało” gramatycznie i nie wymagało korekty. A to co pisał było *non plus ultra* informacji i logiki. Od tego dnia jeszcze bardziej go ceniłem. Takich korespondentów jest mało — coraz mniej. W przeddzień śmierci napisał ostatni komentarz o wizycie Hua w Rumunii.

Zdzisław BAU

## ZAPRENUMERUJ

# ZESZYTY HISTORYCZNE

Jedyny, niezależny kwartalnik poświęcony najnowszej historii Polski.

Dziś, kiedy średnie i młode pokolenie nie tylko w Polsce ale i na Zachodzie, coraz mniej wie o historii swego narodu, albo nieświadomie ulega jej fałszowaniu w Kraju lub równie szkodliwym mitom patriotycznym na Zachodzie — istnienie tego wydawnictwa jest niewątpliwie koniecznością. Niestety — choć nie brak nam komplementów czy słów uznania — brakuje ciągle dostatecznej ilości prenumeratorów, aby nie tylko utrzymać ale i rozbudować **ZESZYTY HISTORYCZNE**.

Przy rosnących kosztach druku i stosunkowo niskiej cenie tylko kilkuset nowych prenumeratorów może być prawdziwą pomocą.

Roczna prenumerata wynosi F. 160 a dla prenumeratorów **KULTURY** — F. 140, za 4 zeszyty, zawierające każdy 240 stron.

## Wołanie na puszczy

### Wstrząs, gruzy, galówki

Warszawa, listopad

Wybór Papieża Polaka, czego nikt się nie spodziewał, wywołał wstrząs dusz i umysłów: uśpionym od lat, zapatyczniałym krajem przebiegł dreszcz, autentyczny zryw masowy po dziesięcioleciach biernego łykania drętwej propagandy, bezdusznej, obrzędowo dygnitarskiej elokwencji, sprawozdań z urzędowych „wystąpień”, narad, konferencji („w sprawach interesujących obie strony”), depeš gratulacyjnych, beztreściowych galówek z obowiązkowymi fotosami na pierwszych stronach przenudnych gazet. I oto nagle krakowski Metropolita został papieżem, wiatr historii powiał nad krajem gdzie, wydawało się, historia stanęła w miejscu od lat trzydziestu. Lud przebudził się w ciągu godziny, na co ze zdumieniem patrzyli stumanieni funkcjonariusze partyjni, którzy nigdy nie widzieli autentycznej, masowej manifestacji, przywykli do mechanicznych, wypranych z emocji urzędowych spędów. Fałszywa odwrócona „elita” aparatu, złożona z oportunistów, sztywniaków, ostrożniaków, sklerotyków, cwaniaków i schematyków pogubiła się nagle wśród przebudzonego na chwilę społeczeństwa: naród się ocknął, ocenił wagę wydarzenia, demonstrował bezinteresownie, bez nakazu i strachu. On jeszcze żyje ten naród, choć przez lata karmiony kunsztownie przyrządzaną nieprawdą, precyzyjnie ze wszystkich głośników, ekranów czy drukarni wsączaną dezinformacją. A jednak ogłupić się nie dał, pierwsze od długich lat odkrywcze posunięcie Zachodu zrozumiane zostało błyskawicznie. Duch Święty, jak nań przystało, okazał się mądrzejszy od wszystkich polityków razem wziętych.

Był to przy tym pokaz zapomnianej przez „elitę” międzynarodowej demokratyczności: cóż może być, demokratyczniejszego niż droga od Wadowic do Rzymu? I to bez zbędnego gadania, bez bałamutnych „politycznych” tłumaczeń. Owszem, ma i Kościół swoją mowę obrzędową, ale jakże jest ona dziś ciepła i bezpośrednia, w porównaniu z zimną, nieludzką lurą, z żargonem schema-

tów, jaki się na nas leje. Oderwani od społecznego życia świeccy pseudo-kapłani propagandowej taktyki i niewolenia mózgow poczuli się nagle bezradni i nieprzydatni. Cała siateczka kunsztownych, psychologicznych intryg personalnych, z jakich składała się ostatnio tzw. „polityka katolicka” pękła w sekundzie i okazała się nic nie warta wobec wydarzenia, którego oślepiającej jasności i prostoty nikt akurat nie przewidział. Jakże niewielką ilością rozumu rządzony jest ten świat i jak trudno robić teraz dobrą minę do złej gry, próbując z faktu wyboru papieża stworzyć jeszcze jedną reklamę dla rządu i partii! Komedia ludzka — ale w tym wypadku nie do odegrania, bo publiczność „nie kupi”. *Habemus klapam* — powiedział Gierek — po otrzymaniu owej wieści z Rzymu (to oczywiście anegdotka, ale nader ludowa).

Ma więc Polska wymarzoną przez siebie reklamę. Zjechało do nas mnóstwo całkowicie o Wschodzie nie poinformowanych zachodnich dziennikarzy, oblegli Kraków i Wadowice. Ale tutaj nagle zgoła nie reklamowa niespodzianka: stare centrum Krakowa, stolica archidiecezji od lat 900, po prostu się wali. Wali się stary Kraków, Zamość, Lublin, Sandomierz, Toruń, a także warszawska Praga. Gdy na lewym brzegu Wisły wznoszono nową Warszawę ze świeżutkimi „jak z igły” zabytkami, stara, mieszczańsko-proletariacka Praga, niekonserwowana i lekceważona niszczała i doszła do dzisiejszego stanu, gdy trzeba ją „zastąpić przez co innego”.

Dlaczego tracimy nasze historyczne miasta, podczas gdy tryumfują nowe zabytki, jak Warszawa czy Gdańsk? Dlatego, że od czterdziestu lat nikt się nimi nie interesował, pozostawiając np. system krakowskich kanałów podziemnych na wolę Opatrzności (kto by pomyślał, że to właśnie marksści wierzyć będą w Opatrzność?!). Wydziedziczono „kamieniczników”, odbierając im prawa i środki działania, odebrano możliwości remontowe samym lokatorom, stworzono śmieszne, biurokratyczne, pozbawione wszelkiej egzekutywy „administracje domów mieszkalnych” (ADM) i w rezultacie stare dzielnice, świadkowie polskiej historii, niszczały, co najwyżej, jak w Lublinie lub Krakowie, fasadowo po wierzchu malowane. W dodatku przez lata, w konsekwentny sposób likwidowano stan rzemieślniczy — dziś np. stare rzemiosło artystyczne i budowlane zanikło zupełnie: zastąpiły je „ekipy rozbiórcze” (do szybkiego likwidowania zabytkowych domów z którymi nie wiadomo co robić), oraz brygady szybkiego wznoszenia byle jakich „szklanych domów” w polach. Wyziewy źle lokalizowanych hut i fabryk chemicznych dopełniają dzieła zniszczenia: historia rozpada się na naszych oczach i nic jej już chyba nie ocali, mimo gwałtu i krzyku, jaki się ostatnio podniósł.

Władze bowiem nagle zbudzone zdziwiły się ogromnie, że stary, nie remontowany Kraków się wali. Rządy totalistyczne, obywatelom się bez kontroli i odpowiedzialności, zazwyczaj nie kojarzą swych wieloletnich działań z konkretnymi rezultatami, podobnie jak niektóre afrykańskie plemiona nie kojarzą stosunków pćcio-

wych z rodzeniem się dzieci. Główna ich myśl była, jakby z tego kosmicznego niedbalstwa zrobić sobie reklamę. Stworzono „Komitet rewaloryzacji Krakowa” (ciekawe, nowe słowo, no bo trudno byłoby mówić o „odbudowie” Krakowa), zaczęto się przechwalać, jaki to Rząd jest łaskawy i o wszystkim pamięta, ogłoszono nawet „obywatelską” zbiórkę pieniężną, choć fachowcy szepczą, że papierowych pieniędzy nie brak, nie ma tylko komu ich zapłacić, bo przez lata nieodpowiedzialnej gospodarki wyniszczono całą nadającą się do tej pracy kadrę. Ale to nie ważne, grunt reklama władzy: sztukę nieustającego samochwalstwa i gromkiego krzyżenia o niczym doprowadzono u nas, zaiste, do wyżynnego mistrzostwa.

Stare miasta oczywiście się zawalą, będziemy je „mieć z głowy”, jak niegdyś zabytkowy rynek w Jeleniej Górze. Stare miasta się jakoś trzymały, póki ludzie w nich mieszkali i zarządzali — walały się od czasów socjalizmu. Zbudować fasadowe, nowe zabytki i umieścić w nich biura, to owszem, to się potrafi. Ale gdy żyjące jakoś dotąd stare dzielnice ogłosi się jako zabytki i wyewakuuje z nich ludzi, to już koniec blisko. Wybebeszone, rozkopane, pozbawione mieszkańców wiekowe śródmieścia zniszczają wśród deszczu i błota, w oczekiwaniu na ślimaczący się latami generalny remont, w rezultacie powstanie po owych latach, wśród pustkowi i gruzu trochę „na wysoki połysk” wypucowanych fałszywych antyków, dokąd wśród trąb i bębnow pochlebczej propagandy wprowadzą się jakieś zbiurokratyzowane stowarzyszenia czy muzea. Stare dzielnice zamrą, wypłyną z nich dokądś organiczne życie, ale zostanie socjalizm — oj socjalizm! Co z tą Polską, na Boga, czyż już na zawsze tak tu będzie?! Pan Bóg wysoko, Papież daleko, Ruscy blisko, a my tu wciąż z tym „socjalizmem”. Naród, bujany nieustannie przez sforę prasowych speców, nudzi się na śmierć, degeneruje, opupia, sypie się, niszczyje, murszeje. Kto nam pomoże, czy fermentująca młodzież?!

Na razie w ramach akcji „Igrzyska” („Chleba czy Igrzyska”) dano ludowi obchody 60-lecia Niepodległości. O rany Julek! — jak mawiał Tuwim, czyli w narodowym jadłospisie „Dziś flagi”. Pomieszano w diabelskim kotle fakty, lata, fałszerstwa, wspomnienia i niepamięć, przybliżono do siebie daty Niepodległości i „Października” (listopada), aby nikt już niczego nie rozumiał, pominięto sto niewygodnych faktów i osób, opuszczono słonia w menażerii, skreślono lub sfałszowano Piłsudskiego, w rezultacie pozbawiono nas jeszcze jednej narodowej rocznicy. A swoją drogą dziwna to cena za pokój (bez kuchni), za sojusz z Wielkim Bratem i za „wschodnią rację stanu”: w nagrodę za to wszystko sfałszować mamy sobie historię — osobliwa zapłata. Porachunki polityczne wstecz, po 60 latach, naciąganie dawnych faktów do dziś rządzącej teorii, do której one ani rusz nie pasują ani pasować nie chcą — oto przedziwne a drobiazgowo zajęcie dla tak poza tym nieudolnie rządzących nami filozofów. Rację miał profesor Tatarkiewicz: marksizm to pierwsze w historii absolutystyczne rządy filozofów, ale jakżeż ona zakłamana, ta ich

filozofia! Kunsztownie zresztą zakłamana — istna scholastyka czyli Nowe Średniowiecze.

Takie więc były tej jesieni duchowe zabawy i igraszki, tudzież pociechy Polaków. Rocznicą Niepodległości straciła swą historyczną, polską treść, otrzymała natomiast nową, papierowo-dokumentalną. Za to Papiestwo jak najnie spodziewanej zyskało ową polską treść, ciepłą i swojską, wbrew krakaniom Poety, że „twa zguba w Rzymie”.

Jest więc dobrze, lecz nie beznadziejnie. A co dalej?! Ja nie znajduję!

KISIEL

## PLAN WYKŁADÓW „LATAJĄCEGO UNIWERSYTETU”

- Tradycja*, cykl prelekcji — Kościół św. Marcina, Piwna 9/11, pierwszy wykład odbędzie się 13 listopada o godz. 20-tej.  
*Filozofia wiedzy*, Stefan Amsterdamski, Staffa 107, 14 listopada o godz. 19-tej.  
*Wychowanie a życie społeczne*, Jacek Kuroń, Stoleczna 17 m. 109, 15 listopada o godz. 19-tej.  
*Wybrane zagadnienia historii literatury rosyjskiej*, Wiktor Woroszyński, Mickiewicza 30 m. 48, 16 listopada o godz. 19-tej.  
*Historia polityczna Polski*, Władysław Bartoszewski, Konopczyńskiego 4 m. 9, 17 listopada o godz. 19-tej.  
*Przewodnie idee epoki współczesnej*, Jerzy Jedlicki, Bednarska 9 m. 74, 20 listopada o godz. 19-tej.  
*Kwestia chłopska i ruch ludowy w Polsce*, Zdzisław Szpakowski, Neseberska 3 m. 48, 21 listopada o godz. 19-tej.  
*Historia polityczna Polski Ludowej*, Adam Michnik, Ludki 3/4 m. 1, Ursynów, 22 listopada o godz. 19-tej.  
*Historia gospodarcza i historia polskiej myśli ekonomicznej 1944-1971*, Tadeusz Kowalik, Pługa 1 m. 37, 23 listopada o godz. 19-tej.  
*Społeczne problemy wychowania*, Adam Stanowski, Burgacka 3 m. 13, 25 listopada o godz. 11-tej.  
*Życie społeczne a scentralizowana struktura władzy*, Irena Nowakowa, Burgacka 3 m. 13, 26 listopada o godz. 11-tej.

W planie tym podane są tylko, terminy pierwszych spotkań w ramach poszczególnych cykli. Kolejne zajęcia odbywać się będą w odstępach dwutygodniowych. Wszelkie dodatkowe informacje: Andrzej Celiński, telefon: 42-71-74, ul. Burgacka 3 m. 13, Stegny Rożek.

### Ogłoszenie

Towarzystwo Kursów Naukowych poszukuje lokali o różnej powierzchni, na wykłady, seminaria etc. Zgłoszenia prosimy kierować: Andrzej Celiński, Warszawa, Burgacka 3 m. 13, tel.: 42-71-74 lub do redakcji *Biuletynu Informacyjnego*.

## Książki

### Jubileusz "Oficyny Poetów"

Z pięćdziesiątym numerem pisma wszystkiego dobrego Krystynie i Czesławowi Bednarczykom — poetom, drukarzom, wydawcom, grafikom! Czytelnikom zaś i sobie życzę pisma na wyższym poziomie artystycznym i publicystycznym. Tak, ażeby w przyszłości można było chwalić nie tylko przedsięwzięcie, ale i jego jakość.

*Oficyna Poetów*, jedyne czasopismo na emigracji poświęcone poezji, ukazuje się ponad dwanaście lat. Duży format, spora objętość (często ponad pięćdziesiąt stron), stronicie w pastelowych kolorach, świetne wkładki graficzne. Kwartalnik należy do Oficyny Poetów i Malarzy, która zaczęła swą imponującą działalność wydawniczą w roku 1950. W 50-tym numerze podkreśla się, że jest to jedyne na emigracji pismo niezależne, a znaczy to: nie czerpiące z cudzej kieszeni, samowystarczalne. Chwalić siebie za to, że od nikogo nie bierze się pieniędzy oznacza ganić innych za to że biorą. Niech biorą. Jedyną szansą bogatych na wejście do nieba jest budowanie szpitali i wspomaganie sztuki.

*Oficyna Poetów* jest pismem poświęconym nie tylko poezji. Sporo tu prozy, dramatu, publicystyki społeczno-kulturalnej, sporo artykułów o literaturze i ludziach zasłużonych dla kultury polskiej. Stale piszą: poeta krakowskiej awangardy, Jan Brzękowski i publicysta Marian Axel. Często — Wit Tarnawski, Wójtowicz, Niemojowski. Współczesna poezja europejska czy amerykańska jest praktycznie nieobecna na łamach *Oficyny*. Brzękowski w swoich *Rozmowach z sobowtórem* zanudza starymi — rozumiejąc że dla niego nie są one nigdy stare — sporami „Skamandra” z Awangardą. Od czasu do czasu błysnie wiersz Eliota, na ogół znany z innego (Miłosa na przykład) tłumaczenia, trochę poezji japońskiej, trochę południowo-amerykańskiej. Okno na świat współczesny wybija Marian Axel, specjalista od wszystkich dziedzin ducha i materii. Jego felieton to jakby biedniejszy

odpowiednik *Dziennika pisanego nocą* Herlinga-Grudzińskiego, ale nasuwa się i inne porównanie z *Kultury*. Brukselczyk, którego zaczepny, drażniący ton działa na wielu czytelników (nie na mnie) jak czerwona płachta na byka. Nie pretendując do obiektywności wyznaje, że tak właśnie działa na mnie Axel.

Człowiek ten, który nie wiadomo w czyim imieniu posługuje się formą „my”, ma zwyczaj przyjmowania każdej tezy postulowanej przez siebie za oczywistą, a potem staczenia z nią z góry zwycięskich bojów. Na przykład: „Do murowanych wartości naszej *way of life* należą pojęcia takie jak wolność, demokracja, ojczyzna, naród i pokrewne, przy wymawianiu których to wyrazów zastygamy w ciełym uwielbieniu i katatonicznej adoracji”. Zacytowane dla urody zdania. Albo: „Już samo zastępowanie wyrazu człowiek eufemizmami jak ludzkość, klasa, naród jest podejrzanym”. Tym bardziej, jeśli się pamięta, co pisał na ten temat Gombrowicz w I-szym tomie *Dziennika*, z którego owo zdanie zostało niemal dosłownie zerżnięte. W innym miejscu, z uporem godnym lepszej sprawy nazywa Axel Iwonę — Gombrowicza — Iwonką (zupełnie jakby ją napisała Zarzycka), a w jeszcze innym wypowiada się na temat Dürenmatta, że ten „... odziera się stanowczo od Brechtowskiego odwartościowania (*Entfremdung*) swej twórczości”. To się tak nie nazywa ani po polsku, ani po niemiecku. *Die Entfremdung* oznacza: oziębłość, obojętność, wyobcowanie. Brecht mówił o „obiektywnej dialektyce”, uzyskiwanej, jak się zdaje, przez tak zwany „efekt obcości”: *Verfremdungseffekt*. Pomińmy inne kwiatki.

Nie wyobrażam sobie, żeby było sprawą łatwą, szczególnie na emigracji, redagowanie pisma poświęconego poezji. *Oficyna Poetów* zdecydowała się — albo tak też wyszło — na szeroką tolerancję i eklektyzm. Nic w tym złego. Ale eklektyzm — i pożyteczny i konieczny w kulturze — nie może być zastarzały. Każde pismo — chyba szczególnie pismo poświęcone poezji — powinno mieć swoją linię. Swoją kierunek napaści, swe pole aprobaty. Powinno orientować o tym, co dzieje się aktualnie w poezji, nie tylko polskiej, ale także światowej. Czytając *Oficynę* odnosi się wrażenie, że równie dobrze mogłaby się ukazywać — w swojej dzisiejszej postaci — trzydzieści lat temu w Toruniu. Rozumiem, że *Oficyna* pragnie być owym ogniskiem rozpalonym w połowie drogi, przy którym grać się będą po społu pisarze krajowi i emigracyjni. A także pokolenia: Brzękowski z Różewiczem, Czerniawski z Lipską, Pankowski z Andrzejewskim i Markiem Nowakowskim. Ale to „kochajmy się” nie może być jedyną normą pisma. W praktyce — nie politycznej, lecz estetycznej — sprowadza się to do drukowania przypadkowych wierszy, fragmentów próz i dramatów przypadkowych autorów. Niektórzy z nich są dobrzy. Inni, przytłaczająca większość, bardzo mierni.

Konsekwencją braku kryteriów jest także staczenie się pisma w „rodzinną”, grzęźnięcie w atmosferze — i stylistyce — typowej dla towarzystw wzajemnej adoracji. W większym jak się

wydaje stopniu niż każde pismo literackie jest na nie skazane. W *Oficynie Poetów* nawet tak fachowy krytyk jak Alicja Lisiecka przyrównuje Mariana Pankowskiego do Schulza, Joyce'a i Leśmiana, choć ten — to mój prywatny, nie literacki osąd — kojarzyć się może najwyżej z Zegadłowiczem. Każde niemal omówienie polskiego pisarza, jakiegokolwiek rangi, zaczyna się od martyrologii narodu polskiego, na której tle podziwiać możemy dopiero świetlaną, nieporównaną sylwetkę autora czegoś tam. Jedyny Wit Tarnawski zaczyna swój „Dziennik z lektury” *ad rem*. Na ogólnym panegirycznym tle działa jak ożywcza kąpiel — może zaściankowa, ale pełna pasji — polemika Łobodowskiego z Laksem... o dobre maniery. Bo to nie zaściankowość razi — wszystko jest zaściankiem z perspektywy innego zaścianka — ale nadęta, obolała prowincjonalność mizdrząca się do świata. Przy lekturze kolejnego numeru *Oficyny* przydarzyło mi się, że wziętam utwór literacki na temat śmierci fikcyjnego pisarza za autentyczny nekrolog. Nic dziwnego, skoro zaczynał się on od słów: „Odszedł pisarz, który za życia nie zdobył sobie szerokiej popularności. Z pewnością nie zyska także sławy pośmiertnej. Ale dla szczupłej garstki wielbicieli i przyjaciół Antoni Symonis to nazwisko święte”. Chwalenie swoich (i siebie) nie musi być wadą. Chodzi jednak o miarę, o sposób chwaleń, o język i, *last but not least* — motywację. W jednym z numerów *Oficyny* przeczytałam *Wielki żart* Tymoteusza Karpowicza, wspomnienie o Aleksandrze Połczyńskim. Nie wiem, czy Połczyński był aż tak znakomitym pisarzem, za jakiego uważa go Karpowicz, ale zostałam przekonana, że był to naprawdę wyjątkowy człowiek.

*Oficina Poetów* jest pismem bez poetyckiego programu — to mniejszy grzech, i bez dobrej poezji — to grzech główny. To nie znaczy, że nie można się natknąć na dobre wiersze: Różewicza, Lipskiej, czy — niestety tylko cytaty w omówieniu — Krysiny Bednarczykowej. Ale dlaczego na przykład przez ostatnie półtora roku nie pojawił się ani jeden wiersz Krynickiego czy Barańczaka? Pankowski może być pisarzem kontrowersyjnym, raz lepszym raz gorszym. Ale wiedząc o tym, dlaczego drukować opowiadanie *Lida*, które nie jest kontrowersyjne, tylko starczorotomańskie. Dlaczego — pomimo całej rewerencji — pozwalać Brzękowskiemu opowiadać w kółko to samo, lub drukować opowiadanie A. Tomaszewskiego *Nad Sekwaną*, skoro o żołnierzach polskich i w Paryżu i w Londynie czytaliśmy już sto razy i lepiej. Dlaczego nie wprowadzić działu współczesnej poezji zagranicznej? Dlaczego poświęcać więcej miejsca recenzjom z książek o poezji, niż samej poezji lub recenzjom tomików poetyckich? Dlaczego mieszać na jednej kolumnie starych z młodymi i dobrych ze złymi? Wolna trybuna poetycka nie musi być trybuną byle czego. Dlaczego wreszcie nie przyhamować barokowości języka, rozgadania i nietrafności, przecież nie brak w Londynie speców od polskiego. Dlaczego drukować niesmaczne panegiryki w stylu Łukasza Osińskiego o Igorze Kosteckim? Dlaczego rozmiłowana

w sentymentalnej psychopatologii Barbara Gabrys sasiaduje z Josephem de Maistre? I w ogóle dlaczego aż tyle Francuza, skoro na ten sam temat — relacji sztuka - odbiorca, pisał znacznie ciekawiej (cóż z tego że półtora wieku później) Gombrowicz? Dlaczego pieni się od dat przy nazwiskach, a prawie nigdy nie ma ich przy utworach? Dlaczego nigdy nie wiadomo, czy wiersz Różewicza jest pierwo- czy tylko przedrukiem? To samo dotyczy Andrzejewskiego i Marka Nowakowskiego? Dlaczego wreszcie nie zastąpić bodaj części lamentów polskich, lamentami nad niemniej tragicznym losem wyspy Kreta.

Odmłodzenia (duchowego i intelektualnego) *Oficyny Poetów*, bardziej krytycznego stosunku do tekstów i dalszych 50-ciu numerów, życzy szczerze wbrew pozorom przyjazna,

Janina KATZ HEWETSON

## Abram Terc - rzeczywistość a literatura

### 1. Głos z chóru

Taki to już los pisarzy i intelektualistów rosyjskich, że swoje najlepsze prace pisać muszą na zesłaniu, za kratami, lub w najlepszym wypadku na emigracji. Pod tym względem dzieje twórczej drogi Abrama Terca-Siniawskiego nie są wyjątkiem. Pobyt w obozie był dla niego pracowity nie tylko w sensie fizycznym, ale i umysłowym. Popychanie tacek z opłatkami nie sprzyja oczywiście aktywności intelektualnej, ale w ciągu takich właśnie i temu podobnych zajęć Siniawskij zdołał napisać trzy książki: *Głos z chóru*<sup>1</sup>, *Przechadzki z Puszkinem*<sup>2</sup>, o których mowa będzie niżej oraz *W cieniu Gogola (W тени Гоголя)*. I jeśli uświadomimy sobie, że te siedem lat (zwolniony o ile dobrze pamiętam po sześciu latach za „dobre” zachowanie się) wymierzono mu nie za działalność polityczną lecz literacką, za prawo do własnego osądu sztuki, to pasja dla tej ostatniej i samozaparcie w obronie jej wartości mogą tylko budzić szacunek i podziw. Wydaje mi się, że dopiero wymienione prace utwierdzają pozycję Siniawskiego jako najwybitniejszego współczesnego eseisty rosyjskiego.

1. A. Terc, *Głos iz chora*. London, Izdatelstwo Stenvalley, 1974, str. 339.

2. A. Terc, *Progulki z Puszkinyim*. Overseas Publications Interchange in association with Collins, London, 1975, str. 178.

*Głos z chóru* jest książką niezwykłą. Już określenie jej gatunku sprawia trudności. Pamiętnik? Nie. Dziennik? Też nie, bo nie mamy tu do czynienia z kronikarskim odnotowywaniem wydarzeń. Z tej książki nikt się nie dowie jak wygląda dzień łagiernika, jego, że tak powiem, życie materialne. Wydaje się, że najbliższe prawdzie i najbardziej adekwatne będzie określenie *Głosu z chóru* jako symfonii literackiej. Jej osobliwością jest wielogłosowość. Polifoniczność, o której Bachtin pisał w związku z Dostojewskim, posunięta tu jest do skrajności i urzeczywistniona nieco inaczej. Twórcą tej książki jest zbiorowość, mikroświat łagru. Oczywiście kryje się za tą konstrukcją ręka twórcy, ale „dopuszcza on do głosu” autentyczne choć bezimienne postacie. Jego własny „głos”, pomimo że odgrywa rolę przewodnią, przeplata się ustawicznie z „głosami” innych. Dlatego „fantastyczny świat” Abrama Terca jest rzeczywisty, ale i trudny do określenia tematycznie. Wielogłosowości odpowiada tu wielość tematyczna. Urywane zdania, luźnie wypowiedziane myśli układają się w pewne szeregi tematyczne, z których najważniejszymi są sztuka, religia, mitologia, kultura, przyroda, etnologia, folklor itd. „Opowiadać o Awwakumie nie jest możliwe: on sam o sobie wszystko opowiedział”... (str. 36) — pisze Terc. To samo da się powiedzieć i o nim samym. Nie jest jednak rzeczą trudną do zauważenia, że główny tok zainteresowań autora kieruje się ku sztuce i literaturze w szczególności. Sołżenicyn nazwał literaturę „pamięcią narodową”. Pozostaje to w zgodzie z bogatą w Rosji tradycją społecznikowską. Siniawskij jest bliski temu określeniu kiedy porównuje sztukę do instynktu samozachowawczego właściwego jednostce, narodowi, ludzkości. Ale definicja Siniawskiego jest zarazem szersza i węższa. Szersza, bo obejmuje ludzkość; węższa — bo w ostatecznym rachunku funkcję sztuki upatruje w ujawnianiu krańcowych punktów egzystencji człowieka: jego początku (urodzin) i końca (śmierci). Źródła sztuki wywodzą się z najbardziej osobistych pokładów jednostki i aby nie pozostało żadnych wątpliwości Terc skwapliwie dodaje, że sztuka dana jest nam „poza programem”. Jej moc przekształca nawet swego przeciwnika — śmierć — w sojusznika. Sztuka nie tylko daje świadectwo ludzkiej kondycji, ale i sama staje się obiektem godnym kultu i poświęcenia; nie tylko odzwierciedla człowieczeństwo, ale i inspiruje je. I czyni to nie dlatego, że jest ideologią, ale dlatego, że pozostaje do człowieka w relacji bezpośredniej.

Jak wiadomo, Siniawskij broni apolityczności swego zawodu czy powołania pisarza, krytyka, eseisty. W wywiadzie udzielonym redaktorowi duńskiego radia P. S. Moellerowi (27. I. 1978), oświadczył, że stoi poza partiami. Swoje wystąpienie z *Kontynentu* uzasadnił tym, że pismo jest zbyt jednokierunkowe i jednostronne (trochę to dziwny zarzut, jeśli przypomnimy, że na łamach tego periodyku drukowano kardynała Mindszenty'ego i Z. Mlynar'a). Wydaje się jednak, że autorowi *Głosu* trudno będzie zachować nieskazitelną szatę apolityczności. Jego aktywność literacką określa bowiem i konkretyzuje nie tylko subiektywna inten-

cja, ale i pewien kontekst polityczny i społeczny, krótko mówiąc — odbiorca. Przecież po przeczytaniu *Głosu z chóru* mimowoli chce się wykrzyknąć „Boże, jakież to łatwe i proste!”. Tzn., jak łatwo jest ofiarować sześć lat życia za to, aby być sobą, aby móc myśleć to co się chce i mieć odwagę przyznać się do tych myśli. Ani słowa skargi! Tej siły moralnej nie dostrzegł z pewnością cenzor, który przepuszczał listy wysyłane dwa razy w miesiącu do żony. Promieniuje z tej książki powaga i przeświadczenie o słuszności przyjętej postawy. *Głos z chóru* zaliczyć trzeba do tzw. literatury dokumentalnej. Daje on świadectwo wielkiej siły duchowej autora i zbiorowości czyli tych „głosów”, które stały się współtwórcami dzieła. W tym właśnie dostrzegam zasadniczą wartość tej książki. Dorzucmy jeszcze Siniawskij nie tworzy alegorii. Alegorie literackie na temat komunizmu, postępowanie się językiem Ezopa w celu ujawnienia jego okropności stały się dziś rzeczą dosyć powszechną. Alegoryczne czy niealegoryczne, dzieła takie wyrażają, jak słusznie pisze M. Broński w związku z *Nierzeczywistością* Brandysa, „nudę i szarość komunizmu”, skłaniają do smutnego pytania: „co nam zostało z tych lat?”. Siniawskij jak gdyby komunizmu w ogóle nie dostrzega. Charakterystyczne, że całkowicie pomija milczeniem oprawców. O czymże tu pisać? To ich świat jest nierzeczywisty i sztuczny. A więc autor stara się dotrzeć do nowych i oryginalnych wartości *wbrew* dławiącej sile ustroju. Swe refleksje snuje z własnego, bardzo subiektywnego świata przeżyć, posługuje się tworzywem najbardziej dla literatury odpowiednim — człowieczeństwem.

## 2. Dlaczego lubimy Puszkina?

We wspomnianym już wyżej wywiadzie radiowym Siniawskij określił swe postępowanie badawcze jako „naukę fantastyczną”. Do każdego tekstu, niech nawet i dobrze znanego, przystępuje on tak, jak gdyby czytał go po raz pierwszy; polega to na tym, że autor przedstawia rozmaite człony lub zdania utworu, obraca i przekręca w tekście wszystko co się da, słowem dokonuje na nim najbardziej nieprawdopodobnych operacji. Postawa taka pozwala ujawnić nieznanne i nawet niespodziewane aspekty tekstu, prowadzi do tego co Siniawskij nazywa „realnością fantastyczną”, za którą — jak sam się przyznaje — zawsze tęsknił i którą znalazł ostatecznie w obozie koncentracyjnym.

Dobłą ilustracją tej postawy jest studium literackie pt. *Przechadzki z Puszkinem*. Czegóż w tej krótkiej książeczce autor dokonuje? Otóż odwraca głęboko zakorzoną w literaturoznawstwie sowieckim tezę o Puszkynie jako realisście i pasuje autora na prekursora awangardy. Siniawskij nie wypowiada tej tezy wprost, ale wyczuwa się ją zarówno w doborze analizowanego materiału jak i jego interpretacji. Znaną skłonność Puszkina do

opisywania przedmiotów rozpatruje krytyk nie jako przejaw realizmu, lecz uznaje ją za znak nowoczesności: pod piórem tego poety wszystko nabiera cech niezwykłości, służy nie „przedstawianiu” czy „odzwierciedlaniu” lecz czarodziejskiej mocy samej poezji. Dlatego Puszkina „przedmiotowość” jest powierzchowna: traktowana jako tworzywo artystyczne przysławia beztreściowości czy bezprzedmiotowości tej poezji. Puszkina myśliciel — zapytuje Siniawskij? Jakież z niego myśliciel?! I dodaje z przekorą: pustka — oto co jest zawartością tej poezji. Poezja była dla Puszkina zabawą. Stąd jej lekkość i łatwość w chwytności, przelotnie i po dyletancku, nazwano później realizmem.

Inny znany poeta rosyjskiego romantyzmu, Batuszkow, napisał kiedyś, że pierwszą zasadą poety powinno być: żyj jak piszesz i pisz jak żyjesz. Terc wątpi czy Puszkina podpisałby się pod tą formułą; przeciwnie, Puszkina sądził, że poeta żyje zupełnie nie tak jak pisze, a pisze nie tak jak żyje. To dalszy krok na drodze unowocześniania poety rosyjskiego. Bo cóż ta teza może w swej rozwiniętej postaci oznaczać jeśli nie to, co wypowiedział w latach dwudziestych Ortega y Gasset w słynnej rozprawie o dehumanizacji sztuki, a mianowicie, że prawdziwy twórca nie pogrąża się w rzeczywistości, nie poddaje się zaciskowi jej wielostronnych przejawów, lecz przeciwnie — zachowuje do niej jak najdalej idący dystans. Jakież są dalsze cechy Puszkina dzieła, które przybliżają je współczesnemu czytelnikowi? Wymienimy je w skrócie. Fragmentaryczność tej twórczości (np. *Eugeniusz Oniegin*), jej dygresyjność; erotyka. Puszkina wszedł do literatury na cieniutkich erotycznych nóżkach — powiada Siniawskij.

Na jakich przesłankach teoretycznych buduje Siniawskij swój sąd o Puszkinie? Jedno rzuca się w oczy od razu, a mianowicie całkowite odejście od motywacji socjologicznej. Autor doszukuje się źródeł osobliwości tej poezji w biografii poety, w jego usposobieniu i charakterze. Wiara w los, rola przypadku — oto co naprawdę fascynowało wielkiego poety; jego poczucie wielkości jako twórcy pokrywało się z silnie rozwiniętym poczuciem odrębności rasowej. Puszkina, jak zapewnia nas Siniawskij, był niezwykle dumny z faktu, że w jego żyłach płynie domieszka krwi afrykańskiej. To wyodrębniło go ze środowiska arystokratycznego, przysparzało egzotyczności, zbiegało się z istotą i rozumieniem poezji jako czegoś niezwykłego. Przez swego przodka, Hannibala, poczuwał się do związków z Piotrem Wielkim. „Od Murzyna droga wiodła ku samowładcy”. Paralelizm pomiędzy carem, który otworzył nową epokę w dziejach Rosji a poetą, który stoi u kolebki nowej literatury rosyjskiej nie został należycie oceniony przez badaczy, a tymczasem odgrywa on doniosłą rolę w całej twórczości Puszkina i jest szczególnie widoczny w takich utworach jak *Jeździec Miedziany* i *Połtawa*.

Muszę przyznać, że po lekturach rozmaitych rozpraw strukturalistyczno-semantyczno-statystycznych, które zalewają dziś stro-

nice czasopism i wydawnictwa, książka Siniawskiego działa jak powiew świeżego powietrza. Dlatego jego biografizmowi chce się przyklasnąć. Nie ujmuje on tzw. naukowości wywodów, a z pewnością rzuca nowe światło na wiele aspektów twórczości Puszkina i przyczynić się może do głębszego wyjaśnienia takiego np. problemu jak współzależność między tradycją a innowacją w literaturze. To chyba wielki strukturalista czeski Jan Mukařovský zauważył, że właściwie jest to obojętne czy ktoś jest strukturalistą czy nie — chodzi o to, aby jego sposób myślenia odpowiadał wymogom chwili. I miał rację.

Jeśli cokolwiek może wywołać polemikę z pracą Siniawskiego, to właśnie owe przypinanie Puszkina przysłówiowego już dziś „buta w butonierce” — symbolu awangardyzmu. Recepcja literacka tego poety nie potwierdzałaby tej tezy. W przelomowym dla literatury rosyjskiej okresie rozpoczynającym się wraz z pojawieniem się dekadentyzmu i symbolizmu, „ten drugi”, tzn. M. Lermontow przeżywał prawdziwy renesans (wyrażna analogia z kultem Słowackiego w okresie polskiego symbolizmu), dość dużą popularnością cieszyli się F. Tiutczew i A. Fiet (ciekawe są pod względem uwagi Olgi Iwinskij wypowiedziane w wydanej niedawno przez „Fayard” książce *W plenu wriemieni. Gody s Borisom Pasternakom*, 1978). Recepcja Puszkina w przeszłości i argumenty Siniawskiego to jednak dwie różne sprawy. Po prostu Siniawskij dostrzegł to czego nie dostrzegli inni i w ostatecznym rachunku trzeba mu to zapisać na plus. Należy podkreślić, że autor *Przechadzek z Puszkinem* demonstruje rzadko spotykaną pomysłowość w posługiwaniu się tekstami Mistra, zaskakuje bystrością spostrzeżeń i zachwyca istic Puszkina lekkoscia narracji. Walory te sprawiają zapewne, że w dorobku dwuwiecznej Puszkiniologii niewielka książeczka Terca-Siniawskiego pozostanie wartoscia trwala.

Edward MOŻEJKO

## Monografia Polonii Kanadyjskiej

Polska grupa w Kanadzie doczekała się nareszcie swojej historii w języku angielskim w postaci książki\*, która wyszła jako jedna z pierwszych monografii poświęconych narodowościom,

\* Radecki Henry with Heydenkorn Benedykt, *A Member of a Distinguished Family, The Polish Group in Canada*, Mc Clelland and Stewart, Toronto, 1976, 10 ndl.+240 str.

składającym się na ludność Kanady. Historię tę zawdzięczamy nowemu spojrzeniu na pluralizm etniczny, który uchodzi obecnie już nie za siłę odśrodkową rozsadzającą spójność kraju, ale za element wzbogacający różnorodność i jest źródłem dumy. Monografie te mają nadto za zadanie nadrobić zaniedbania wynikłe z dotychczasowego monopolizowania historii politycznej i ekonomicznej przez Kanadyjczyków pochodzenia brytyjskiego i francuskiego.

Ponieważ istniejące wśród poszczególnych grup opracowania cechowała daleko idąca taryfa ulgowa, brak szerszej perspektywy oraz podejścia naukowego, pozycje zamówione przez Ministerstwo Stanu miały za cel ogarnąć przedmiot możliwie pełnie, zarysować tło historyczne migracji, pokazać proces osiedlenia i przystosowania, zrobić sondaż tożsamości etnicznej, zająć się religią, przyrządkować się wartościom, zatrudnieniu, prasie, językowi, życiu politycznemu, oświacie, stosunkom z innymi grupami. Jednocześnie autorzy mieli odsonić od wewnątrz prawdziwe oblicze swych grup.

Po krótkim rzucie ogólnym na proces emigracji polskiej do Kanady, autorzy przeszli do omówienia jej etapów. W pierwszej fazie na ziemi kanadyjskiej znalazły się jednostki, które dzięki swej żywotności nie utonęły wśród masy mieszkańców a wybiwszy się zachowały polskie brzmienie nazwisk, np. lekarz wojskowy A. Globenski — w 1776, czy przybyły przez Stany Zjednoczone w 1842 najwybitniejszy Kanadyjczyk polskiego pochodzenia, sir Casimir Gzowski, inżynier i przedsiębiorca. W 1858 zjawiała się pierwsza grupa Kaszubów uchodzących przed *Kulturkampfem*, by zasiedlić okolice Barry's Bay niedaleko Ottawy. Masowa imigracja nastąpiła po 1895 i została przerwana przez wybuch Wojny Światowej. Wedle statystyk 116 tysięcy Polaków, głównie z zaboru austriackiego ale także z Kongresówki i zaboru pruskiego osiedliło się w Kanadzie przed 1915. Był to nieomal wyłącznie proletariats wiejski, element pracowity, uczciwy i oszczędny. Osiedlił się w prowincjach preryjnych. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości natężenie emigracji zmalało do połowy. Przyhamowały ją ponadto lata depresji. Za czwartą falę uchodzą imigranci po ostatniej wojnie. I tak w latach 1945-56 do tysiąca inżynierów i techników sprowadzonych do przemysłu lotniczego w czasie wojny dołączyło 64 tysiące wśród których było wielu ludzi wykształconych i wykwalifikowanych. Byli oni na ogół młodzi, przeważnie mężczyźni, znali trochę język. Niektórzy mieli oszczędności. W czasie następnych piętnastu lat przyjechało dalszych 31 tysięcy: emigranci z innych krajów Zachodu, osoby ściągnięte w ramach akcji łączenia rodzin oraz uciekinierzy z Polski. Celem nowszych fal emigrantów były miasta a z prowincji, Ontario.

Okres przystosowania dla pierwszych fal był trudny. Wyobrażenie krainy mlekiem i miodem płynącej nie znalazło odbicia w rzeczywistości a warunki ekonomiczne i dyskryminacja dawały

się we znaki. Nie załamawszy się przetrwali przezwyciężając odosobnienie i osamotnienie przez zakładanie organizacji czy to związanych z parafią czy też świeckich, dla doraźnej potrzeby zabezpieczenia życia i majątku, dla celów rekreacyjnych czy oświatowych. Z wyjątkiem kilku liczebniejszych, organizacje te to były jednostki niewielkie. Fala z lat czterdziestych dodała do istniejących Stowarzyszenie Polskich Kombatantów i odbudowała harcerstwo. Z czasem zaczął się kurczyć stan posiadania języka polskiego, którym posługuje się obecnie tylko 40%. Do tego przyczyniło się nieprzywiązywanie większej roli do wykształcenia, dyskryminacja oraz wpływ szkoły kanadyjskiej. Zakładane szkoły tylko częściowo zdołały proces ten przyhamować mimo napływu fachowych sił i założenia Związku Nauczycielskiego. Autorzy zanotowali np. spadek dzieci uczęszczających do polskich szkół sobotnich z 5 tysięcy w 1965 do 3.600 w 1972/73. Zjawisko notowane w innych krajach, że trzecie pokolenie nawraca do świadomości swej tożsamości etnicznej w Kanadzie nie zachodzi. Dużą rolę w podtrzymywaniu polskiej świadomości odgrywa prasa polonijna. Ona jest barometrem sytuacji a jej los zdaje się zależeć od dopływu świeżych imigrantów.

Statystyka wykazuje, że 71% Kanadyjczyków polskiego pochodzenia jest wyznania rzymsko-katolickiego. Większe skupiska Polaków od początku budowały kaplice i kościoły obsługiwane przez polskich księży. O ile w 1938 były 172 polskie parafie i misje i 72 księży na 160 tysięcy Polaków, to w 1973 na 316 tysięcy było 100 księży ale tylko 75 parafii z czego czysto polskich — 20. Ponieważ parafie są ostoją polskiej kultury i tradycji, ich los związany jest z przyszłością grupy polskiej. Przed wojną emigranci polscy składali się głównie z rolników, robotników rolnych i służby domowej. Po wojnie przyjechali fachowcy różnego rodzaju. Jeżeli dodać drugie i trzecie pokolenie urodzone już w Kanadzie, to teraz w rezultacie pokaźny odsetek Polaków znalazł się w rzemiośle, w wolnych zawodach, wśród przedsiębiorców i kupców. Awans społeczny niekoniecznie następuje po awansie ekonomicznym. Grupa polska trawiona jest wieloma antagonizmami natury dzielnicowej, pokoleniowej czy biograficznej, wyznaniowej i politycznej. One to, zdaniem autorów, powodują znaczne osłabienie Polonii Kanadyjskiej, która trwoniąc energię nie potrafi odegrać znaczącej roli w przybranej ojczyźnie. A szkoda, bo z wielu powodów Kanada nie stworzyła jednolitej kultury, w którą wtapiałoby się nowoprzybyli. Współżycie Brytyjczyków i Francuzów z czasem spowodowało tolerancję odrębnych cech a nawet koncepcję wielokulturowości zachęcającą grupy narodowościowe do pielęgnowania swej tradycji i języka, choć najczęściej zachowały się jedynie elementy folklorowo-gastronomiczne.

Ostatni rozdział książki zastanawia się nad przynależnością do Polonii kanadyjskiej. Kogo ona obejmuje? Czy statystyczną liczbę 316 tysięcy osób etnicznego pochodzenia, czy 114 tysięcy używających tego języka? A może tylko kilka tysięcy osób zrzeszo-



nych w organizacjach i działających na polu kultury polskiej? Obywatelstwo oczywiście nie jest żadną wskazówką, bo w 1961 obywatelstwo kanadyjskie posiadało 90% polskiej grupy. W tej sytuacji autorzy rozróżnili pięć kategorii. Po pierwsze, są Polacy w Kanadzie, ludzie mieszkający tymczasowo, pragnący wrócić do Polski.

Polscy Kanadyjczycy, urodzeni i wychowani w Polsce, przywiązani do polskiej kultury, którzy świadomie przyjęli Kanadę za nową ojczyznę dla siebie i swoich dzieci. Kanadyjczycy polscy, to ludzie dobrze wrośnięci w środowisko i potrafiący polskość i kanadyjskość z sobą godzić. Czerpią z obu kultur i także się dobrze czują w kanadyjskich organizacjach. Kanadyjczycy polskiego pochodzenia tu urodzeni, liżą języka polskiego w domu, niekiedy i w szkole sobotniej ale sprawia on już trudności. Młode pokolenie wyszedłszy z domu oddala się od polskich organizacji i kultury polskiej. Wreszcie pozostaje grupa Polaków statystycznych, kwalifikowanych nadal jako etnicznie wywodzących się z Polski. Woleliby oni być uznawani za Kanadyjczyków i mają mgliste co najwyżej pojęcie o swoim pochodzeniu.

Wybór autorów polskiej monografii nie mógł być szczęśliwszy. Rozległa wiedza red. Benedykta Heydenkorna, jego rozumienie procesów społecznych oparte na kilkudziesięcioletniej bystrej obserwacji i praktyce w samym zarzewiu polonijnych spraw, jego wnikliwa inteligencja i ogromna pracowitość w zespoleniu z młodym entuzjazmem nowokanadyjskiego naukowca, Henryka Radeckiego, wykładowcy socjologii na uniwersytecie torontońskim w rezultacie wyrobiły kanadyjskiej Polonii papiery pełnoletności, paszport i legitymację wobec Kanadyjczyków innego pochodzenia.

Książkę czyta się jednym tchem. Osiągnęła swoje zadanie: ukazać, jak w ciągu stu lat Polacy w Kanadzie z ludzi upośledzonych, ledwo tolerowanych i zadawałających się bytowaniem na najniższych szczeblach drabiny społecznej, stali się zasobną grupą rozwijającą się w obecnej atmosferze zrozumienia, jeżeli nie całkowitego nieomal równouprawnienia. Przeszkody obiektywne należą w dużej mierze do przeszłości: odtąd miarą osiągnięć może być własna przedsiębiorczość i talent. Autorzy sami przyznają się do niezbędnych opuszczeń i skrótów. Brak np. oceny działalności politycznej, bo politycy polskiego pochodzenia (z wyjątkiem min. S. Haidasza) dopiero zaczęli swoją pracę i nie czas jeszcze na wnioski. Są to sprawy tak świeże, że nie wiadomo, co już jest historią a co teraźniejszością. Niemniej książka jest znakomita. Kilka tysięcy sprzedanych egzemplarzy świadczy, że wnet rozejdzie się nakład.

Monografia ozdobiona jest zdjęciami, licznymi mapkami i tabelami. Bibliografia i indeks czynią z niej podstawowe narzędzie dla każdego, kto będzie chciał zorientować się w historii i sytuacji Polonii kanadyjskiej.

Florian ŚMIEJA

## Krajowe nowości wydawnicze

### OBECNY KSZTAŁT LITERATURY POLSKIEJ

Ileokroć piszę tytuł dzieła „Krajowe nowości wydawnicze” budzą się we mnie wątpliwości wsparte uwagami krytycznymi kilku czytelników. Skoro jestem głęboko przekonana o tym, że „literatura polska” nie zna podziałów geograficznych ani politycznych, kwalifikowanie książek jako „krajowe” albo „emigracyjne” opiera się w praktyce na kryterium tak w gruncie rzeczy drugorzędnym jak miejsce druku.

Wątpliwościom tym dałam wyraz z przedmowie i pierwszym rozdziale moich „Szkiców o literaturze emigracyjnej”. Oddając je do druku w lutym 1977 nie zdawałam sobie sprawy z tempa zmian dokonujących się w tej dziedzinie. Lata 1977-78 zaczynają wybijać się jako okres, w którym nastąpiło (a przynajmniej zarysowało się wyraźnie), parafrazując Stefana Kisielewskiego, „materii pomieszanie”.

Wyraża się ono przede wszystkim wyraźnym włączeniem się pisarzy krajowych do produkcji wydawniczej placówek emigracyjnych. Sporadyczne przykłady zdarzały się i wcześniej. Przypomnę dla orientacji wydane w Bibliotece Kultury pod własnym nazwiskiem książki Władysława Bieńkowskiego albo ostonięte pseudonimem powieści „Tomasza Stalińskiego”. Albo: wiersze poetów krajowych drukowane w *Oficynie Poetów* czy *Wiadomościach*. Były to jednak odosobnione wyjątki od reguły, pociągające za sobą represje władz w stosunku do wyłamujących się z ram cenzury krajowej autorów (tu przypomnę casus Kazimierza Orłosa). Obecnie wypadków druku „bez cenzury” jest tyle, że w produkcji książkowej Emigracji tworzą pokazną grupę.

W wydanej przed kilku miesiącami w Warszawie książce Zbigniewa Irzyka pt. *Królestwo literatów*<sup>1</sup> autor biada nad współczesną literaturą polską, oskarżając pisarzy o brak ambicji moralnej, łatwość zgody na zmiany, „rozluźnienie samokontroli”, kompromisowość i zmienność poglądów („etapowość”), „oportunistyczną akceptację wszystkiego”, „przedwczesne zawodowstwo”, „wszystkoznacność” pretendującą do „wieloznacności” itp. Jednym z dalszych a licznych zarzutów jest oskarżenie pisarzy o „staranne odizolowanie od wszystkiego co ważne i znaczące w naszym życiu”, o unikanie samodzielnych ocen i tchórzliwą rezerwę i dwuznaczność wypowiedzi publicznych.

Godząc się z większością zarzutów Irzyka, trudno powstrzymać się od uwagi, że dotyczą one współczesnej literatury polskiej

1. Zbigniew Irzyk, *Królestwo literatów*. Szkice literackie. Warszawa, Pax, 1978, str. 142.

zweżonej do produkcji wydawniczej poddanej ingerencji cenzury. Ilościowo jest to niewątpliwie pasza objętościowa używana do karmienia czytelnika masowego. Zarzutu braku odwagi cywilnej, odejścia od „wierności samym sobie” i przypominającej Żeromskiego żarliwości nie można postawić żadnemu z pisarzy zdobywających się na publikowanie swych utworów w *Zapisie, Opinii, Spotkaniach, Pulsie* — pismach wydawanych bez cenzury w małych nakładach rozchodzących się jednak szeroko jak prasa podziemna w latach okupacji. Skargi na przerwanie ciągłości tradycji błędna, gdy się popatrzy na półkę z nowościami, na której sąsiaduje obok siebie Tadeusz Konwicki, Kazimierz Brandyś, Wiktor Woroszyński, Stefan Kisielewski i poeci Barańczak, Bierezin, Krynicki, Sułkowski.

Ograniczenie współczesnej literatury krajowej do repertuaru „Nowych Książek” z pominięciem wspomnianej wyżej kategorii wydawnictw jest poważnym zwięzieniem rzeczywistego jej obrazu. Nie na tym koniec. Do literatury krajowej zaliczane były do niedawna książki pisarzy, którzy zmuszeni byli do opuszczenia Kraju a dziś są przemilczani na równi z emigracyjnymi, a więc np. Grynberg, Tyrmand, Wirpsza, Wygodzki i wielu innych. Owo „wielu” nie jest tu pustym słowem. To, co Irzyk obejmuje zakresem swych rozważań to tylko bezgłowy kadłub literatury wypchany produkowaną „na ilość” „chałturą”, książkami rocznicowymi i okolicznościowymi pisanymi na zamówienie oraz naśladownictwami zagranicznej mody. „Jak w żurnalu mód”: pod egzystencjalizm, antypowieść, „mały realizm”, strukturalizm, pseudoludowość, stylizację na *fin de siècle*.

Wmyślenie się w ów ponury obraz literackiej rzeczywistości krajowej, owego „królestwa literatów” (a literat znaczy tu mniej od pisarza) nasuwa dalsze uwagi. W niedawnej rozmowie ze znajomymi z Kraju na moje zapytanie o znajomość literatury emigracyjnej usłyszałam: „Ależ tak! Czytamy masę, tyle się u nas tego teraz wydaje...” — „????” — „No tak. Czytamy Wańkowicza, Kuncewiczową, Pruszyńskiego, Fiedlera, Mackiewicza, Meissnera, Parnickiego, Brzękowskiego, Jantę... Ostatnio — moda na Skamandrytów — Lechonia, Wierzyńskiego, Wittlina... Przecież to pisarze emigracyjni”. Długo musiałam tłumaczyć powody utaskawienia poszczególnych autorów: że zmarli, że wrócili, że od Emigracji odeszli. I że np. Gombrowicz znany jest albo z przedwojennych utworów i ich wznowień (zresztą wyczerpanych od dawna) albo z przemyconych wydań paryskich. Że to samo, w wyższym nawet stopniu, odnosi się do Miłosza i małą jest pociechą, że w powielanym wydaniu samizdatowym ukazał się np. „Traktat poetycki”. Tym niemniej pewien procent literatury emigracyjnej przeniknął w tej formie do Kraju.

Nie można pominąć też pojawiających się ostatnio coraz częściej książek pisarzy przebywających poza Krajem i współpracujących z pismami emigracyjnymi, których książki o tematyce naukowej lub „neutralnej” ukazały się ostatnio w Kraju lub są zapowiedziane na bliską przyszłość (np. przekłady klasyków

Wieniewskiego). Tu zacytować mogę, jako typowe przykłady trzy książki Wiktora Weintrauba („Profesja i profesura”, PIW; „Od Reja do Boya”, PIW i „Rzecz czarnońska”, Wyd. Liter.), Bolesława Taborskiego („Nowy teatr elżbietański”, Wyd. Liter. i przykłady poetów angielskich nadto obszerny „Wybór wierszy”, Wyd. Liter.), Adama Czerniawskiego („Widok Delft”, Wyd. Liter. — tomik wierszy), Mieczysława Paszkiewicza („Zrywając kwiaty w Stabie” — wybór szkiców o stosunku sztuki do poezji) itp. Ten poszerzający się ostatnio margines produkcji krajowej — i emigracyjnej — rozumiany jest w Kraju jako stopniowe rozluźnianie zakazów dotyczących pisarzy przebywających poza Krajem; dla Emigracji nie oznacza osłabienia czy odpywu w tych zwłaszcza wypadkach, gdy autorzy nie wycofują się z życia kulturalnego Emigracji i zajmują jasne stanowisko w odniesieniu do obecnej sytuacji Kraju.

Poszerzona o dwie ostatnio omówione kategorie (i niewątpliwie nimi wzbogacona) współczesna literatura krajowa nie obejmuje w chwili obecnej całokształtu literatury polskiej. Jak w czasach Wielkiej Emigracji ośrodki reprezentujące ją najdobitniej znalazły się poza Krajem, jak magnes przyciągając autorów pragnących wypowiedzieć się swobodnie, bez ingerencji redaktorów, cenzury i wymagań stawianych przez reżym na danym etapie. Tym tłumaczy się jednak zaostrenie rewizji osobistych przy wjeździe do PRL’u, zagłuszanie audycji Wolnej Europy itp. Owa literatura istotnie emigracyjna, wzbogacona posiłkami z Kraju i odmłodzona dopływem nowych fal przybyszów z Kraju, może w ocenach przyszłych historyków literatury wysunąć się na plan pierwszy ze względu na jakość i znaczenie a przede wszystkim jej klimat moralny, oryginalność i autentyczność wypowiedzi. Koniunkturalność znacznego procentu utworów ogłoszonych w PRL’u sprawia, że „datują się” i znikają po krótkim okresie popularności. Stąd zjawisko „spadających meteorów”. Stąd ucieczki z dławiącej swobodę myśli rzeczywistości. Stąd głód książki z wolnego świata, którego wyrazem jest popularność ex-emigracyjnych autorów i rozluźnianie zakazów w stosunku do przebywających nadal poza Krajem.

Z przedstawionego wyżej obrazu wynika trudność delimitacji literatury „krajowej” i „emigracyjnej”. W konsekwencji tytuł „krajowe nowości wydawnicze” staje się niejasny. Zamieniam go (od 1 stycznia 1979) na „Nowości wydawnicze” *tout court*, zamierzając włączać do niego także książki autorów polskich napisane w językach obcych (*polonica*).

#### KOLEKCJONERSTWO

Janusz SOWIŃSKI: *Wędrowki przedmiotów*. Kolekcje i kolekcjonerzy. Wrocław, 1977, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 8°, str. 114.

Intencją autora jest przygotowanie gruntu pod stworzenie Polskiej Federacji Kolekcjonerów i rozbudowę klubów kolekcjonerskich, które „powinny

stać się partnerem odpowiednich władz administracyjno-państwowych w rozstrzygnięciu spraw związanych z gromadzeniem i handlem dziełami sztuki". Autor walczy ponadto z handlowym nastawieniem zbieraczy, traktujących gromadzenie „staroci” jako lokatę oszczędności.

O co najmniej dziwnym nastawieniu autora świadczy pochwała Związku Sowieckiego w związku z rabunkiem Biblioteki Załuskich. Po wyliczeniu cennych dzieł sztuki sprzedanych za granicę w dwudziestolecie czytamy: „Zrozumiałe było więc oburzenie całego społeczeństwa, zważywszy, że jednocześnie czyniono starania o odzyskanie dóbr utraconych w czasie zaborów. Na podkreślenie zasługuje zwłaszcza stanowisko rządu radzieckiego, który realizując postanowienia art. XI traktatu ryskiego przekazał Polsce dobra kulturalne wywiezione z Polski za czasów caratu. Zwrócono m.in. pomnik ks. J. Poniatowskiego i przedmioty wywiezione za czasów caratu z Łańcuta i Zamku Królewskiego w Warszawie, sporo obrazów, 101 gobelinów, stare pieczęcie, medale, monety, armaty, 45 wagonów dzwonów kościelnych, ogromne ilości dokumentów archiwalnych. Umowę generalną w sprawie zwrotu mienia kulturalnego podpisano 16. XI. 1927 roku. Do maja 1928 roku zwrócono 26 arrasów, sztandary i chorągwie, broń (w tym Szezerbiec i broń Jana Sobieskiego), kolekcje numizmatyczne przechowywane w Ermitażu (11,3 tys. sztuk)". Na tym kończy się lista dobrodziejstw szlacheckiego rządu sowieckiego naprawiającego błędy caratu. Autor przemilcza odwrotną stronę medalu: ilość i jakość zrabowanych przedmiotów, które do Polski nie powróciły. Sielankowo rysuje mu się przekazywanie rewindykatów w roku 1927-28, podczas gdy była to walka o każdy numizmat, o każdy rękopis i każdy obraz. Przemilcza sprawę zasadniczego znaczenia i aktualności — zatrzymanie w Kijowie księgozbioru Stanisława August z Zamku Królewskiego i autentycznych mebli z dawnej galerii bibliotecznej. Trudno przypisać to ignorancji. Raczej „duch czasu” i ingerencja cenzury. Albo autocenzury.

#### HISTORIA KULTURY

Tadeusz ULEWICZ: *Wśród impresorów krakowskich doby Renesansu*. Kraków, 1977, Wydawnictwo Literackie, 4<sup>o</sup>, str 299, ilustrowana podobiznami starych druków krakowskich.

Na pierwszy rzut oka uderza wspaniała szata graficzna, jakość papieru, ilustracja, nawet okładki. Na książkę składa się sześć szkiców z historii drukarstwa napisanych tak interesująco i żywo, że czytają je z przyjemnością niefachowcy. Taka np. historia „Marchołta grubego a sprośnego”. Drukował go Hieronim Wietor, wielkie jeśli nie największe nazwisko wśród impresorów podwawelskich. Poznajemy go w niezwykłych okolicznościach. Gdy bowiem zdecydował się przenieść z Wiednia do Krakowa swoją „oficynę” i załadował na furgony ciężkie prasy, czcionki, zapasy papieru i gotowe książki na sprzedaż, po drodze, u celu podróży, blisko Wawelu wozy ugrzęzły w błocie i salwować je pośpieszył Mikołaj Jordan z Jarosława. Wdzięczny Wietor dedykował jego małżonce wspomnianego właśnie „Marchołta”, istotnie „sprośnego”, co świadczy, iż owa dama nie tylko umiała czytać ale i nie bała się frywolnego tekstu książeczki.

Wietor przywędrował do Krakowa z Wiednia. Zdarzały się jednak wędrowni drukarzy z Krakowa w świat. Taki np. Joannes Adam de Polonia — tak właśnie podpisywał się na pięknych drukach wykonanych w Neapolu w roku 1478, choć w rodzinnym jego kraju coś i gdzieś, nieśmiało, i to przy niewątpliwym udziale drukarzy cudzoziemskich, rozpoczynano. Innym przykładem takiego przedwczesnego eksportu kulturalnego jest Stanislaus

Polonus, który wślawił się arcydziełami sztuki drukarskiej w Hiszpanii. Jest coś niezmiernie tragicznego w tych ucieczkach z Kraju — i to w czasach określanych mianem Złotego Wieku. Niemniej kłopotliwą sprawą są fakty, że i Kopernik i Frycz Modrzewski i Jan Zamoyski i Wawrzyniec Goślicki i Hozjusz dzieła swe drukowali na Zachodzie, choć oficyny krakowskie były już w stanie wykonać ich dzieła na dobrym poziomie graficznym. Prof. Ulewicz sygnalizuje ten problem jako zastępujący na przebadanie. Prawdopodobnie o miejscu druku decydowała lepiej zorganizowana sprzedaż książek.

Najważniejszą częścią książki są jej ostatnie strony omawiające stan badań nad historią początków drukarstwa i starą książką polską. Nie przecząc, że wiele zrobiono, bije na alarm, ujmuje sprawę j.n.: najstarsze pokolenie jeszcze przedwojennych badaczy wymiera lub schodzi ze sceny; w pokoleniu określanym mianem „średniego” specjalistów jest niewielu a i ci nieliczni nie są właściwie wykorzystani i tracą czas na prace małej wagi. A młodzi? — ci znów nie znają łaciny. Ten czynnik, pozornie marginesowy, może zdecydować o upadku badań. Złym prognostykiem jest zwolnienie prac nad „Drukarami dawnej Polski od XV do XVIII wieku”, które usnęło po ukazaniu się t. IV-VI — brak trzech pierwszych i najważniejszych, obejmujących Kraków i Małopolskę. Jak pisze prof. Ulewicz „zaległy one odłogiem i po staremu czekają na przysłowiowe miłosierdzie Boskie, czyli że w okolicznościach obecnych czekać jeszcze zapewne muszą długie lata”, mimo istnienia szumnie się nazywających Pracowni i Instytutów.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

## Nadesłane nowości wydawnicze

- BALIŃSKI (Stanisław). *Antrakty czyli notatki o życiu i sztuce w drugiej połowie XX wieku w Londynie*. Str. 216. (Wyd. nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1978).
- ZYNDRA M. KOŚCIAŁKOWSKI (Wacław). *Poloneza czas skończyć*. Str. 208. (Wyd. Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1978).
- TERLECKI (Olgiard). *Wielka awantura*. Str. 151 i 1 nlb. (Wyd. Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1978).
- FRYLING (Jan). *W osiemdziesięciu latach naokoło świata*. Str. 216. (Wyd. Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1978).
- ROMANOWSKI (Władysław). *Zaginiony czas. Powieść australijska*. Str. 192. (Wyd. Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1978).
- MAJCHERCZYK (Julian). *Kropki nadziei. Poezje emigracyjne*. Str. 77 i 3 nlb. (Wyd. Nakładem Piotra Kremera, Paryż, 1978).
- SUBERLAK (Jan). *Wiersze*. Str. 45 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1978).
- STRUŚ (Adam). *Gaudeamus w cyrku cieni czyli opowiadki uniwersyteckie*. Str. 70 i 2 nlb. (Nakładem Autora, Londyn, 1978).
- 1956 — w dwadzieścia lat później z myślą o przyszłości. Str. 157 i 3 nlb. (Wyd. „Aneks”, Londyn, 1978).

- ZAKI (Andrzej). *Ayangay — Polskie odkrycia archeologiczne w Peru*. Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. Polski Uniwersytet na Obczyźnie, Zeszyty Naukowe Wydziału Humanistycznego, Londyn, 1978).
- Rzeczpospolita Podchorążacka nr 16. Listopad 1978 r. Str. 59 i 1 nlb. (powielacz). Londyn, 1978.
- WYRWA (Tadeusz). *La pensée politique polonaise à l'époque de l'humanisme et de la renaissance*. Préface de Pierre Chaunu. Str. 684. (Wyd. Nakładem Autora przy pomocy Centre National de la Recherche Scientifique w Paryżu i Fundacji Lanckorońskich, Paryż, 1978).
- Bibliographie des œuvres de Nicolas Berdiaev*. Opracowała Tamara Klépinine, wprowadzenie Pierre Pascal. Str. 159 i 1 nlb. (Wyd. Institut d'Études Slaves, Paryż, 1978; Bibliothèque Russe tome XLIII).
- Colloque Berdiaev* — organisé par l'Association Nicolas Berdiaev et le Laboratoire de la Slavistique de l'Institut d'Études Slaves, Sorbonne, 12 avril 1975; nr 5 du Bulletin de l'Association Nicolas Berdiaev. Str. 81 i 3 nlb. (Wyd. Institut d'Études Slaves, Paryż, 1978; Bibliothèque Russe tome XLVI).
- DECAUX (Étienne). *Leçons de grammaire polonaise* — Fascicule 1-2. Str. 101-245 i 5 nlb. (powielacz). (Wyd. Institut d'Études Slaves, Documents Pédagogiques XX/1-2; Paris, 1978).
- DECAUX (Étienne). *Leçons de grammaire polonaise* — Fascicule 3-4. Str. 301-500 i 6 nlb. (powielacz). (Wyd. Institut d'Études Slaves, Documents Pédagogiques XX/3-4; Paris, 1978).
- KOTT (Jan). *Shakespeare notre contemporain*. Préface de Peter Brook; tłumaczenie z polskiego Anna Posner. Nowe wydanie sprawdzone przez Autora. Str. 310 i 10 nlb. (Wyd. Petite Bibliothèque Payot, Paris, 1978).
- Persécution soviétique de l'Église en Ukraine*. Str. 66 i 2 nlb. (Wyd. Congrès Mondial des Ukrainiens Libres, Paryż, 1978).
- Ethnocide des Ukrainiens en URSS*. *Le Messager Ukrainien* N° 7-8 — *Printemps 1974* (Publication clandestine d'Ukraine Soviétique) Préface de Alain Besançon. Tłumaczenie z ukraińskiego. Str. 163 i 5 nlb. (Wyd. Editions P.I.U.F., Paris, 1978).
- ŻMUIDZINAS (Jonas). *Commonwealth polono-lithuanien ou l'Union de Lublin (1569)*. Str. 268 i 4 nlb. + mapa. (Wyd. Ed. Mouton, série Interaction — L'homme et son environnement social II, Paris-La Haye - New York, 1978).
- MAREK (Edmond). *Starożytny Rzym w „Quo vadis?” Henryka Sienkiewicza i w twórczości Henry de Montherlant*. (Nadbitka z *Revue des Etudes Slaves* — *Communications de la délégation française au VIII<sup>e</sup> Congrès International des Slavistes, Zagreb (3-9 Septembre 1978)*; tirage à part. Str. 155-162).
- OLSZAMOWSKA - SKOWROŃSKA (Sophie). *Les accords de Vienne et de Rome entre le Saint-Siège et la Russie 1880-1882*. Str. 556. (Miscellanea Historiae Pontificiae nr 43, wyd. Universita Gregoriana Editrice, Roma, 1977).
- MIEŁOSZ (Czesław). *Bells in Winter*. Wiersze tłumaczone na angielski przez Autora i Lillian Vallee. Str. 71 i 3 nlb. (Wyd. The Ecco Press, Nowy Jork, 1978; cena \$US 8,95).
- Association for the Advancement of Polish Studies* — *Bulletin/Newsletter*. Septembre 1978, Vol. III, No 3. Str. 20 (powielacz). (Wyd. Alliance College, Cambridge Springs, Pa.).
- ROZENBAUM (Włodzimierz). *The Anti-Zionist Campaign in Poland, June-December 1967*. (Nadbitka z *Canadian Slavonic Papers*, Vol. XX., No 2, June 1978, str. 218-236; wyd. Canadian Association of Slavists).
- ŚWIĘTOCHOWSKI (Tadeusz). *The Himmüt Party. Socialism and the national question in Russian Azerbaijan 1904-1920*. (Nadbitka z *Cahiers du Monde Russe et Soviétique*, XIX (1-2), janv.-juin 1978, str. 119-152).

- KISIELEWSKI (Stefan). *Polen — oder die Herrschaft der Dilettanten*. Sozialismus und Wirtschaftspraxis. Tłumaczyła z polskiego Eda Werfel. Str. 77 i 5 nlb. (Wyd. Edition Interform AG, Zürich, 1978).
- DROZDZYŃSKI (Alexander). *Das verspottete Tausendjährige Reich*. Witze gesammelt von Alexander Drozdzyński. Str. 220. (Wyd. Droste Verlag, Düsseldorf, 1978).
- Tschechoslowakei 1968-1978*. Dokumente zum 10. Jahrestag der Okkupation durch Truppen von fünf Warschauer-Pakt-Staaten. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. „Initiative 21. August '68”, Helmut Gröger, Wien, 1978).
- KOTT (Jan). *Il diario teatrale di Jan Kott*. Tłumaczenie Maria Ornella Marotti. Str. 145 i 3 nlb. (Wyd. Bulzoni Editore, seria: Biblioteca teatrale 26, Roma, 1978; cena: L. 4.300).
- NIEKRAVOS (Viktor). *Kira Georgijevna*. Powieść. Str. 108 i 2 nlb. (Wyd. Institut d'Études Slaves, Paryż, 1978).
- ETKIND (Efim). *La matière du vers — Matierija sticha*. Książka w języku rosyjskim. Str. 502 i 6 nlb. (Wyd. Institut d'Études Slaves, Paryż, 1978; Bibliothèque Russe tome XLVIII).
- Sowietskije ljudi siegodnia II. 1* — *Żenszczyzna, siemija i robota*. Artykuły wybrane i komentowane przez Alexisa Brelowitscha. Str. 54 (fotokopie). (Wyd. Institut d'Études Slaves, Paryż, 1975; seria „La vie quotidienne en U.R.S.S. prise sur le vif”, série II: dossiers fascicule II. 1).
- Sowietskije ljudi siegodnia II. 2* — *Żyżń sowietskoj dieriewni siegodnia*. Wybór i adnotacje artykułów Michel Niqueux. Str. 124 (fotokopie). Wyd. Institut d'Études Slaves, Paryż, 1978, seria „La vie quotidienne en U.R.S.S. prise sur le vif”, série II: dossiers fascicule II. 2).
- SZAŁAMOW (Warłam). *Kołymskije rasskazy*. Przedmowa Michała Helera. Str. 895 i 1 nlb. (Wyd. Overseas Publications Interchange, Ltd., London, 1978).
- SZACHOWSKAYA (Zinaida). *Rasskazy, statii, stichi*. Str. 227 i 1 nlb. (Wyd. Les Editeurs Reunis, Paryż, 1978).
- GALCZYŃSKI (Konstanti Ildefons). *Zaczarana Koczija*. Wybór i tłumaczenie Petar Vujicicz, przedmowa Tadeusz Różewicz. Str. 181 i 3 nlb. (seria: Biblioteka Svejtski Pjesnici; wyd. IP „Veselin Maslesza”, Sarajewo, 1977).
- LEM (Stanislav). *Glas Gospodara*. Przekład Petar Vujicicz. Str. 173 i 3 nlb. (Wyd. „Jugoslavija”, Beograd, 1978; seria: Biblioteka „Kentaur” — Nauczna fantastika).
- POREMPSKI (Mieczysław). *Ikonosfera*. Z polskiego przełożył Petar Vujicicz. Str. 301 i 3 nlb. (Wyd. Prosveta, Beograd, 1978; seria: Biblioteka Danasnji Svet).
- Letopis Matice Srpske*. Jul-Awgust 1978, Godina 154 — Kn. 422 sw. 1-2. Str. 317 i 7 nlb. (Wyd. Nowy Sad).
- MOŻEJKO (Edward). *Den socialistiske realisme*. En litterær metodes teori og historiske udvikling. Tłumaczenie na duński Ewa Chylinski i Preben Villadsen. Str. 271 i 1 nlb. (Wyd. Gyldendal, Dania, 1977).
- Historiska och Litteraturhistoriska Studier*. No 53. Str. 383 i 1 nlb. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet i Finland, Helsingfors, 1978).
- Savremenik 4*, april 1978. *Poljska književnost*: Vitold Gombrowicz — *Odlomci iz „Dnevnika”*; Roman Ingarden: *Covek i njegova stvarnost*; Vislava Simborska — *Veliki broj*; Zbignjev Herbert — *Gospodni Kogito*; Slavomir Mrozek — *Kratke pripovetke*; Janus Glowacki — *Kasapinove suze*; Julijan Kornhauzer — *Dadisicka poezija zenitista u krugu srpske avangarde*; Adam Zagajewski — *Princeza na zrnu graska*. Str. 307-408. (Wyd. w Belgradzie pod redakcją dr Pavle Zorić; cena zeszytu 20 dinarów).

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

23-10-78

*Życie Gospodarcze* (Warszawa) informuje, że w br. przeznaczono 8 tysięcy mieszkań do sprzedaży za gotówkę. W I-szym półroczu sprzedano niewiele ponad 40 %. Średnia cena metra kwadratowego powierzchni mieszkalnej wynosiła \$ US 95,00. W Warszawie metr kwadratowy kosztuje \$ US 156,00. W I-szym półroczu wpływy dewizowe za sprzedane mieszkania przekroczyły \$ US 2,5 milionów.

1-11-78

PRL ma zbudować tlocznię gazów w ZSSR, a koszty budowy mają zostać sponowane dostawami gazu ziemnego do Polski. Tego typu transakcji jest coraz więcej jak np. budowa rurociągu orenburskiego i połockiego oraz dostawy spycharek wytwarzanych przez „Bumar”. ■ Konto budowy pomnika — szpitala Centrum Zdrowia Dziecka w warszawskim Międzyziesiu przekroczyło 1,5 mld. złotych. Do zebrania tak ogromnej sumy przyczyniła się w pierwszym rządzie ofiarność instytucji, przedsiębiorstw, osób prywatnych z całego niemal świata. W Kraju narasta coraz bardziej fala niepokojących plotek na temat budowy Centrum i wykorzystywania zebranych pieniędzy.

5-11-78

W PRL 600 tysięcy rodzin uprawia ogródki działkowe. W tym roku zebrano w tych ogródkach pół miliona ton ziemniaków. Oczekujących na przydział działek jest jeszcze ponad 300 tysięcy.

6-11-78

60-lecie odzyskania niepodległości Warszawa ustaliła zamiast na 11 listopada br. na dzień 6-go, łącząc te uroczystości z 61-szą rocznicą Rewolucji Październikowej. Na uroczyste posiedzenie Sejmu PRL została specjalnie zaproszona delegacja zarządu głównego Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej. Jednocześnie Rada Państwa PRL odznaczyła Krzyżami Grunwaldu I-szej klasy sowieckich kosmonautów.

10-11-78

W Polsce mówi się o projektach reorganizacji handlu. Projekty te, o charakterze wybitnie drenazowym, idą po linii rozszerzenia metod stosowanych obecnie przy sprzedaży mięsa, tj. komercjalizacji bardziej poszukiwanych wyrobów przemysłowych. Nowy system sprzedaży ma polegać na utworzeniu sieci sklepów dysponujących atrakcyjnymi towarami. Ceny ich mają być wybitnie podniesione, podczas gdy dotychczasowa sieć handlowa ma upłynniać towary przestarzałe, niezbyt poszukiwane przez nabywców. Próbką jest nowy model polskiego Fiata „Polonez”, którego cena wynosi 280.000 zł., a w tzw. sprzedaży ekspresowej — 360.000 zł. Podobna sytuacja dotyczy nowych modeli magnetofonów i adapterów stereofonicznych, odbiorników telewizji kolorowej.

11-11-78

W 60-tą rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości odbyła się w Warszawie wyjątkowa manifestacja, mianowicie po nabożeństwie w Katedrze św. Jana sformowała się wielotysięczny pochód, który wyruszył na miasto i skierował się do grobu Nieznanego Żołnierza na placu Marszałka Piłsudskiego, gdzie złożono wieńce i odśpiewano hymn narodowy. Cały pochód odbył się

bez żadnych incydentów, w bardzo poważnym nastroju. Władze bezpieczeństwa nie interweniowały. Inicjatywa tej manifestacji wyszła z Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, który na szereg dni przed tą rocznicą wydał ulotkę następującej treści:

„Zespół Inicjatywy Obywatelskiej  
uczestników

RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA  
w Warszawie

POLACY!

11 listopada mija 60-ta rocznica odzyskania niepodległości i odrodzenia Rzeczypospolitej Polskiej. Dwudziestoletni, niezawisły byt państwowy stał się dla narodu polskiego wydarzeniem o nieprzemijających skutkach. Chociaż Rzeczpospolita upadła w 1939 roku pod ciosami hitlerowskiej Rzeszy i stalinowskiego Związku Radzieckiego, a dyktat jałtański usankcjonował satelicką zależność naszej ojczyzny od ZSRR — Polska nie umarła. Żyje ona w nas — i żyć będzie wiecznie. Wspólnym wysiłkiem całego społeczeństwa przekreślimy zaborcze wysiłki. Dlatego obchody 60-lecia odrodzenia Rzeczypospolitej powinny stać się wielką manifestacją woli całego społeczeństwa odzyskania WOLNOŚCI I NIEPODLEGŁOŚCI.

W Warszawie 11 listopada o godz. 18.00 w Katedrze św. Jana na Starym Mieście odbędzie się uroczysta Msza święta. Nie powinno na niej zabraknąć nikogo. Po zakończeniu modłów uformuje się pochód narodowy, który przejdzie na plac Zwycięstwa Józefa Piłsudskiego, gdzie złożone zostaną wieńce na Grobie Nieznanego Żołnierza — ku czci i w podziękowanie tym, którzy przed 60 laty życiem własnym płacili za Niepodległość.

Opinia krajowa jest bardzo zaskoczona i rozgoryczona, że tekst tej ulotki nie został nadany przez Radio Wolna Europa, mimo że dostało ono ten tekst na kilka dni przed zapowiedzianą manifestacją. Jeżeli te zarzuty są ścisłe, to potwierdzałyby to nasze obawy, które wyrażaliśmy w rozmowie z p. Zygmuntem Michałowskim, dyrektorem Polskiej Sekcji Radio Wolna Europa (rozmowa zamieszczona w listopadowym numerze *Kultury*). P. Z. Michałowski obiecał wyjaśnić tę sprawę w styczniowym numerze *Kultury*. ■ Zmarła w Warszawie, w wieku 92 lat, znana pisarka Helena Boguszewska, założycielka w latach 30-tych grupy literackiej „Przedmieście”.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

8-10-78

Staraniem Kiermaszu Książki Polskiej SPK w Szwajcarii odbyły się wieczory autorskie Wojciecha Krzyżanowskiego w Zurichu, Marly i w Bernie.

15-10-78

Przy Uniwersytecie Lille III utworzono „Ośrodek studiów i badań nad społecznością polsko-francuską w północnej Francji”. Celem Ośrodka jest stworzenie archiwum i muzeum życia polonijnego dla tego regionu oraz opracowanie dziejów polskiego osadnictwa w departamentach Nord i Pas-de-Calais. Równocześnie prowadzi się badania nad współczesnym życiem kulturalnym społeczności polsko-francuskiej. Zamierzenia nowo powstałej placówki realizowane są we współpracy z Uniwersytetem Wrocławskim, z którym Uczelnia z Lille powiązana jest umowami naukowymi.

21-10-78

W Domu Kombatanta w Paryżu odbył się odczyt płk. Michała Protasewicza pt. „Tajemnice drugiej wojny światowej”.

26-10-78

Telewizja zachodnioniemiecka nabyła prawa do wyświetlenia filmu „Holo-causte”. Na skutek interwencji Związku Polskich Federalistów i Bojowników o Prawa Człowieka w Monachium telewizja usunęła z filmu sceny z żołnierzami polskimi, jako mordercami Żydów z getta.

29-10-78

Rząd Finlandii udzielił azylu politycznego trzem polskim uchodźcom przy-bylił ciężarówką, w której się ukryli. Dwaj z nich już 8 listopada br. otrzymali finlandzkie paszporty dla bezpaństwowców. Zamierzają oni, jak tylko uzyskają zezwolenie, emigrować dalej na Zachód, co jednak obecnie, wobec wyczerpania kwot, jest ogromnie utrudnione.

1-11-78

Nagrodę londyńskich *Wiadomości* im. Damiana Wandycza za najwybitniejszą książkę pisarza polskiego, wydaną na emigracji w 1977 roku otrzymał Stanisław Barańczak za tom wierszy pt. „Ja wiem, że to niesłuszne” (Instytut Literacki, Paryż, 1977). Nagrodę za utwory prozą ogłoszone w *Wiadomościach* w 1977 roku, otrzymał Wojciech Wasutyński, autor „Beczki Danaid”.

8-11-78

W Instytucie Polskim w Londynie odbył się walny zjazd Związku Dziennikarzy. Prezesem został wybrany Waław Netter.

9-11-78

Związek Polskich Federalistów i Bojowników o Prawa Człowieka w Monachium wystosował list do ambasadora Kanady w Bonn protestując przeciwko udzieleniu wizy wjazdowej do Kanady byłemu ministrowi bezpieczeństwa z okresu stalinowskiego, St. Radkiewiczowi. Zaprotestowała również Polonia Kanadyjska.

23-11-78

W Galerie Jean Briance w Paryżu (23-25 rue Guénégaud) wernisaż wystawy Józefa Czapskiego, który jednocześnie będzie podpisywał swoją książkę „La terre inhumaine” (nowe rozszerzone wydanie w języku francuskim). Wystawa Czapskiego będzie trwała do 23 grudnia br.

28-11-78

W Bibliotece Polskiej w Paryżu Towarzystwo Historyczno-Literackie zorganizowało sesję poświęconą 60-tej rocznicy odzyskania niepodległości. Przemówienie wygłosił płk Marian Czarnecki, następnie miał miejsce odczyt prof. Jerzego Monda „Romantyzm i realizm polskiej myśli niepodległościowej”, oraz prof. Daniel Beauvois pt. „L'idée de l'indépendance chez le Prince Adam Jerzy Czartoryski, curateur à Wilno de 1803 à 1824”.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

### WYSTAWA „ZA FASADĄ” W WASZYNGTONIE

Wystawa polskiej prasy i publikacji niezależnych od cenzury odbyła już długą podróż. Start dokonany został w ub. roku w Wenecji a następne kolejne przystanki w tej wędrówce po świecie nastąpiły w Londynie, w Nowym Jorku, gdzie wystawę pokazano naprzód w Polskim Instytucie Nauko-

wym a później we Freedom House w Toronto — w czasie Zjazdu Polonii, w Detroit, San Francisco, Los Angeles i w Columbus w Ohio w czasie Zjazdu Sławistów. Nie istnieje żaden centralny komitet wystawy. Jest ona po prostu podawana z rąk do rąk przez polskie skupiska, przewożona improwizowanymi sposobami przy pomocy organizacji i jednostek, które pokrywają kosztą.

Wystawa „Za Fasadą” doczekała się punktu szczytowego w Waszyngtonie. Szereg instytucji, do których zwracano się z prośbą o udostępnienie jakiegoś kąta na urządzenie wystawy jak Biblioteka Kongresu, Archiwum Państwowe, Meridian House odmówiły — powołując się na przepisy formalne i statutowe. Wówczas to sędziwy przywódca amerykańskich związków zawodowych, George Meany, zdecydował, że wystawa polskich obrońców Praw Człowieka odbędzie się w głównej siedzibie amerykańskich Związków Zawodowych AFL-CIO na honorowym miejscu we wspaniałej lobby ogromnego budynku, w samym sercu Waszyngtonu.

Otwarcia dokonał osobiście George Meany w otoczeniu całego sztabu swoich współpracowników. AFL-CIO jest największym na świecie zrzeszeniem związków zawodowych. Liczba członków sięga 14 milionów. Meany pomimo podeszłego wieku (86 lat) uchodzi za jedną z najwybitniejszych i najbardziej wpływowych osobistości w Stanach Zjednoczonych. W swoim przemówieniu Meany podkreślił, że amerykańskie związki zawodowe udzieliły gościny wystawie „Za Fasadą” pragnąc w ten sposób zmanifestować solidarność z polskimi robotnikami i ich obrońcami oraz poparcie dla ludzi walczących o poznanowanie praw człowieka w Polsce, Związku Sowieckim i w innych krajach bloku sowieckiego. Przywódca AFL-CIO powiedział, że polski ruch wolnościowy tkwiąc korzeniami w polskich tradycjach oporu, zwłaszcza w okresie powojennym, poszedł także za przykładem dysydentów rosyjskich, żydowskich, ukraińskich, litewskich i innych, którzy demonstrując własną odwagę dopomogli innym w przełamaniu bariery strachu. Wystawa, która odbyła się w dniach od 15 listopada do 1 grudnia zorganizowana została wspólnie przez AFL-CIO i cztery polskie organizacje: Północno-Amerykański Ośrodek Studiów Spraw Polskich, waszyngtoński oddział Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, Polsko-Amerykańskie Stowarzyszenie Sztuki w Waszyngtonie i Stowarzyszenie Dziedzictwa Polskiej Kultury w stanie Maryland. Ku oburzeniu polskiej społeczności w Waszyngtonie, która licznie przybyła na uroczystość otwarcia, władze miejscowego Wydziału Kongresu Polonii odmówiły swego udziału. Żadnego oficjalnego wyjaśnienia w tej sprawie nie ogłoszono. Jednakże według obiegających polski Waszyngton pogłosek pałdy przeciwko wystawie argumenty, że jej sponsorami w kraju są byli marksści i że wobec tego opozycja jest sprawą wewnętrznych rozgrywek partyjnych.

W rzeczywistości eksponaty ilustrowały nie tylko działalność KOR-u, ROPCia, oraz Studenckich Komitetów Samoobrony lecz także opór i postawę Kościoła katolickiego. Poza Waszyngtonem wystawa spotkała się wszędzie z życzliwym przyjęciem miejscowych Wydziałów Kongresu Polonii i innych organizacji niepodległościowych. Władze naczelnej organizacji polonijnej w strategicznym miejscu, jakim jest siedziba rządu i władz Stanów Zjednoczonych powinny być lepiej poinformowane o tym, co dzieje się w Polsce.

## KRONIKA AUSTRALIJSKA

Istniejąca od kilku lat w Kanberze, stolicy Australii, komisja zajmująca się porównawczym badaniem poziomu studiów na uniwersytetach zagranicznych (Committee on Overseas Professional Qualifications), wydaje decyzje,

na podstawie których stopnie naukowe uzyskane na niektórych uczelniach są uznawane za równorzędne australijskim stopniom naukowym. Ogłoszony w czerwcu tego roku raport tej komisji zawiera ważne dla Polaków w Australii decyzje dotyczące uznawania polskich stopni naukowych. ■ Wśród młodzieżowych polonijnych zespołów pieśni i tańca w Australii, wyróżniają się najbardziej pod względem poziomu i ilości członków dwa zespoły: „Polonez” w Melbourne, liczący 248 osób oraz „Tatry” w Adelaidzie, obchodzące w tym roku dwudziestą rocznicę swego istnienia. Każdy z tych zespołów ma swoją orkiestrę. Występy odbywają się w dużych salach koncertowych i przy dużej frekwencji (około tysiąca osób). Warte jest podkreślenia, iż zespoły te składają się głównie z młodzieży urodzonej i wychowanej w Australii. ■ We wrześniu obchodzone były w Melbourne uroczystości jubileuszowe 50-lecia w Towarzystwie Jezusowym ks. Józefa Janusa, z inicjatywy którego powstał w Melbourne Dom Dziecka, Dom Sodalicyjny oraz polski kościół — Sanktuarium Maryjne w Essendon. ■ Polska kasa kredytowa w Hobart (stolica stanu Tasmania) dochodzi w depozytach do około miliona dolarów i jest największą polską kasą kredytową w Australii (pozostałe istnieją w Melbourne i Sydney). ■ Walne zebranie Spółdzielni Domu Polskiego im. T. Kościuszki w Melbourne uchwaliło podniesienie sumy na stypendia i dotacje, w preliminowanym rocznym budżecie, o 500 dol., tj. do 1.500 dol. ■ Rozgłośnia Polska Radia Wolnej Europy nadała 26 sierpnia br. półgodzinną audycję o Zbigniewie Jasińskim (który osiedlił się w Australii), jako o najpopularniejszym poecie Powstania Warszawskiego. Główne momenty Powstania zobrazowano w audycji wierszami Jasińskiego (wśród nich głośny „Żądamy amunicji”, mający siedem przekładów na obce języki) oraz fragmentami jego „Pieśni o Powstaniu”. ■ 30 września i 1 października odbył się w Centralnym Domu Polskim w Adelaidzie Zjazd Krajowy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Delegaci Kół SPK w Australii wybrali Zarząd Krajowy z prezesem (ponownie) M. Dobkiem i sekretarzem generalnym (ponownie) J. Misiakiem. Zjazd powołał Komisję dla Spraw Młodzieżowych. SPK w Australii liczy około tysiąca członków. ■ Studentka szkoły filmowej w Sydney, Zofia Turkiewicz, przedstawiła jako swoją pracę egzaminacyjną scenariusz filmowy pt. „Listy z Polski”. Jest to film krótkometrażowy, ujęty jako studium psychologiczne ilustrujące problemy emigracyjne. Film otrzymał drugą nagrodę na festiwalu filmowym w Canberze.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

## KRONIKA KANADYJSKA

W wyborach uzupełniających do Izby Ustawodawczej mandat okręgu Toronto-Parkdale, opróżniony przez przejście dr. Haidasza do Senatu, zdobył kandydat Partii Postępowo-Konserwatywnej Jurij Szymko. Okręg ten jest najbardziej zróżnicowany etnicznie, a grupa polska należy do najliczniejszych. W wyborach samorządowych w tym okręgu trzej Polacy ubiegali się o mandat w Radzie Miejskiej, ale zdobył go Tony Ruprecht, profesor York University, Niemiec urodzony w Łodzi. ■ W Toronto bawił z wizytą u córki, której nazwiska nie podano, Stanisław Radkiewicz, osławiony szef UB do 1956 roku. Pobyt jego ujawnił dziennik *Sun*, zamieszczając równocześnie wypowiedzi i protesty przedstawicieli Polonii. Udzielenie wizy Radkiewiczowi budzi zdumienie. Wydaje się, że władzom zależało na zachowaniu tajemnicy, ale wiadomość przeciekła. I na tym się skończyło. ■ Prasa polonijna przeżywa jeśli nie kryzys, to poważne przesilenie. Dr Roman Buczek, sprowadzony z Londynu, objął w maju 1977 roku *Głos Polski* jako redaktor naczelny. Dwaj współpracownicy Zygmunta Rusinka, który powrócił

do Polski, pp. A. Tomaszewski i Sas-Korczyński rychło opuścili pismo. W październiku dyrekcja prasowa zwolniła p. Buczka ze stanowiska redaktora naczelnego i powierzyła pismo p. Wojciechowi Figlowi, który na krótko przedtem przyjęty został do pracy w redakcji. Nowy redaktor jest młody (urodzony w 1949 roku), studia akademickie odbył w Kijowie w Instytucie Marksizmu-Leninizmu na wydziale filologii. Był starszym asystentem wydziału literatury porównawczej na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Korzystając z podróży służbowej do Jugosławii, z górą rok temu pozostał za granicą. Dyrekcja prasowa była niezadowolona z prowadzenia pisma przez p. Buczka, zarzucano mu, że zbyt ostro i zdecydowanie występował w różnych sprawach. ■ *Czas* w Winnipegu, pod redakcją p. Mroczkowskiego, nie umocnił się w terenie. Afera ze sfałszowanym numerem pozostaje nadal niewyjaśniona. Polonia w zachodnich prowincjach, a więc i w Manitobie, nie tylko kurczy się liczebnie, ale zmienia oblicze. Niestety prasa nie umie, albo nie chce tego uwzględnić. ■ *Związkowiec* jest w poszukiwaniu redaktora.

B. H.

## OŚWIADCZENIE ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZPwK

Zarząd Główny Związku Polaków w Kanadzie zwolnił z dniem 13 bm. Jerzego Rozwadowskiego ze stanowiska redaktora *Związkowca*.

Red. Rozwadowski uzasadniając odrzucenie korespondencji p. Andrzeja J. Chileckiego zakomunikował mu, iż on zgadza się z treścią jego wywodów, ale nie może ich zamieścić, gdyż *Związkowiec* jest organem ZPwK a ZPwK ma biuro podróży, „które siłą rzeczy musi utrzymywać łączność z władzami konsularnymi PRL”. W konsekwencji więc nie może zamieszczać artykułów zbyt krytycznych jako że „zbyt wiele naskakiwanie na reżym nie jest w tych warunkach wskazane i musimy się z tym liczyć”.

Zarząd Główny ZPwK stwierdza, że nie istniała i nadal nie istnieje absolutnie żadna zależność ZPwK od czysto handlowego przedsiębiorstwa jakim jest biuro podróży (Travel & Tours) PAC. Kierunek działania ZPwK, jego linię ideową ustalają członkowie organizacji na walnych zjazdach oraz na innych konferencjach poświęconych tym sprawom. Postanowienia tych zjazdów obowiązywały również *Związkowiec*. Odnosiły się one wyłącznie do spraw organizacyjnych i ideowych. Władze ZPwK w niczym jednak nie ograniczały swobody redaktorów, nie dyktowały polityki redakcyjnej, nie wtrącały się do redagowania pisma.

Nie kwestionujemy — jakkolwiek nie znamy treści — decyzji odrzucenia przez p. Rozwadowskiego korespondencji p. Chileckiego, ale stwierdzamy iż posłużył się błędną argumentacją, rzucającą cień na dobre imię i tradycję ZPwK oraz na niezależność ZPwK i *Związkowca*.

Z naciskiem podkreślamy, iż p. Rozwadowski z nikim z władz ZPwK nie komunikował się gdy wyłonił się spór z p. Chileckim, i w korespondencji tej ujawnił jedynie i wyłącznie swoje własne stanowisko. Władze ZPwK nie upoważniły go do wypowiedzania się w ich imieniu.

Za Zarząd Główny ZPwK  
Henryk LOPIŃSKI  
Prezes

## PROBLEMATYKA POLONII KANADYJSKIEJ

W maju 1972 roku odbyły się dwie konferencje poświęcone problemom Polonii Kanadyjskiej. Pierwsza, zorganizowana przez Kongres Polonii Kanadyjskiej (specjalny Komitet), obradowała w dniach 5-7 maja, a druga, zorganizowana przez Stowarzyszenie Techników Polskich w Kanadzie w Barry's Bay, w dniach 19-22 maja.

Obszerna relacja z konferencji „Sympozjum 50” z pełnymi tekstami lub streszczeniami ukazała się drukiem (w języku polskim) w grudniu 1977 r. Kongres Polonii Kanadyjskiej opublikował przebieg konferencji pt. „Polonia of Tomorrow” \* w języku angielskim, choć większość przemówień była wygłoszona w języku polskim. Prof. Wojciechowski utrzymuje we wstępie, że publikacja ta, jakkolwiek bardzo opóźniona, m.in. ze względów finansowych, jest aktualna gdyż „problem wielokulturowości nic nie stracił na swej pilności a nasze zaangażowanie w wielokulturowość nie zmniejszyło się w międzyczasie”. Jest to niejako uzasadnienie wydania tej książki obecnie.

Opublikowanie materiałów z konferencji uważamy za celowe i pozytywne. Mają one teraz znaczenie li-tylko historyczne, świadczą o zamiarach, planach, dają obraz życzeń, oczekiwań i postulatów.

Polityka wielokulturowości od proklamacji tego programu przez premiera Trudeau w październiku 1971 roku przeszła wiele przemian, przy czym należy mieć na uwadze wcale poważne różnice między stroną deklaracyjną a realną. Na przestrzeni 4-letniego programu wielokulturowości realizuje kolejno czwarty minister, co chyba również ma pewną wymowę, a do tego dochodzi zasadnicza zmiana nastawienia frankojęzycznej prowincji Québec. Nie jest to bynajmniej wynikiem zwycięstwa separatystycznej Partii Québécois, gdyż wielokulturowość odrzucają w formie jak najbardziej zdecydowanej, wszyscy francuskojęzyczni Kanadyjczycy, w tym i członkowie rządu federalnego. Wiadomo zresztą również, iż założenia polityki dwujęzyczności spotkały się w pierw z sprzeciwem, a później zostały wręcz odrzucone przez Québec. Nie znaczy to jednak, że nasze zaangażowanie w wielokulturowość zmniejszyło się.

Z opublikowanych tekstów wynika, iż tematyka była szeroko i różnorodnie potraktowana. Większość referatów miała charakter niejako sprawozdawczy, stanowiła próbę oceny aktualnej sytuacji, formułując różne postulaty. Prelegenci wskazywali zgodnie na konieczność podjęcia należytych kroków zmierzających do zabezpieczenia i rozwoju „polskości” w społeczności polonijnej. O specyfice kultury polskiej i jej wielkich wartości mówił obszernie prof. Kazimierz Dąbrowski a krytyczne uwagi do jego wywodów przedstawili profesorowie Tadeusz Romer i Tadeusz Grygier. Problematyce kulturalnej Polonii Kanadyjskiej poświęcona była jedna sesja „Kultura i sztuka”, w czasie której przemawiali pp. Waław Iwaniuk, Mary Schneider, Irena Habrowska-Jędrzejc, Jadwiga Jurkszu-Tomaszewska i Adam Tomaszewski.

Mówcy wysuwali szereg żądań — obiektywnie słusznych i uzasadnionych — pod adresem Kongresu Polonii Kanadyjskiej, który przecież nie ma środków na ich realizowanie. Bolączką KPK od chwili powstania, podobnie zresztą jak i poprzednio Zjednoczenia Zrzeszeń Polskich, jest brak środków finansowych na należyłą działalność. Kongres podejmował wiele akcji dla

\* *Polonia of Tomorrow* — edited by Teresa Kott and Jerzy A. Wojciechowski — published by Canadian Polish Congress, Toronto, Ont., 1977, pp. 279.

zdobycia odpowiednich środków, ale bez powodzenia — co oczywiście nie pozostało bez konsekwencji. Byłoby zapewne bardziej pożądane, gdyby wysuwając pewne żądania wkazywano równocześnie skąd i jak otrzymać środki na ich realizację.

Jeden prelegent, Rudolf Kogler, mówił o finansowych instytucjach polonijnych sugerując utworzenie funduszu celów charytatywnych. Ten sam referat wygłosił także na „Sympozjum 50”.

O nowych imigrantach i o ustosunkowaniu się do nich Polonii mówił prof. Aleksander Matejko, dając bardzo wnikliwą ocenę nowych przybyszów, wypuklając różnice między nimi a poprzednimi imigrantami.

Jutro Polonii?

Odpowiedź na to pytanie oparta na ogłoszonych tekstach byłaby więcej niż kłopotliwa i to nie dlatego, że sformułowano różne postulaty.

Książka została wydana bardzo starannie. Części przekładów dokonano w biurze Ministerstwa Secretary of State (odpowiednik Ministerstwa Kultury),

B. H.

## KRONIKA SZWEDZKA

Poczytny liberalny *Dagens Nyheter* rozpoczął zainspirowaną przez policję szwedzką kampanię przeciwko przebywającym w Szwecji Polakom z PRL, nadużywającym szwedzkiej gościnności i opieki społecznej oraz łamiącym prawo i obowiązujące przepisy. Opierając się na wypowiedzi policji *Dagens Nyheter* stwierdza, że: „... tysiące Polaków pracuje w Szwecji na czarno”. Policja bije na alarm wobec nielegalnych polskich pracowników, co grozi zachwianiem równowagi szwedzkiego rynku pracy. Przynajmniej 1.500 Polaków pracuje nielegalnie w samym tylko Sztokholmie. Pracują głównie w ogrodach, restauracjach i przy sprzątanii za 5 do 15 koron za godzinę, podczas gdy taksa za podobne prace wynosi nieraz 35 do 45 koron. Z chwilą wprowadzenia turystyki bezwizowej między Szwecją a Polską około 70 tysięcy Polaków przyjeżdża corocznie do Szwecji. Polacy, pracujący na czarno u pozbawionych skrupułów szwedzkich pracodawców, są nie tylko narażeni na kary grzywny i ewentualne wysiedlenie, lecz także pozbawieni są wszelkiej pomocy i opieki społecznej w przypadku utraty zdrowia, nieszczęśliwych wypadków itp. Biorąc pod uwagę, że 200 koron szwedzkich według przeliczenia czarnorynkowego odpowiada miesięcznej pensji w Polsce, to pokusa jest wielka. „Ci fałszywi polscy turyści mogą więc przez nielegalną pracę uzyskiwać wysokie zarobki” — stwierdza *Dagens Nyheter*, cytując dalej oficjalną wypowiedź policji, która domaga się zaostrzenia kontroli tej kategorii szwedzkich przedsiębiorstw, w których zdarza się nielegalna praca. Ponadto policja domaga się przywrócenia wiz dla turystów z Polski. „Mamy zbyt mało personelu i środków, by załatwiać wszystkie sprawy dotyczące prawa pracy i azylu politycznego. Ci, którzy proszą o azyl z prawdziwych powodów zmuszeni są do niezwykle długiego czekania na decyzję, ponieważ inni nadużywają tego prawa. Dlatego też domagamy się natychmiastowego wprowadzenia wiz”. „W tej chwili w Sztokholmie mamy na liście uprzywilejowanej 50 podań o azyl ludzi wykwalifikowanych. 200 Polaków ubiegających się o prawo azylu politycznego czeka na decyzję Państwowego Urzędu Imigracyjnego”. „... Po Nowym Roku ruch promem między Gdańskiem a Nyneshamn podwoi się. Nie będziemy już w stanie sprostać konsekwencjom tego wzmożonego ruchu”. Policja szwedzka narzeka w tym wywiadzie prasowym na nieuczciwe zachowanie wielu czekających na decyzję władz. Otrzymują oni mieszkanie, zapomogi, a mimo to podejmują jeszcze nielegalną pracę zarobkową. A to jest zabronione w okresie oczekiwania na decyzję władz



przy korzystaniu z pomocy społecznej. Wreszcie policja zwraca uwagę na spory udział Polaków w szmuglu alkoholu i papierosów nie tylko z Polski do Szwecji, ale i z Finlandii, dokąd Polacy jeżdżą tanimi, względnie bezpłatnymi wycieczkami. Szef Państwowego Urzędu Imigracyjnego, Kjell Öberg, skarży się, w podpisanym przez siebie artykule, że przyjeżdżający do Szwecji uchodźcy na skutek zbyt długiego oczekiwania na decyzję zapadają na choroby nerwowe. Okres oczekiwania trwa czasami rok i dłużej. Domaga się więc, tak jak i policja, zwiększenia liczby personelu i środków. Niestety wszystko to co policja podaje do wiadomości prasy jest prawdziwe i moglibyśmy dodać jeszcze więcej i gorszych szczegółów o niegodnym i kompromitującym Polonię zachowaniu się niektórych pseudouchodźców. Przykro tylko, że zarówno policja jak i *Dagens Nyheter* pisząc o tych nadużyciach wymieniają wyłącznie Polaków, aczkolwiek to samo dzieje się z przybyszami z innych krajów.

KOMUNIKAT  
STOWARZYSZENIA POLSKICH KOMBATANTÓW  
Koło P a r y ż  
20, RUE LEGENDRE, 75017 PARIS

Ze względu na stałe powtarzające się nieporozumienia i zajmowanie funkcji organizatorów przez niepowołane do nich osoby, Zarząd KOŁA PARYŻ S.P.K. podaje do wiadomości:

1. Zarząd Koła powierza kol. inż. Marianowi-Janowi SERAFIŃSKIEMU i kol. mjr. Konstantemu BOBBE funkcję przyjęcia i ustawienia pocztów sztandarowych, oraz wskazanie miejsc osobom zaproszonym, dla których przeznaczone są pierwsze ławki środkowej nawy kościoła.

2. Zarząd Koła nie życzy sobie oficjalnej obecności innych organizacji niż organizacje niepodległościowe, zgrupowane w FEDERACJI POLSKICH OBRONCÓW OJCZYŹNY, tzn.:

S.P.K. — Stowarzyszenia Polskich Kombatantów,  
Referatu przy S.P.K. 1-szej Dywizji Grenadierów,  
Stowarzyszenia b. Żołnierzy 2-giej Dywizji Strzelców Pieszych,  
Związku b. Żołnierzy 1-szej Dywizji Pancerniej,  
Samodzielnego Koła Armii Krajowej we Francji,  
Polskiego Związku Inwalidów Wojennych we Francji,  
Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość — P.O.W.N.,  
Związku Deportowanych i Więźniów Politycznych we Francji,  
oraz spoza federacyjnych:

Związku Harcerstwa Polskiego, niepodległościowych Gniazd P.T.G. Sokół, K.S.M.P., Towarzystw Kościelnych, jak i przedstawicieli zaproszonych Organizacji Państw Sprzymierzonych.

3. Zarząd Koła prosi tak przedstawicieli reżymowych jak uwłaczających honorowi i imieniu Rzeczypospolitej Polski osobnikom podającym się za „prezydentów”, „naczelników inspektorów polskich Sił Zbrojnych”, „naczelników wodzów” itp., o zaniechanie prób brania udziału w uroczystościach i imprezach organizowanych przez KOŁO PARYŻ S.P.K.

## Listy do Redakcji

Paryż, 20 października 1978.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Za sytuację w Kraju nie jest odpowiedzialny Breżniew / Gierek / partia / obojętny Zachód / Kościół / układ Jałtański / historia / gospodarka światowa / aparat policyjny.

Za sytuację w Kraju jestem odpowiedzialny ja, obywatel PRL, dzień w dzień spiesząc do biura, do fabryki, kupując gazetę, słuchając radia, oglądając programy telewizyjne, czekając na dzieci z przedszkola, Kochając się, stojąc w ogonku.

To ja nie kto inny akceptuję przez swoją bierność ten tramwaj, tę fabrykę, te więzienia, tego milicjanta, tę willę dygnitarza, ten państwowy kapitalizm.

To jest mój wybór: za pracę, za spokój, za bezpieczeństwo moich bliskich kolaboruję nadal z okupantem;

Za karierę i samochód, który sobie kupię tuż przed emeryturą, pozwalam na sowieckie dywizje w moim kraju.

To ja nie kto inny popieram przez swoją praworządność cudze bezprawie, bo dałem się zastraszyć, i pozwalam na instalację bezpieki pod oknem szaleńca-dysydenta.

To ja wybrałem wczoraj i dziś moją rzeczywistość, to ja ją odnawiam co dzień.

Mam przyjaciół w Londynie, przyjeżdżają do mnie na tanie wakacje, kupują drogo wydane pisma opozycyjne i wyzywają się w POSK'u. Jestem Polakiem, takich jak ja są miliony.

A gdybym powiedział pewnego dnia, NIE, dość tego? Przecież to niemożliwe, wiem o tym, czytałem artykuły, sam pan Michnik mówi że nie *lizia*.

Z poważaniem,

K. ANGOL

Montreal, 29 października 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

Podziwiam Józefa Łobodowskiego za to, że ma cierpliwość, czas i energię dysputować ze zwolennikami przedpotopowych poglądów na język ukraiński w stylu Władimira Uspieńskiego (por. *Kultura* Nr 7-8/1978). Ten ostatni, jeśli nie szanuje językoznawstwa ukraińskiego, to powinien, jako Rosjanin, respektować poglądy swoich rodaków — uczonych z Rosyjskiej Imperatorskiej Akademii Nauk w Petersburgu, która jeszcze w 1905 roku stanęła na jedynie możliwym obiektywnym stanowisku co do języka ukraińskiego jako zindywidualizowanej jednostki w świecie językowym słowiańskim. W wypadku W. Uspieńskiego (i ko.): czy rzeczywiście „*horbatoho i mohyla na poprawyt'?*”.

J. B. RUDNYCKYJ

Stevens Point, 31 sierpnia 1978.

Drogi Panie Redaktorze,

Nie mogę się uwolnić od chęci dodania kilku uwag do wspomnień o Władysławie Wolskim, które *Kultura* zamieściła zaraz po jego śmierci. Ten człowiek spokojnego sądu, *gentleman* w najlepszym znaczeniu, umiał się różnić w sprawach politycznych nie obniżając poziomu myśli i kultury towarzyskiej. Był zdolny do dialogu i ten dialog prowadził subtelnie i z upodobaniem. Los zrządził, iż przez pewien czas pozostawaliśmy w Paryżu w przyjaznych stosunkach towarzyskich, obydwa z innymi „obozów politycznych”, z innymi środowisk społecznych, z inną przeszłością, a jednak obydwa związani wówczas czymś głębszym: wspólnymi dążeniami i oczekiwaniami.

W latach 1948-54 byłem odpowiedzialny w Paryżu za fragmenty pracy PSL, jako sekretarz PSL na Francję i na Europę Zachodnią. Prowadziłem wtedy dość intensywną działalność w ramach tego stronnictwa i w zespołach związanych z Polskim Narodowym Komitetem Demokratycznym. Wolski nie należał do żadnego z tych zespołów. Reprezentował ogólne zainteresowanie każdą działalnością emigracyjną i na tym tle zbliżył się do nas. Brał udział w naszych programach i dyskusjach, nigdy nikomu nie schlebując i nikogo nie lekceważąc. Korzystał z biblioteki prof. Kota i mojej; pozostawaliśmy w bliższych stosunkach towarzyskich. Gdy razem z Tadeuszem Celtem zorganizowaliśmy program: Studium Zagadnień Komunizmu, Wolski był chyba na każdym jego zebraniu i dodał bardzo dużo do wspólnych dyskusji. Chyba udało się organizatorom osiągnięcie obiektywizmu w tym programie i podejście ponadpartyjne, bo nie tylko zainteresowaliśmy Wolskiego. W dyskusjach uczestniczył także, choć znacznie rzadziej, Ryszard Wraga — i to nie „aby się samemu przekonać, co oni tam wyprawiają”, ale aby się włączyć w sprawę, w których on miał nawet większe doświadczenie niż inni, ale nie tylko czuł potrzebę podzielenia się swoją wiedzą i doświadczeniem, ale był też gotów nauczyć się czegoś od innych.

Właśnie z tego okresu dwa momenty naszego wspólnego życia warte są zanotowania. Jeden — to seminarium, poświęcone Rosji, które przez pewien czas prowadziłem w Paryżu, w swoim mieszkaniu Stołypin, syn prezesa rosyjskiej Rady Ministrów, który zginął w roku 1911, jak wiemy, z ręki Dmitrija (Mordki) Bogrova, rewolucjonisty współpracującego z Ochroną. Niestety, seminarium trwało bardzo krótko, ale ogromnie podniecało nasze zainteresowanie interpretacją historii Rosji przez syna tego, który ją kształtował.

Drugi moment — to udział Wolskiego i Wraga w jednym z wieczorów imiennowych, urządzonych dla prof. Stanisława Kota. Lojalnie przyznaję, że nie przypominam sobie, czy zapraszając ich na tamten wieczór „dyskusyjno-towarzyski” uprzedziłem ich o jego okazji. Przypuszczam, że tak. Ale gdy dziś o tym myślę, sam się dziwię, iż Ryszard Wraga zdecydował się na udział w takim wieczorku. W każdym razie byli obydwa i dobrze się bawili, także w rozmowie z Kotem. Z przyjemnością to wspominać, zwłaszcza gdy myślę o nieprzytomnych uwagach przeciwników prof. Kota, nawet po jego śmierci, jak mi z Londynu pisali przyjaciele. Jednak istniał wtedy inny poziom i może zawsze będą ludzie, którzy zachowują godność oraz poczucie łączności i wspólnoty ponad różnicami politycznymi.

Odczułem głęboki smutek na wiadomość o śmierci Władysława Wolskiego nie tylko dlatego, że spośród nas ubył jeden więcej z pokolenia ostatniego dramatu Polski. Ale dlatego przede wszystkim, że ten okres naszej przyjaźni tak się jakoś przerwał po moim wyjeździe z Francji. Z Wragą spotkałem się jeszcze dwukrotnie w Waszyngtonie, obydwa zdziwieni niektórymi elementami atmosfery emigracyjnej. Z Wolskim kontakty się przerwały

definitywnie. Być może, że wpłynął na to ów kierownik działalności peeselowej we Francji, który wypłynął po moim wyjeździe, przez dziesięć lat prowadził innego rodzaju pracę, aż policja francuska go schwyciła na szpiegostwie, a sąd francuski skazał go na lata więzienia. Wymieniono go następnie za agentów francuskich w transakcji między Paryżem i Warszawą. Być może, że przerwa w kontaktach była naturalnym rezultatem oddalenia. Intensywność w przyjaznej współpracy przez kilka lat paryskich pogłębia mój szczerzy żal po Człowieku, z którym rozmowa zawsze była przyjemnością i który wzbudzał szacunek i najlepsze trwałe uczucia.

Wacław W. SOROKA

Lublin, 12 września 1978.

Redakcja miesięcznika *Kultura*  
Paryż

Wydarzyła się rzecz bolesna. W notatce „Świadome i nieświadome dywersje”, zamieszczonej bodaj w czerwcowym numerze waszego miesięcznika, niesprawiedliwie i brutalnie zaatakowano Biskupa Ordynariusza Lubelskiego, Ks. Prof. Bolesława Pylaka. Uczyniono to posługując się moim nazwiskiem i stwarzając wrażenie, że czyni się to w mojej obronie. Napisano: „Biskup Pylak idzie jednak dalej: przeciwstawia się nieraz postulatowi studenckim i akcji duszpasterza akademickiego Ojca L. Wiśniewskiego O.P., cieszącego się zaufaniem i popularnego wśród młodzieży. Takich potencjalnych węgierskich czy czeskich biskupów — na szczęście — nie ma wielu”.

W tej sytuacji sumienie nakazuje mi dać świadectwo prawdzie i oświadczyć co następuje:

1. Ksiądz Biskup Ordynariusz Bolesław Pylak, podobnie jak moi Przełożeni zakonni, wielokrotnie spotykał się z żadaniami wysuwanymi przez władze świeckie, ukarania mnie i usunięcia ze swojej diecezji. Nie uczynił tego i zawsze okazywał mi prawdziwie ojcowskie serce. Co więcej, nigdy nie usłyszałem z Jego ust przykrego słowa, a wręcz przeciwnie, zawsze słyszałem słowa otuchy.

W sytuacji, kiedy jakiś osobnik przebrany za kapłana, usiłował zasiać niepokój w mojej rodzinie, komunikując jej najpodlejsze oszczerstwa, natychmiast wyraził chęć udania się do moich rodziców, aby ich pocieszyć.

W momentach szczególnych ataków na ośrodek duszpasterstwa akademickiego, który prowadziłem, kilkakrotnie przybywał do nas, aby razem z nami modlić się. Za każdym razem dawał publicznie wyraz swego zaufania do młodzieży akademickiej i do mnie — ich duszpasterza.

2. Wiele osób, które zapoznały się z tekstem o jakim mowa, bezdyskusyjnie przyjęło, że autorem notatki jestem ja — jeśli nie bezpośrednio, to przynajmniej pośrednio.

Oświadczam, że nie tylko czegoś podobnego nie napisałem, ale nawet nie skarżyłem się komukolwiek na Księdza Biskupa Pylaka. Gdybym to uczynił — po tylu dowodach dobroci, szlachetności i miłości tego Człowieka — Biskupa, byłbym sam człowiekiem podłym.

3. Notatkę zamieszczoną w *Kulturze* wyrządzono złą przysługę Kościołowi w Polsce.

Nie moją jest rzeczą wyciągać — za redakcję — wnioski z tej smutnej historii. Proszę jedynie o publikację mego świadectwa na widocznym miejscu, tak, aby list ten nie zniknął w potoku listów do redakcji. Stała się bowiem niebagatelna rzecz, znieważono polskiego Biskupa. A doprawdy, kto jak kto, ale biskupi polscy pełnią swoją pasterską misję heroicznie!

Ludwik M. WIŚNIEWSKI, OP

## DOKUMENTY — Z OSTATNIEJ CHWILI

Warszawa, 17 listopada 1978

Po 48 godz. wypuszczony został Jacek Kuroń (o godz. 18.30).

Kraków, 17 listopada 1978

O godz. 16-tej, po 46 godz. zwolniony został z aresztu Tomasz Burek. Wielu pisarzy, m.in. prezes oddziału krakowskiego Związku Literatów dzwoniło na milicję, by dowiedzieć się o los Burka. Odpowiedziano mu, że Burek nie został zatrzymany.

16 listopada odbył się wykład Woroszylskiego bez przeszkód. Odbył się również zapowiedziany wykład Bartoszewskiego, w którym uczestniczyło ponad 120 osób. Bartoszewski był chory i wykład wygłosił Adam Michnik.

TKN zaczął zapraszać dziennikarzy zagranicznych na wykłady. Dotąd tego nie robiono, ale ponieważ milicja zaczęła interweniować, postanowiono zapraszać dziennikarzy.

15 listopada ze wsi Opole (koło Siedlec) pan Karpik, współpracownik KOR otrzymał pismo, w którym żąda się, by kaplica zbudowana przez ludność tej wsi została zburzona w ciągu dwóch tygodni. Ludność zapowiedziała, że kaplicy nie rozbiorą i będzie jej bronić siłą.

Z parafii św. Krzysztofa (Podkowa Leśna, koło Warszawy), wysłano 11 listopada 1978 do Sejmu PRL list w sprawie mszy w radio i telewizji i audycji religijnej dla chorych (list zainicjowany przez diecezję przemyską) z 1.510 podpisami, zapowiadając, że podpisy są jednocześnie do wglądu w parafii, u proboszcza tej parafii, ks. Kantorskiego. Wiadomo również, że w diecezji przemyskiej ilość podpisów pod petycją przekroczyła 10.000.

Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Grójeckiej

Zbrosza Duża, 12. 11. 1978.

## APEL DO DZIAŁACZY LUDOWYCH W KRAJU I ZA GRANICĄ

Polska ma swój dorobek i swoją tradycję. W tradycji tej miała swoją myśl polityczną i społeczną. Miała wybitnego męża stanu, jakim był Wincenty Witos. Miała polityczne partie chłopskie i młodzieżową organizację chłopską „Wici”. Miała w czasie wojny armię zbrojną „Bataliony Chłopskie”. Miała uniwersytety ludowe i całą sieć kształcenia i samokształcenia. Miała swoje wydawnictwa i swoją prasę. Cała ta tradycja została brutalnie przerwana, a dorobek zafałszowany. Na szczęście życie Wy, żywa tradycja ruchu ludowego i żywi świadkowie jego osiągnięć. Znane są nam Wasze nieustanne wysiłki nad utrwaleniem dla przyszłych pokoleń tamtych zdobyczy.

W momencie, gdy po latach prześladowań i stagnacji na wsi polskiej zaczyna się tworzyć chłopski ruch samoobrony, my chłopci, uczestnicy tego ruchu zwracamy się do Was z wezwaniem o wsparcie. Wy możecie nam pomóc swoim doświadczeniem w stawianiu sobie celów, programów, i w wy-

borze środków. Swoim nigdy nie kwestionowanym autorytetem możecie wymóc na władzach respektowanie naszych praw, a wielu z nas zachęcić do jeszcze aktywniejszego uczestnictwa w chłopskiej samoobronie. Wiemy, że bliski jest Wam los polskiej warstwy chłopskiej. Wierzmy, że gdy my sami stajemy w obronie tych wartości, i Wy zabierzecie swój wieloznaczący głos w naszej i naszych spraw obronie.

Zwracamy się też do młodej inteligencji chłopskiej abyście pamiętali o swoim pochodzeniu i swoich korzeniach tkwiących w naszej pracy i w naszym życiu. W sytuacji, gdy nasz los staje się zagrożony, Wy, swoją wiedzą i swoimi działaniami wesprzyjcie naszą samoobronę.

KOMITET SAMOOBRONY CHŁOPSKIEJ ZIEMI GRÓJECKIEJ  
ORAZ CHŁOPI REGIONU GRÓJECKIEGO

Przemyśl, dnia 13 października 1978.

W. Pan Wojewoda Przemyski  
w miejscu

My, niżej podpisani dziekani, w imieniu wszystkich parafii i duchowieństwa całej diecezji przemyskiej zwracamy się do Pana Wojewody z prośbą aby położyć wreszcie kres wszelkiej dyskryminacji seminarium duchownego w Przemyślu, która w różnej postaci trwa już dziesiątki lat. Ostatnio na przykład nęka się alumnów seminarium poborem wojskowym. Kilku wzywanych jest już po raz drugi do poboru przed komisję wojewódzką w Przemyślu w trybie nadzoru w celu zakwestionowania decyzji terenowych komisji poborowych i tam otrzymanych kategorii. Zauważmy, że w tym roku powołuje się wielu alumnów do wojska dezorganizując przez to pracę całego roku pierwszego. Oprócz tego nasiliły się także w ostatnim roku nachodzenia, dokuczania i naciski wywierane na alumnów ze strony niektórych pracowników milicji i Służby Bezpieczeństwa. Protestujemy przeciwko temu wszystkiemu i prosimy o zaprzestanie tych faktów dyskryminacji. Jak również o niepowoływanie alumnów seminarium do wojska. Tak zresztą, jak czyni się to w stosunku do innych obywateli PRL odbywających swoje studia. Dalecy jesteśmy od pogroźek. Chcemy tylko bronić słusznych praw obywatelskich ludzi wierzących. Równocześnie oświadczamy stanowczo, że gdy nasze prośby nie odniosą skutku, użyjemy wszystkich godziwych w tym celu środków, aż do organizowania komitetów samoobrony ludzi wierzących i głodówek włącznie w różnych ośrodkach diecezji. Stawiamy sprawę jasno aby nie posądzono nas o chęć zaskoczenia.

Podpisało 42 dziekanów diecezji przemyskiej  
(wszyscy dziekani)

## Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1978

### Spis autorów

A.F.Z., A.K., AI. BAK., AMATO Paulo, ANGOL K., A.R.Sz., A.S. — BAU Zdzisław, BETTIZA Enzo, B.H., BIEREZIN Jacek, BILICZ Sigmund, BOHUSZ-SZYSZKO Zygmunt, BONIECKI Jerzy, BOROWIECKA Irena, BOROWSKA Maria, BÖLL Heinrich, BROŃSKI M., BRUKSELCZYK, BRYLEWSKI Włodzimierz, B. Sz., BYRSKI Zbigniew. — CATTANEO Luciano, CHILECKI Andrzej J., CHOCHOŁ, CHODAKOWSKI Jan, CICHORSKI Eugeniusz, COHN Ludwik, CZAPSKI Józef, CZERNIAWSKI Adam, CZYTELNIK. — DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DERYNG Ksawery, DREWNOWSKI Jan, DRZEWIECKI Zbigniew, DZIANOTT Juliusz. — EHRENKREUTZ Andrzej S., E.K., ESTRYN Anatole. — FEDOTOW Siergiej. — GARLIŃSKI Józef, GEBHARDT Stanisław M., GIEDROYC Jerzy, GŁOGOCZOWSKI Marek, GROTKWAŚNIEWSKI Jerzy, GRUDZIECKI Marek, GRUSZKA Kazimierz, GRYNBERG Henryk. — HAHN K. J., HARDY MIKUCKI Aleksander J., HELLER Michał, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt, HNILICA Pavol, bp, HRABYK Klaudiusz. — I.G., IWANIUK Wacław, IWASK Jurij. — JAGŁA Ryszard, JANIW Wołodymyr, JANKOWSKI Jerzy, JASIŃSKI Zbigniew, JELEŃSKI Konstanty Aleksander, JĘDRZEJEWICZ Wacław, J. Ś., J.W., J.W.P. — KAŁUSKI Marian, KANTOROWICZ Alfred, KATZ HEWETSON Janina, KAZLAUSKAS Vytautas, mons., KENDE Peter, K.H.Z., KISIEL, KISIELEWSKI Stefan, K.L., KLATKOVSKY Karel, KLEMPSKI Tymoteusz, KLUGMAN Aleksander, KŁOSOWSKA Nika, KOGLER Rudolf, KOŁAKOWSKI Leszek, KOMIGA Franciszek, KORASZEWSKI Andrzej, KORBOŃSKI Stefan, KORPOWSKI Bolesław, KOWALIK Jan, KRUCZEK Adam, KRUSZYŃSKI Roman Józef, KRYNICKI Ryszard, KRZYŻANOWSKI Wojciech, KSS „KOR”. — LASOCKI Bronisław, LEWANDOWSKI Józef, LICHTEN Józef, LIPSKI Jan Józef. —

ŁOBODOWSKI Józef, ŁUKOMSKI Kazimierz. — M.A., MACKIEWICZ Józef, MART Włodzimierz, McLEAN Hugh, MICHNIK Adam, mk, MIŁOSZ Czesław, MONACHIJCZYK, MORAWSKI Dominik, MORAWSKI Maciej, MOŻEJKO Edward, M.W., — NASIELSKI Adam, N.N., NOWAK Jan. — ODOJEWSKI Włodzimierz, ORŁOWSKI A. S., OSADCZUK Bohdan, OSSOWSKI Zygmunt, OSTROGSKI Konstanty, OWSIANKO Stanisław Andrzej. — PARACELsus, P.J.Szcz., PODGÓRSKI Tadeusz, P.P.N., PRAWDZIC, P.W. — RADWAŃSKI Stanisław, RAPACKI Zbigniew, REDAKCJA, REDAKTOR, ROLICZ Andrzej, RUDNYC-KYJ J. B., RYBAK Jerzy, R.Z. — SAHAJDACZNY Bohdan, SEBYŁA Władysław, SLIPYJ Josif, kard., SOCJUSZ, SOŁŻENICYN Aleksander, SOROKA Wacław, St.Ch., St.K.B., STRUSIEWICZ Witold, SUKIENNICKI Wiktor, SULIK Bolesław, SUTKOWSKI Adam, SWIANIEWICZ Stanisław, SZRAMEK Józef. — ŚMIEJA Florian, ŚWIĘCICKI Jakub. — TARNAWSKI Wit, TORUŃCZYK Franciszka. — VINCENZ Andrzej, V.W.A. — WIELGOSZ Julian, WIŚNIEWSKI O. L. M., OP, WIRPSZA Witold, (W.K.), SPECTATOR, W.R., WRÓBLEWSKI Janusz H., WYTWYCKYJ Wasyl. — (X), X.A.Z., X.W.S. — ZAHORSKI Witold, ZALEWSKI Adam, ZARZĄD ZWIĄZKU PISARZY, Z.H., ZINOWIEW Aleksander, Z.M., ZUBRZYCKI Jerzy. — ŻAGIELL E.

### Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

BETTIZA Enzo: *Carillo i Moskwa* (3/366) przeł. z włoskiego Gustaw Herling-Grudziński.  
BONIECKI Jerzy: *Przyczynek do dialogu* (5/368).  
BRUKSELCZYK: *Widziane z Brukseli* (6/369, 7/370-8/371, 9/372).  
— *Widziane z Brukseli i z... Belgradu* (4/367).  
— *Widziane z Brukseli i z... Warszawy* (3/366).  
— *Widziane z Brukseli i Waszyngtonu* (1/364-2/365).  
BYRSKI Zbigniew: *O rewolucji i terroryzmie* (12/375).  
— *Rok Cartera i co dalej?* (3/366).  
— *Strategia afrykańska Sowietów* (6/369).  
— *Zbliżenie chińsko-amerykańskie* (9/372).  
CHOCHOŁ: *Prognozy Chochoła* (3/366).  
*Eurokomunizm i Europa Wschodnia* (4/367).  
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: (tłumacz) ob. Bettiza Enzo.  
KENDE Peter: *Budapeszt-Praga-Warszawa czyli pokusa demokracji*, przekład z francuskiego (1/364-2/365).  
KISIEL — MICHNIK Adam: *Rozmowa* (5/368).  
*Komitet Wolności w Paryżu* (4/367).  
KORASZEWSKI Andrzej: *Amnesty International* (7/370-8/371).  
MART Włodzimierz: *O esejach Juliusza Mieroszewskiego* (10/373).  
MORAWSKI Dominik: *Korespondencja z Rzymu* (1/364-2/365, 6/369, 7/370-8/371, 9/372, 10/373, 11/374).

- OSADCZUK Bohdan: *List z Pekinu* (11/374).  
 — *List z Szanghaju* (12/375).  
 P.P.N.: *Niemcy a Polska* (7/370-8/371).  
 RAPACKI Zbigniew: *Przyjemne złudy i niemiłe realia* (11/374).  
 REDAKTOR „KULTURY”: *Rozmowa ze Stefanem Kisielewskim* (3/366).  
 SOCJUSZ: *Ile jest dróg?* (6/369).  
 SUKIENNICKI Wiktor: *Czy i co się zmieniło?* (1/364-2/365).  
 WIRPSZA Witold: *Ruchem konika szachowego* (12/375).  
 WIŚNIEWSKI L. M., OP.: *Chrześcijaństwo wobec walki o sprawiedliwość* (6/369).  
*Wydarzenia miesiąca* (1/364-2/365, 3/366, 4/367, 5/368, 6/369, 7/370-8/371, 9/372, 10/373, 11/374, 12/375).  
*Wywiad „Il Giornale” z K. Kąkolem* (7/370-8/371).  
 ZUBRZYCKI Jerzy: *O asymilacji i wielokulturowości* (4/367).

#### Na progu nowego Pontyfikatu

- BROŃSKI M.: *O katolicyzmie* (12/375).  
*Depesza miesięcznika „Kontinent”* (11/374).  
*Depesza Mscisława Rostropowicza i Galiny Wisniewskiej* (11/374).  
*Depesza „Russkiej Myśli”* (11/374).  
 J. Ś.: *Niecenzurowana prasa krajowa* (12/375).  
 KOŁAKOWSKI Leszek: *Pomyślne proroctwa i pobożne życzenia laika na progu nowego Pontyfikatu w wiecznej sprawie praw cesarskich i boskich* (12/375).  
*Papież do Polaków* (12/375).  
 REDAKCJA: *Papież Jan Paweł II* (11/374).  
*Wypowiedzi: bp. P. Hlinicy, Mons. Vytautasa Kazlauskasa, Josifa Kardynała Slipyja, Aleksandra Sołżenicyna, Jurija Iwaska Józefa Lichtena* (12/375).

#### Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

- GŁOGOCZOWSKI Marek: *Myśli uczesane* (1/364-2/365).  
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (1/364-2/365, 4/367, 7/370-8/371, 10/373).  
 MIŁOSZ Czesław: *Kartki dotyczące lat niepodległości* (11/374).  
 — *Ogród nauk* (9/372).  
 SWIANIEWICZ Stanisław: *400-lecie Uniwersytetu Wileńskiego* (10/373).

#### Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- BAU Zdzisław: *„Salus” i konspiracja Klimkowskiego* (1/364-2/365, 3/366, 4/367).

- BOROWIECKA Irena: *Wakacje w Sosnowiance* (5/368, 6/369, 7/370-8/371).  
 GRYNBERG Henryk: *Życie osobiste* (7/370-8/371).  
 KŁOSOWSKA Nika: *Co mi z tych lat zostało...* (1/364-2/365).  
 MACKIEWICZ Józef: *Powroty* (11/374).  
 NASIELSKI Adam: *Podróż do Ameryki Południowej* (1/364-2/365).  
 OWSIANKO Stanisław Andrzej: *W obliczu zadań jakie Partia i Rząd...* (1/364-2/365).  
 OSTROGSKI Konstanty: *Leningrad - Moskwa 1977* (9/373).  
 WIRPSZA Witold: *Pojedynek* (4/367).

#### Utwory poetyckie

- BIEREZIN Jacek: *Nieobecność* (1/364-2/365).  
 — *\*\*\** (1/364-2/365).  
 KORASZEWSKI Andrzej: *Byty kształtują świadomość* (10/373).  
 KRYNICKI Ryszard: *Cicho* (3/366).  
 — *Istnieją* (3/366).  
 — *Jeżeli otworzysz ten list* (3/366).  
 — *Każdego dnia* (3/366).  
 — *Książki, obrazy* (3/366).  
 — *Nie wyleczysz się z nienawiści* (3/366).  
 — *Odpowiedź* (3/366).  
 — *Planeta fantasmagoria* (3/366).  
 — *Są słowa* (3/366).  
 — *Wydawało się* (3/366).  
 SEBYŁA Władysław: *...I znowu tupot nóg sołdeckich* (11/374).

#### Sprawy krajowe

- BOROWSKA Maria: *Podróż do Polski* (3/366).  
 BOROWSKA Maria i ŚWIĘCICKI Jakub: *Wywiad z prof. Sten Johanssonem* (3/366).  
 BÖLL Heinrich: *Odpowiedź Wirpszy* (6/369).  
*Ferment w PAX-ie* (7/370-8/371).  
*Fragmenty listu Prymasa* (5/368).  
 HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (9/372, 10/373, 11/374).  
 J. Ś.: *Niecenzurowana prasa krajowa* (10/373, 11/374).  
 JAGŁA Ryszard: *Optymizm pesymisty* (12/374).  
 — *Stała restalinizacja* (9/372).  
 KLEMPSKI Tymoteusz: *Akcja „K”* (9/372).  
 KOMIGA Franciszek: *Kierownicza rola czy ubezwłasnowolnienie?* (10/373).  
*Komunikat: Centralna Biblioteka Dzieł Zakazanych* (1/364-2/365).  
 — *Latający Uniwersytet* (1/364-2/365).  
 — *Sesja na temat praw człowieka* (1/364-2/365).  
 — *W rocznicę Grudnia* (1/364-2/365).  
*Kościół popiera inicjatywy T.K.N.* (5/368).

- KRUSZYŃSKI Roman Józef: *Zachód i Polska* (1/364-2/365).  
 KSS „KOR”: *Apel do społeczeństwa* (11/374).  
 LEWANDOWSKI Józef: *Poza akumulacją i spożyciem* (11/374).  
*Listy z Kraju* (3/366).  
*Niezależna prasa i wydawnictwa w Kraju* (5/368).  
*Niezależna prasa w Kraju* (7/370-8/371, 9/372).  
 OSSOWSKI Zygmunt: *Sytuacja jest nijaka* (7/370-8/371).  
*Prasa samizdatowa w Polsce* (3/366).  
 R. Z.: *Stosunki polsko-ukraińskie widziane z Kraju* (6/369).  
 SULIK Bolesław: *Z tarczą i na tarczy* (12/375).  
*Świadome i nieświadome dywersje* (6/369).  
*Towarzystwo Kursów Naukowych* (3/366).  
 WIRPSZA W.: *List otwarty do Heinricha Bölla* (4/367).  
 (W.K.) SPECTATOR: *Ze sfer dyplomatycznych* (4/367).  
*Władze Oddziałów Związku Literatów w Polsce* (10/373).  
 X. A. Z.: *Nieudany manewr* (4/367).  
 Z. M.: *Salon i kuchnia PRL* (3/366).

### Wołanie na puszczy

- KISIEL: *Historii uśmiech ironiczny* (6/369).  
 — *Mój przedostatni odjazd* (7/370-8/371).  
 — *O humor krajowy* (5/368).  
 — *Po tej stronie* (4/367).  
 — *Rosjanie i inni* (9/372).  
 — *Warszawskie rozrywki jesienne* (11/374).  
 — *W sprawie reklamy* (10/372).  
 — *Wstrząs, gruzy, galówki* (12/375).  
 — *Złote myśli na 60 lat* (1/364-2/365).

### Sąsiedzi

- Apel historyków i naukowców ukraińskich* (7/370-8/371).  
 B. H.: *Kronika ukraińska* (5/368).  
 BRYLEWSKI Włodzimierz: *Kronika białoruska* (4/367, 10/373).  
 CHILECKI Andrzej J.: *Kronika niemiecka* (1/364-2/365, 3/366, 4/367, 6/369, 7/370-8/371, 9/372, 10/373).  
 CZYTELNIK: *Nowe rosyjskie czasopisma* (11/374).  
*Dziesięciolecie „bratniej pomocy”* (10/373).  
 HEYDENKORN Benedykt: *Ukraiński Kościół prawosławny w Kanadzie* (9/372).  
 JANIW Wołodymyr: *O konieczności współpracy* (10/373), przeł. z ukraińskiego Józef Łobodowski.  
 KANTOROWICZ Alfred: *Orwell po niemiecku* (12/375), przeł. z niemieckiego mk.  
*Katolicy w ZSSR* (6/369).  
 KLATOVSKY Karel: *Czechosłowacja w roku 1977* (1/364-2/365).  
 — *Czesko-polskie stosunki kulturalne* (12/375).

- Kolokwium rusycystyczne w Genewie* (6/369).  
*„Kontinent” i jego krytycy* (4/367).  
*Kościół katolicki w ZSSR* (5/368).  
 KRUCZEK Adam: *W sowieckiej prasie* (1/364-2/365, 3/366, 4/367, 5/368, 6/369, 7/370-8/371, 9/372, 10/273).  
 mk (tłumacz) ob. Alfred Kantorowicz.  
*List A. Sacharowa do „Kontinentu”* (3/366).  
 ŁOBODOWSKI Józef: *Nacjonalistyczne wybryki* (7/370-8/371).  
 — (tłumacz) ob. Wołodymyr Janiw.  
 OSADCZUK Bohdan: *Co się dzieje w Niemczech?* (3/366).  
 — *Ukraina — 60 lat po tragicznej niepodległości* (4/367).  
*Relacja z Pragi* (10/373).  
 SAHAJDACZNY Bohdan: *Przyszłość stosunków polsko-ukraińskich* (11/374).  
 ZINOWIEW Aleksander: *List do Redaktora „Kultury”* (10/373) przekład z rosyjskiego.  
 ŻAGIELL E.: *Kronika litewska* (1/364-2/365, 4/367, 6/369, 9/372, 11/374).

### Polemiki

- Cyrulik Warszawski (5/368).  
 Czapski Józef: *Konspiracja czy zabawa w Indian* (5/368).

### Sprawy i troski

- BRUKSELCZYK: *Widziane z Brukseli i z... Argentyny* (10/373).  
 EHRENKREUTZ Andrzej S.: *Studium Spraw Polskich* (4/367).  
 FEDOTOW Siergiej: *Polityka kierownictwa Radia Swoboda* (10/373), przekład z rosyjskiego.  
 GIEDROYC Jerzy — Herling-Grudziński Gustaw: *Wywiad z Zygmuntem Michałowskim* (11/374).  
 HEYDENKORN Benedykt — KOGLER Rudolf: *Liczebność Polonii Kanadyjskiej* (4/367).  
*„Holocaust” w telewizji amerykańskiej* (6/369).  
 JANKOWSKI Jerzy: *Sprawa pomnika* (3/366).  
 — *Studia cudzoziemców we Francji* (12/375).  
*Komunikat PAIRC'u* (9/372).  
*Konkurs na projekt pomnika Katynia* (9/372).  
*Nieodobre obyczaje* (6/372).  
 ROLICZ Andrzej: *Wystawa ruchu dysydenckiego w Londynie* (5/368).  
*Spotkanie z przedstawicielami Polonii w Białym Domu* (4/367).  
*Widmo Katynia* (9/372).  
 W. R.: *Instytut Praw i Swobód Człowieka* (6/369).  
 X. W. S.: *Polonia Amerykańska — wielka niewiadoma* (5/368).  
 ZAHORSKI Witold: *Enigma pozostaje enigmą* (5/368).  
*Z działalności POSK-u* (3/366).

## Ci co odeszli

- BAU Zdzisław: *Wspomnienie o Norbercie Niświskim* (12/375).  
 COHN Ludwik: *Wspomnienie o Adamie Ciołkoszu* (11/374).  
 CZAPSKI Józef: *Tadzik* (6/369).  
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Żywobycie i śmierć Pawła Łyska* (10/373).  
 JĘDRZEJEWICZ Waław: *Tadeusz Katelbach* (3/366).  
 SULIK Bolesław: *Pan Adam* (11/374).

## Kronika kulturalna

- A. K.: *Ilość, która nie chce przejść w jakość* (10/372).  
 Aleksander Galicz (1/364-2/365).  
 CHODAKOWSKI Jan: *Pompidolium* (9/372).  
 CICHORSKI Eugeniusz: *Staszic nieznan — Humboldt czy Wolter* (5/368).  
 CZAPSKI Józef: *Józef Jarema* (10/373).  
 — *Konstanty Brandel 1880-1970* (3/366).  
 42-gi Kongres Pen Clubu (3/366).  
 CZYTELNIK: *Tłumacz „Archipelagu” — Michał Kaniowski* (4/367).  
 DERYNG Ksawery: *Malewicz a Polska* (7/370-8/371).  
*Działalność Biblioteki Polskiej w Londynie w roku 1977* (10/373).  
 JASIŃSKI Zbigniew: *Dopiero z tej depezy, aż z Paryża* (7/370-8/371).  
*Konkurs Związku Pisarzy na Obczyźnie* (3/366).  
*Konkursy Funduszu im. K. F. Vincenza* (5/368).  
 KOWALIK Jan: *Misjonarz z Bożej łaski* (4/367).  
 ŁOBODOWSKI Józef: *Aleksander Galicz* (5/368).  
 McLEAN Hugh: *Odnaczenie Czestawa Miłosza* (9/372), przeł. z angielskiego Z. H.  
*Miłosz laureatem nagrody Neustadt* (4/367).  
 P. W.: *Śmierć Prezydenta* (5/368).  
 SUTKOWSKI Adam: *O twórczości muzycznej Romana Palestra* (7/370-8/371).  
 VINCENZ Andrzej: *Dmytro Czyżewski* (5/368).  
 Z. H. (tłumacz) ob. Hugh McLean.

## Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- A. S.: *O Polsce na Zachodzie* (3/366).  
 BRONSKI M.: *Cywilizacja i snobizm* (6/369).  
 — *Panie opisują panów* (7/370-8/371).  
 — *Poszukiwanie formuły* (4/367).  
 — (tłumacz ob. Heller Michał).  
 CZAPSKI Józef: *Piękna książka* (10/373).

- DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Krajowe nowości wydawnicze* (1/364-2/365, 5/368, 12/375).  
 — „Opus magnum” Jana Kowalika (3/366).  
 — *Prasa polska poza krajem* (5/368).  
 — *Wysokie progi* (7/370-8/371).  
 GRYNBERG Henryk: *Forma pamięci* (6/369).  
 HELLER Michał: *Czy istnieje literatura „dysydencka”?* (5/368), przeł. z rosyjskiego M. Broński.  
 — *Druka książka Zinowiewa* (9/372), przeł. z rosyjskiego Michał Kaniowski.  
 HEYDENKORN Benedykt: *Mniejszości narodowe w Wielkiej Brytanii* (3/366).  
 I. G.: *„Wremia i My”* (7/370-8/371).  
 JELEŃSKI K. A.: *Kiedy świadomość określa byt* (9/372).  
 KANIOWSKI Michał: (tłumacz) ob. Heller Michał.  
 KATZ HEWETSON Janina: *Elegia na śmierć miasta* (7/370-8/371).  
 — *Jubileusz „Oficyny Poetów”* (12/375).  
 — *Książki z Londynu* (4/367, 5/368, 9/372).  
 KRUCZEK Adam: *Rok życia, rok walki* (1/364-2/365).  
 KURECKA Maria: *Turbot czyli niewygodny ryb* (1/364-2/365).  
 LASOCKI Bronisław: *Źródła i tama* (4/367).  
 ŁOBODOWSKI Józef: *Tragiczna antologia* (9/372).  
 MOŻEJKO Edward: *Abram Terc — rzeczywistość a literatura* (12/375).  
 — *Plastyka Sidura* (11/374).  
 — *Szkice do fizjologii współczesnego despotyzmu* (5/368).  
*Nadestane nowości wydawnicze* (1/364-2/365, 3/366, 4/367, 5/368, 6/369, 7/370-8/371, 9/372, 10/373, 11/374, 12/375).  
 ODOJEWSKI Włodzimierz: *Głos młodszego pokolenia* (3/366).  
 ROLICZ Jerzy: *Zarys historyczny* (7/370-8/371).  
 RYBAK Jerzy: *„Towarzysz Szmaciak”* (6/369).  
 SUTKOWSKI Adam: *„Postludia” Zygmunta Mycielskiego* (3/366).  
 ŚMIEJA Florian: *Monografia Polonii Kanadyjskiej* (12/375).  
 TARNAWSKI Wit: *Wzorowa historia literatury emigracyjnej* (11/374).  
 TORUŃCZYK Franciszka: *Obrazy, które trudno zapomnieć* (1/370-2/371).  
 WIRPSZA Witold: *Historia z tego i nie z tego świata* (1/364-2/365).  
 (X): *Sedir* (6/369).

## Tłumaczenia

## Z języka angielskiego

- McLEAN Hugh: *Odnaczenie Czestawa Miłosza* (9/372), przeł. Z. H.

## Z języka francuskiego

- KENDE Peter: *Budapeszt-Praga-Warszawa czyli pokusa demokracji* (1/364-2/365).

## Z języka niemieckiego

KANTOROWICZ Alfred: *Orwell po niemiecku* (12/375), przeł. mk.

## Z języka rosyjskiego

FEDOTOW Siergiej: *Polityka kierownictwa Radia Swoboda* (11/374).

HELLER Michał: *Czy istnieje literatura „dysydencka”?* (5/368), przeł. M. Broński.

— *Druga książka Zinowiewa* (9/372), przeł. Michał Kaniowski.

ZINOWIEW Aleksander: *Autobiografia* (7/370-8/371).

— *List do Redaktora „Kultury”* (10/373).

## Z języka ukraińskiego

JANIW Wołodymyr: *O konieczności współpracy* (10/373), przeł. Józef Łobodowski.

## Z języka włoskiego

BETTIZA Enzo: *Carillo i Moskwa* (3/366), przeł. Gustaw Herling-Grudziński.

## Noty biograficzne

BETTIZA Enzo (3/366).

## Bibliografia

*Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1978* (12/375).

## Listy do Redakcji

A.F.Z. (4/367). A.K. (7/370-8/371). AL.BAK. (11/374). AMATO Paulo (7/370-8/371). ANGOL K. (12/375). A.R.-Sz. (7/370-8/371). A.S. (10/373). BAU Zdzisław (6/369). BILICZ Sigmund (10/373). BOHUSZ-SZYSZKO Zygmunt (5/368). B.Sz. (4/367). CATTANEO Luciano (1/364-2/365). CHILECKI Andrzej J. (9/372). CZERNIAWSKI Adam (6/369). DREWNOWSKI Jan (4/367). DRZEWIECKI Zbigniew (3/366). DZIANOTT Juliusz (6/369). ESTRYN Anatole (7/370-8/371). E.K. (10/373). GARLIŃSKI Józef (6/369). GEBHARDT Stanisław (1/364-2/365). GRUDZIECKI Marek (3/366). GRUSZKA Kazimierz (3/366). GRYNBERG Henryk (11/374). HAHN K. J. (1/364-2/365). HARDY-MIKUCKI Aleksander J. (3/366). HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (1/364-2/365). HRABYK Klaudiusz (3/366). IWANIUK Wacław (6/369). J.W. (4/367). J.W.P.

(4/369). KAŁUSKI Marian (4/367). KISIEL (3/366). K.L. (Hollywood) (7/370-8/371). K.L. (New York) (7/370-8/371). KLUGMAN Aleksander (1/364-2/365). KORASZEWSKI Andrzej (11/374). KORBOŃSKI Stefan (9/372). KORPOWSKI Bolesław (1/364-2/365). KOWALIK Jan (6/369). KRZYŻANOWSKI Wojciech (5/368). K.Z.H. (11/374). LICHTEN Józef (9/372). LIPSKI Jan Józef (3/366). ŁUKOMSKI Kazimierz (9/372). M.A. (10/373). MICHNIK Adam (7/370-8/371). MONACHIJCZYK (10/373). MORAWSKI Dominik (1/364-2/365). MORAWSKI Maciej (1/364-2/365). M.W. (11/374). NOWAK Jan (5/368). N.N. (10/373). ORŁOWSKI A. S. (7/370-8/371). PARACELIUS (10/373). P.J.Szcz. (10/373). PODGÓRSKI Tadeusz (3/366). PRAWDZIC (3/366). RADWAŃSKI Stanisław (3/366). RUDNYCKYJ J. B. (12/375). SOROKA Wacław (12/375). St.Ch. (10/373). St.K.B. (7/370-8/371). STRUSIEWICZ Witold (1/364-2/365). SZRAMEK Józef (3/366). SZTEJN Emanuel (1/364-2/365, 9/372). V.W.A. (7/370-8/371). WIELGOSZ Julian (11/374). WIŚNIEWSKI Ludwik M., OP. (12/375). WRÓBLEWSKI Janusz H. (3/366). WYDZIAŁ STANOWY KONGRESU POLONII AMERYKAŃSKIEJ W WASZYNGTONIE (11/374). WYTWYCKYJ Wasyl (3/366). X.W.S. (6/368). ZALEWSKI Adam (1/364-2/365). ZARZĄD ZWIĄZKU PISARZY (9/372).

## Dokumenty

*Amerykański kongresman w obronie praw człowieka w Polsce* (10/373).

*Deklaracja Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Wybrzeża z 29. 4. 78* (6/369).

*Instrukcja w sprawie sporządzania sprawozdania z wyjazdów stypendialnych za granicę* (5/368).

*Komitet Wolnych Związków Zawodowych w Katowicach — Apel z 26. 4. 78* (9/372).

*Konferencja „Polonia Jutra”: Projekty wniosków* (7/370-8/371).

KSS „KOR”: *List do Amnesty International z 10. 3. 78* (4/367).

— *Listy do Amnesty International z 7 i 8. 6. 78* (7/370-8/371).

— *Oświadczenie* (4/367).

— *Oświadczenie z 30. 11. 1977* (1/364-2/365).

— *Oświadczenie z 31. 7. 78* (9/372).

— *Oświadczenie Karty 77 i KOR'u z sierpnia 1978* (9/372).

KSS „KOR” i ZESPÓŁ „ROBOTNIKA: *Oświadczenie z 21. 1. 1978* (4/367).

*List prof. dr. Janusza Groszkowskiego do prof. J. Kielanowskiego* (3/366).

*Niezależna Oficyna Wydawnicza* (5/367).

*Nowe szlaki cenzury* (1/364-2/365).

*Oświadczenie S.K.S. Kraków z 15. 2. 78* (3/366).

*Oświadczenie T.K.N. z 13. 2. 78* (3/366).

*Oświadczenie z Trójmiasta* (4/367).



- Plan wykładów i seminariów „Latającego Uniwersytetu” (5/368, 12/375).  
 Postępująca likwidacja szkolnictwa ukraińskiego w Polsce (9/372).  
 Prasa bez cenzury (1/364-2/365).  
 REKTOR U.J.: Zarządzenie nr 11 z 15. 7. 1977 (1/364-2/365).  
 ROPCiO: Komunikat Biura Prasowego (9/372).  
 — Oświadczenie z 13. 5. 78 (6/369).  
 S.K.S. GDAŃSK: Oświadczenie z 30. 6. 78 (9/372).  
 S.K.S. KRAKÓW: Oświadczenie z 21. 11. 1977 (1/364-2/365).  
 S.K.S. POZNAŃ: Oświadczenie z 23. 11. 1977 (1/364-2/365).  
 S.K.S. WYŻSZYCH UCZELNI TRÓJMIASTA: Deklaracja (1/364-2/365).  
 Sprawa Antoniego Sokołowskiego (7/370-8/371).  
 164 KONFERENCJA EPISKOPATU POLSKI: Niektóre uwagi z historii działalności Zrzeszenia Katolików „Caritas” (9/372).  
 T.K.N.: Oświadczenie z 2. 3. 78 (4/367).  
 TYMCZASOWY KOMITET SAMOOBRONY CHŁOPSKIEJ: Oświadczenie z 10. 8. 78 (9/372).  
 ZINOWIEW Aleksander: Autobiografia (7/370-8/371), przekład z rosyjskiego.  
 Z ostatniej chwili (6/369, 12/375).

### Różne

- Ankieta młodzieżowa „Kultury” (1/364-2/365).  
 Apel Oddziału SPK w Norwegii (4/367).  
 Komunikat S.P.K., Koto Paryż (12/375).  
 Komunikat Redakcji (4/367).  
 Młodzi z POSK'iem (11/374).  
 Podwyżka prenumeraty „Kultury” na rok 1979 (10/373).  
 Sprostowania (1/364-2/365, 3/366, 4/367, 6/369, 10/373, 11/374).  
 Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/364-2/365, 3/366, 4/367, 5/368, 6/369, 7/370-8/371, 9/372, 10/373, 11/374, 12/375).  
 Wpłaty na KSS „KOR” (1/364-2/365, 3/366, 4/367, 5/368, 6/369, 7/370-8/371, 9/372, 10/373, 11/374, 12/375).  
 Wpłaty na P.P.N. (1/364-2/365, 3/366, 4/367, 5/368, 7/370-8/371, 9/372, 10/373, 11/374, 12/375).  
 Wpłaty na ROPCiO (1/364-2/365, 3/366, 4/367, 5/368, 6/369, 7/370-8/371, 9/372, 10/373, 11/374, 12/375).

### Wydawnictwa książkowe w roku 1978

#### Biblioteka « Kultury »

- Tom 285 — Brandys Kazimierz: *Nierzeczywistość*, str. 128.  
 Tom 286 — Gnomacki Władysław: *Towarzysz Szmaciak*, str. 72.  
 Tom 287 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 43-ci), str. 240.  
 Tom 288 — Sołżenicyn Aleksander: *Archipelag GUŁag*, t. III (cz. V, VI i VII), str. 544.

- Tom 289 — Danilewicz Zielińska Maria: *Szkice o literaturze emigracyjnej*, str. 432.  
 Tom 290 — Czapska Maria: *Czas odmieniony*, str. 160.  
 Tom 291 — Bieńkowski Władysław: *Socjalizm po 60 latach*, (dwa wydania), str. 64.  
 Tom 292 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 44-ty), str. 224.  
 Tom 293 — Krynicki Ryszard: *Nasze życie rośnie*. Wiersze, str. 104.  
 Tom 294 — PPN — *Polskie Porozumienie Niepodległościowe*, str. 160.  
 Tom 295 — Kuroń Jacek: *Zasady ideowe*, str. 96.  
 Tom 296 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 45-ty), str. 240.  
 Tom 297 — Wołoszynowski Julian: *Było tak*, str. 196.  
 Tom 298 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 46-ty), str. 256.  
 Tom 299 — Kołakowski Leszek: *Główne nurty marksizmu*, t. III, str. 536.  
 Tom 300 — Danilewicz Zielińska Maria: *Wspomnienia o Bibliotece Narodowej*, str. 72.

Dla orientacji Czytelników podajemy tytuły głównych artykułów zamieszczonych w czterech *Zeszytach Historycznych*, wydanych w roku 1978:

- Zeszyt 43-ci* — K. Okulicz: *O Piłsudczykach, Instytucie im. Piłsudskiego i „Niepodległości”*; St. Wójcik: *Na 30-lecie wyborów*; Anatol Mühlstein: *Pamiętnik*; W. W. Kulski: *Pamiętnik b. polskiego dyplomaty* (dok); W. Krzyżanowski: *Lata bukareszteńskie* (3); P. Korzec: *Przyczynek do dziejów Powstania Warszawskiego 1944*; M. Malinowski: *Cztery listy Gomułki*.  
*Zeszyt 44-ty* — W. Drzewiecki: *Wywiad ze St. Mikołajczykiem z 17. XI. 1947*; M. Chęciński: *„Ludowe Wojsko Polskie”*; A. Cienciąła: *Anglia była gotowa bić się o Gdańsk*; J. Nowak: *Rozmowy z gen. Sosnkowskim*; Z. S. Siemaszko: *17 września i jego konsekwencje*; T. Katelbach: *Bezdroża* (dok.); W. Krzyżanowski: *Lata bukareszteńskie* (dok.).  
*Zeszyt 45-ty* — G. Jaworowski: *Nieznana relacja o grobach katyńskich*; A. Zieliński *Korespondencja z Jerzym Stempowskim*; Ks. inf. T. Skalski: *Garstka wspomnień z mego życia* (I); M. Krzepkowski: *Wspomnienia dziennikarza z czasów okupacji (Wilno 1939-1941)*; *Historyczne wywiady sprzed 40-tu laty* (prof. Olgierd Górka, poseł Z. Dreszer); Z. S. Siemaszko: *Stanisław Szabunia*; *„Nothing but Honour” J. K. Zawodnego* (zbiorowa recenzja: Jan Ciechanowski, St. Korboński, Jan Nowak, Andrzej Pomian).  
*Zeszyt 46-ty* — M. Danilewicz Zielińska: *Wspomnienia o Bibliotece Narodowej*; J. Drewnowski: *Władza a opozycja*; Wł. Żeleński: *Zabójstwo Pierackiego i rozrachunki polsko-ukraińskie*; Ks. inf. T. Skalski: *Garstka wspomnień z mego życia* (II); A. Miniewicz: *„Konwent Polonia” 1828-1978*.

(Ciąg dalszy Wpłat ze str. 2-ej)

Jan Wójcik, New Britain, Conn. (USA) — \$252,00 zebrane na Apel „Konfederacji 76” w USA. (Wpłacili z New Jersey: T. Dziekanowski — \$25,00, R. Winowski — \$25,00, Z. Przybyło — \$20,00, J. Adamcewicz — \$10,00, J. Koźmor — \$10,00, H. Szuster — \$10,00, H. Puchalski — \$5,00; Bezimiennie z So. River, N.J.: \$42,00; Polish National Alliance — \$25,00; Jan Rzyński, Chicago, Ill. — \$25; K. Puchalska, Bayonne, N.J. — \$10,00; Eugene Zegar — \$10,00; J. Gajda, Chicago, Ill. — \$10,00; Star of Liberty Lodge — \$10,00; H. Czaplicki, Filadelfia — \$5,00; M. Orłowski, New York — \$5,00; Turysta z Polski — \$5,00) ..... F.1058,40

Z przeznaczeniem: na KSS „KOR” ..... \$ 50,00  
na ROPCiO ..... \$ 152,00  
na PPN ..... \$ 50,00

## BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 299 — LESZEK KOŁAKOWSKI

## GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powtanie — Rozwój — Rozkład

Tom III

Zawiera m.in. rozdziały: Pierwsza faza marksizmu sowieckiego. — Początki stalinizmu. — Spory teoretyczne w marksizmie sowieckim lat 20-tych. — Marksizm jako ideologia państwa sowieckiego. — Antonio Gramsci — rewizjonizm komunistyczny. — Georg Lukács — rozum na służbie dogmatu. — Lucien Goldmann. — Szkoła frankfurcka i teoria krytyczna. — Herbert Marcuse — marksizm jako utopia Nowej Lewicy. — Ernst Bloch — marksizm jako gnoza futurystyczna. — Rzut oka na przemiany marksizmu lat ostatnich.  
Str. 536. Cena F. 110,00.

Tom II-gi — zawierający 544 strony kosztuje F. 110,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 21 267.

Dépôt Légal: 4<sup>e</sup> Trimestre 1978.BIBLIOTEKA  
KODOWA

## KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>AFRYKA POLUDNIOWA</b> : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002 .....		R. 19,50	R. 37,00
<b>ARGENTYNA</b> : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25 .....	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
<b>AUSTRALIA</b> : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013 .....	\$ A 4,00	\$ A 20,00	\$ A 38,00
<b>AUSTRIA</b> : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla- terngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 .....	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
<b>BELGIA</b> : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23 .....	F.B. 160,00	F.B. 900,00	F.B. 1 700,00
<b>BRAZYLIA</b> : prosimy o przesyłanie czekow do adm. „Kultury” .....	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
<b>DANIA</b> : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
<b>FRANCJA</b> : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księ- garniach polskich w Paryżu .....	F. 17,00	F. 90,00	F. 170,00
<b>HOLANDIA</b> : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissing- gen. Tel. (01184) 4073, Postgiro 1379176 .....	Fl h 8,50	Fl h. 50,00	Fl. h. 90,00
<b>KANADA</b> : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362; B. Kra- suski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin- Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7 .....	\$ Can. 5,00 DM 9,00 F. 17,00	\$ Can 26,00 D.M. 50,00 F. 95,00	\$ Can. 50,00 D.M. 90,00 F. 180,00
<b>NIEMCY</b> : St Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.			
<b>NORWEGIA</b> : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss ....	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
<b>SZWAJCARIA</b> : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
<b>SZWECJA</b> : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 17,00	F.S. 95,00	K.S. 180,00
<b>U.S.A.</b> : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tel. 475-8886. L. Dudarew-Osse- tyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Water- town, Mass. 02172; J. Konopacki, 27437 Detroit Rd, Cleve- land, Ohio. 44145. Tél. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254- 34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, Tel. 886-2128; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orze- chowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103. <b>POLONIA</b> , Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618, tel. (312) 489-2554; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av. apt. 11, Los Angeles, Cal. 90038, tel. (213) 463-1817; Jan Wójcik, 674 Farmington Ave., New Britain. Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich, 48211 .....	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
<b>W. BRYTANIA</b> : Orbis Books (London) Ltd., 86 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210 .....	£stg. 2,15	£stg. 12,00	£stg. 22,50
<b>WLOCHY</b> : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241 .....	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 180; półroczna — F. 95.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 295 — SERIA „BEZ CENZURY”

JACEK KUROŃ

### ZASADY IDEOWE

Str. 90.

Cena F. 20,00.



TOM 297 — JULIAN WOŁOSZYŃSKI

### BYŁO TAK

Wznowienie wydanej w Kraju przed wojną literackiej historii Polski od zarania dziejów do śmierci Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Książka ta, w której nasza historia podana jest na kanwie najważniejszych wydarzeń światowych, wydaje nam się godna przypomnienia w chwili kiedy Polska święci 60-lecie odzyskania Niepodległości.

Str. 200.

Cena F. 45,00.



TOM 298 — ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT CZTERDZIESTY SZÓSTY

Zawiera m.in. prace: M. Danilewicz Zielińskiej — *Wspomnienia o Bibliotece Narodowej*; J. Drewnowskiego — *Władza a opozycja*; Wł. Żeleńskiego — *Zabójstwo Pierackiego i rozrachunki polsko-ukraińskie*; ks. inf. T. Skalskiego — *Garstka wspomnień z mego życia (2)*; Z. Baua — *35-lecie Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku*; oraz bogaty dział POLEMIK, RECENZJI i LISTÓW DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 35,00.

**Cena 15 F**